ROK XXIII.
Ogólnego zbioru Tom XCI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.

1898.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

str.

I. **Na rozstaniu.** (Opowiadanie brata). Przez *Włodzimierza Koszyca* 361

II. **Franciszek Palacki i jego znaczenie dla odrodzenia Czech.** Przez *Fr. Bujaka* 397

III. **Ze współczesnej poezyi niemieckiéj.** Przełożył z niemieckiego *Władysław Nawrocki* 437

IV. **Sąd przysięgłych.** (Dokończenie). Przez *Aleksandra Mogilnickiego* 440

V. **Z literatury filozoficznéj amerykańskiéj** Przez *Wł. M. Kozłowskiego* 471

VI. **Giacomo Leopardi.** (W setną rocznicę urodzin poety). Przez *G. B.* 484

VII. **Psychologia sekt.** Przez *St. Piotrowskiego* 519

VIII. **Rozbiory i sprawozdania:**
Kazimierz Król i Jan Nitowski. „Podręcznik do nauki literatury polskiéj.” Ocenił *H. Galle* 542
Aniela Szyc. „Gramatyka języka polskiego dla dzieci zaczynających uczyć się systematycznie z przykładami, ćwiczeniami i wskazówkami dla nauczycieli.” Ocenił *H. G.* . 546
Wł. Weychertówna. „Stylistyka oraz teorya prozy i poezyi do użytku szkolnego.” Ocenił *H. G.* 548

IX. **Nowości naukowe i literackie** 550

X. **Ogłoszenia** 552

Zeszyt zawiera arkuszy **12.**

Druk ukończono d. 26 września 1898 r.

NA ROZSTANIU.

(Opowiadanie brata).

Opuszczałem ją zdrową, uśmiéchniętą, prawie rozpląsaną. Tobołki moje podróżne były spakowane, — służący pobiegł po dorożkę. Śpieszyło się jéj na kursa robót ręcznych, więc jeszcze raz sobie zarzuciliśmy ramiona, a potém mi tylko od drzwi przeciągłego dłonią posłała całusa i znikła. Spotkała mnie jeszcze w drodze na dworzec. Odwróciła do mnie kochane, smutne oczy na pożegnanie:

— A pamiętaj o mnie Michasiu...

Jakżebym o niéj, o drogiéj mi nadewszystko, miał zapomniéć? Czyż mogłem przeczuwać, że w niespełna miesiąc wrócę z powodu niéj do domu? A jednak tak się stało... Zaledwie zawlokłem się do Lipska, aby po doktoracie, zagranicą dopełnić studyów historycznych, zaledwie w małéj studenckiéj mansardzie rozbiłem namioty, otrzymałem od matki depeszę: „Przyjeżdżaj, Bronia chora, pragnie cię koniecznie widziéć..." Nie wiem, co się wtenczas ze mną działo, jakie mną szamotały uczucia i rozdrażnienia, jakie widma i żale tłoczyły się do serca, — bo ocknęła mnie dopiéro z niemego odrętwienia uwaga gospodyni:

— Kawa wyziębnie, *Herr Doctor...*

Zerwałem się, zapowiedziałem, że wyjeżdżam na dłuższy czas i zdumioną kobiétę zostawiłem w izbie. Podróż wydawała mi się stra-

sznie długą i strasznie smutną. Każda stacya była moim wrogiem, każdy gromadny zgiełk szarpał mi nerwy. Od czasu do czasu podchodziłem do mapki i przesuwałem po niéj palcem. A kiedy mnie już znużyło bieganie po ciasnéj przestrzeni wagonu, zwijałem się w kłębek na siedzeniu i wtenczas mroczyło mi się w głowie, a przez te mroki ślizgały się dziwne niepokoje. I odczułem to, a przez odczucie zrozumiałem po raz tysięczny może, że każde nieszczęście znośniejsze jest w rzeczywistości, niż w domniemaniu, że człowiek jest urodzonym pesymistą i tak długo różowieje, dopóki mu raz *fatum* porządnie nie zagrodzi drogi. Ilem przebył i com przebył w ciągu podróży, — trudno opowiedziéć.

Nareszcie dowlokłem się do domu.

Matka blada, wynędzniona, powitała mnie u progu mieszkania. Miała strasznie wypłakane oczy, łuszczące się wargi i strój zaniedbany.

— No, uściśnij mnie, ty mój...

Nie mogła więcéj mówić, a i ja nie mógłbym był więcéj słuchać. Z drugiego pokoju dochodziło urywane, ciężkie rzężenie, zmieniające się chwilami w chrapliwe, ogromnie bolesne charczenie. To charczenie wstrząsnęło mną do głębi i wyrwało z piersi okrzyk:

— Boże litościwy!...

Trudno mi było zrazu przekroczyć próg, za którym gościło cierpienie. Matka patrzała na mnie uśmiechająco, zachęcająco prawie, a ja się chwiałem i łamałem, jak się łamie pręt wierzbowy nad cichą, wielką tonią. I długo bym tak stał skamieniały, bezradny, gdyby nie wołanie:

— Micha-siu mmój...

Przeczuła i odczuła mnie biédaczka. Nie namyślając się długo, przetarłem chustką oczy i udając wielkie rozradowanie, pobiegłem w stronę łóżka. Leżała rozciągnięta na wznak na pościeli, martwa, ostygła.

Jéj ożywioną, pełną niedawno twarz pokrywała żółcizna niezdrowa i bolesne zmęczenie. Wskutek bladości zarysowały się dosyć silnie na jéj policzkach ślady pzzebytéj w dzieciństwie ospy. Usta miała nieco skrzywione, skurczone i napełnione w kątach taką żałością, że nie mogłem do nich moich zbliżyć.

— Broniu, siostrzyczko... — jęknąłem.

Ona mi chciała widocznie dużo i szeroko opowiadać, lecz nie potrafiła. Oczy jéj tylko nabrzmiały od łez i radości z powodu mego przyjazdu. I tak na mnie zawzięcie, łakomie i prawie ze żdziwieniem patrzała, jak się patrzy na gościa nie z tego świata i to na kogoś, ko-

goby się pragnęło formalnie pochłonąć spojrzeniami. A kiedy się ukoiła i odzyskała nieco sił, rzekła do mnie głosem ostrym, nienaturalnym i bardzo urywanym:

— Michałku, pocałuj mnie w czoło...

Przesunąłem ostrożnie wargi po jéj czole i chciałem się prędko cofnąć, aby nie ukazywać wzruszenia, — lecz ona błagającém spojrzeniem i szeptem zatrzymała moje usta na sobie.

— Jeszcze, jeszcze...

Uścisnąłem jéj prawą rękę, ona mi jednak uściskiem nie odpowiedziała. Owszem, dłoń jéj była martwą, ciężką, opadającą i jakby sztucznie do ciała przytwierdzoną. Pochwyciłem drugą, lecz i ta nie miała więcéj życia. Chora zrozumiała snać dobrze moje troski, bo po twarzy jéj zaczęły spływać duże i obfite łzy, a jéj spojrzenia biegły po mnie uporczywie, natrętnie. I chociaż niemą była rozmowa nasza, zrozumieliśmy się dokładnie. Kiedy się na chwilę wydaliłem, aby obmyć twarz i ręce, doleciało mnie to samo duszne charczenie, które słyszałem przed chwilą, po przybyciu do domu.

Matka stała za mną i załamywała ręce.

— Michasiu, mój Michasiu, tyś dla niéj nowością, my jéj się wszyscy sprzykrzyli, więc chce cię miéć ciągle przy sobie. Uczyń ofiarę...

Nie pozwoliłem matce dokończyć i co tchu pobiegłem.

Chora uspokoiła się natychmiast na mój widok. Usiadłem wraz z matką obok jéj łóżka i ani jedno, ani drugie nie odważało się przerywać milczenia. Rozglądałem się po pokoju. Za niskiém oknem rysowały się kontury ośnieżonych drzew naszego ogrodu, po których zapadający wieczór ześlizgiwał czerwone i fioletowe tony gasnącego słońca. Pomimo czającego się zmroku, biało, jasno było na dworze od refleksów śniegu. Cisza i martwota krążyły nietylko w pokoju, ale i na zewnątrz, bo mróz wytworzył w powietrzu dziwną pustkę i zamyślenie. Zerwałem się nagle niespokojnie.

— Mamo—zapytałem—patrzaj mamo...

Wskazałem na dwa oleandry umieszczone koło okna.

Matka mnie zrozumiała.

— Zaczęły więdnąć w wigilię choroby...

Ogromnie mi się przykro zrobiło i choć nie jestem zabobonnym, rozmaite snułem wróżby.

— Zaczęły więdnąć w wigilię choroby...

Byłem w rozległém, błędném kole, od którego nie potrafiłem odczepić natrętnych myśli. Rozdrażniony, zmęczony, podszedłem do

oleandrów. Brałem ich liście troskliwie do dłoni i robiłem ciche uwagi:

— Ta gałąź cała odgniła, ta się psuć zaczyna... Kora murszeje, mnóstwo mszyc toczy liście...

Zwróciłem się do matki.

— A jednak one się prawie z nami wychowały.

— Z nią...

Spojrzeliśmy sobie znacząco w oczy.

W pokoju zapanowała grobowa cisza, przerywana ciężkim oddechem choréj. Wtém skrzydło drzwi się uchyliło, a w półcieniu widoczną się stała łysa głowa mego ojca. Bronia uczyniła ruch, jakby się zerwać chciała, lecz nie mogła... Z ust jéj wydobywał się tylko gniewny, prawie niewyraźny bełkot:

— Zzzammknąć!...

Blady, zrozpaczony, przecedziłem przez zęby:

— Matko!...

I nie namyślając się długo, podstąpiłem do progu i prędko zamknąłem drzwi za sobą.

— Nie chcesz mnie wpuścić...—burknął ojciec niechętnie.

— Ona rozdrażniona, ma przywidzenia — szczepleniłem zakłopotany, ściskając ojcu dłonie.

— Pal dyabli z przywidzeniami... A masz pruskie cygara?

— Mam... Natychmiast służę.

Poprowadziłem ojca do pokoju, przeznaczonego dla nas na noc. Wydobyłem z opakowania kilkanaście „operasów", kupionych w Austryi, i położyłem je na stole. Ojciec palił zawzięcie rozmaite gatunki, w szczególności długie, włoskie „wirginia", w gruncie rzeczy jednak na cygarach się nie znał i łatwo go można było zmylić.

— Wiész, dobre, Windheima, nieprawda?

— Jak téż ojciec trafił...

— Byłeś może w Wrocławiu?... Windheim jeszcze w téj ciupce przy Salzgasse...

Nagle czoło mu się sfałdowało i oczy gniewnie zabłysły.

— Po co oni cię tu sprowadzali!... Na drogę są pieniądze, a jak trzeba dla mnie na surdut — to niema.

Wargi mu się same z irytacyi uruchomiły i latały, jakby elektrycznością podrażnione. Unosił się prędko i jeszcze prędzéj stygł.

— Michał, ty wiész — wtrącił już spokojnie, — że gdyby nie ja, wszystkoby się urwało... Głowę tracę, zabiegając na wszystkie strony. Teraz właśnie nawiązałem na podstawie anonsów dziennikarskich stosunki z fabryką oliwy deserowéj w Nantes. Przysłali mi próbki...

Równocześnie uzyskałem w komis partyę pereł surowych. Trzeba to będzie drapać, skrobać, żeby więcéj zarobić. Ta choroba, to téż w samą porę...

Spochmurniał znowu i twarz mu zaszła od krwi.

— Widzisz, jak twoja matka dba o mnie, do téj chwili jeszcze nie mam kolacyi. Z głodu przecież nie zemrę. Ósma wybiła.

Mierzył posuwistemi krokami tam i napowrót pokój i spoglądał co chwila na ścienny zégar.

— Tak długo być nie może, to zgroza, co się u mnie dzieje.

Pragnąłem za jakąkolwiek cenę zatrzymać ojca w pokoju, więc niepostrzeżenie wysunąłem się do kuchni. Po małéj chwilce wróciłem z Jagusią i kolacyą. Ojciec złagodniał natychmiast i usiadł do stołu. Jadł zawzięcie, prędko, prawie łakomie. Ja tymczasem wcisnąłem się w krzesełko, ogromnie zmęczony podróżą i doznanemi wrażeniami.

— Nie masz przypadkiem przy sobie marek pocztowych? — odezwał się po jakimś czasie ojciec.

— Nie mam... a dlaczego?

— Szkoda, bo obecnie prowadzę szeroką z interesantami korespondencyę.

— To się łatwo da zaradzić. Może ojciec będzie łaskaw kupić dla mnie przy sposobności kilkanaście sztuk.

Wetknąłem mu w ręce piéniądze.

— Naprawdę nie chce mi się jeszcze spać. Pobiegnę do kawiarni przepatrzyć gazety. Tam się często zdarza jakiś interes...

— No dobrze, a powróci ojciec wprost tutaj?

— A gdzieżby?... Szczęśliwy jestem w łóżku.

Pobiegłem na palcach do pokoju choréj. Zwolna, drżącą ręką nacisnąłem klamkę. Spała snem ciężkim, urywanym, jakby sztucznym. Białą była na białéj pościeli i strasznie wycieńczoną cierpieniem. Po jéj twarzy przeszedł, jak po zielonym, młodym, do słońca uśmiéchniętym łanie, wicher męki i wrył się w nią wszystkiemi rysami...

Rozchylone, posiniałe usta wyrzucały szorstkie, gardłowe tony, a pierś podnosiła się chrapliwie, nieregularnie. Męka fizyczna uczyniła ją tak bolesną i tak straszną we śnie, że mi się serce z żalu krajało. I zdawało mi się koniecznie, że ona biédna, nieszczęśliwa, doszła już do tego kresu cierpień, gdzie się z rezygnacyą prosi:

— Wybaw mnie, Panie Boże...

Spojrzałem na matkę. Siedziała sztywna, niema i bardzo zrezygnowana. Kiedy jéj rękę podnosiłem do ust, rzekła:

— Idź spać!...

— Dziś moja służba... — odparłem.

Uśmiéchnęła się dobrotliwie i potrząsnęła głową.

— Ja się z nią nie rozstanę. Ot, mnie tak dobrze przy mojéj jedynéj...

Położyła głowę obok głowy choréj lekko, ostrożnie i dała mi ręką znak wyjścia.

Nazajutrz przebudziłem się bardzo późno.

Jagusia szarpnęła mnie za ramię.

— Paniczu, paniczu, już ku południowi.

Naokół krzątano się gorączkowo. Matka wpadła pośpiesznie do pokoju. Stanęła naprzeciw mnie wzruszona. Ja, ujrzawszy ją, chwyciłem się obiema rękami za serce i, odwracając się do okna, jęknąłem:

— Boże miłosierny!

Ta jedna chwila wystarczyła mi za innych tysiące. Chciałem płakać, a nie mogłem, chciałem szamotać się, lecz rąk nie czułem, chciałem zginąć gdzieś, bodaj pod ziemią, lub oknem skoczyć na bruk, jednak wszystko podemną chwiało się, mgliło, tańczyło i waryowało wraz ze mną. I pragnąłem z sobą coś zrobić, a nie umiałem, próbowałem krzyczéć, lecz nie potrafiłem, wszystko zamarło we mnie na tę jedną, na tę straszną chwilę. Widziałem tylko przed sobą matkę wychudłą, wynędzniałą, raczéj do szkieletu, niż do człowieka podobną. Kiedym ją żegnał, miała jeszcze włosy czarne, teraz już jakieś zielono-żółte. Ubranie na niéj zwisało, zmarszczki poorały strasznie oba policzki. Wszystko to spostrzegłem nagle i nagle odczułem, — bo zaraz po przyjeździe o zmroku, zajęty chorą, przeoczyłem. Przezwyciężyłem się jednak i zakłopotany przystąpiłem do matki.

— Mamo, droga matuchno!

Ona nic nie odpowiedziała, tylko bardzo przytomnie, z głęboką rezygnacyą spoglądała w moje źrenice.

— Dobrze spałeś? — zapytała.

— Dobrze.

— A mama?

— I ja nieźle...

Przesunąłem palce po jéj włosach. Poczułem w nich jakieś zgęszczenie, zlepienie. Matka się widocznie tém zaambarasowała, gdyż rzekła cicho:

— Już trzy tygodnie nie czesane...

Zgarnęła kosmyki dłonią i nagle coś sobie przypomniała.

— Michałku, Bronia nie chce wziąć bez ciebie rosołu.

Podniosłem chorą wpół jak martwą kłodę, za pomocą podsunięcia rąk pod poduszki i nastawiłem filiżankę do jéj ust. Była po względnie dobrze spędzonéj nocy nieco świeższą, przytomniejszą, ożywioną.

Trudno biédactwu wprawdzie przyszło wykrztusić powitanie, ale uczyniła to z udaną swobodą:

— Dddzienn dobrrry kochan....

— Dzień dobry, ty moja kochana duszo—odpowiedziałem.

I pocałowałem ją raz, drugi i trzeci, a ona, jak umiała, śmiała się temi swojemi bolesnemi ustami.

Męczyło ją bardzo przełykanie rosołu.

Tymczasem Jagusia ustawiała z drugą służącą podłużne korytko na krzesłach...

Zjawił się téż wuj Jan i wyciągnął serdecznie ku mnie dłonie na powitanie:

— Witaj, gościu egzotyczny!...

A widząc moje zafrasowanie, dodał:

— No, no, nie martw się, będzie dobrze.

Obwinięto ją szczelnie w długie płótno, niby w śmiertelną koszulę i poniesiono do kąpieli.

Spostrzegłem, jak się łamała na rękach niosących, jak martwo zwisała całém ciałem. Nogi jéj, strasznie wychudłe nożęta, huśtały się w powietrzu, zakréślając poprzeczne ruchy, a głowa przegięła się głęboko w tył i odsłoniła zmizerniałą szyję. Źrenice jéj młode nie wyrażały już nawet bólu, tylko jakąś zawziętość, surowość, podtrzymywaną ostrém zmarszczeniem skroni.

Kąpiel przyjmowała zupełnie obojętnie, jakby zamierzała powiedzieć:

— Wszystko mi obojętne, róbcie, co wam się żywnie podoba...

Ułożyliśmy ją na łóżku. Ciepła woda osłabiła ją widocznie, bo ustami chwytała chciwie powietrze. Uspokoiła się jednak wkrótce i w zwykłą popadła apatyę.

Wuj zawołał mnie gestem do sąsiedniego pokoju i zaczął sentencyonalnie:

— Człowiek strzela...

Spacerował tam i napowrót chmurny, zgnębiony. Bębnił w przechodzie palcami po drzwiach szaf i rozdymał nozdrza.

— Prawda, Michale, że to silniejsze od człowieka...

— Wuju kochany—jęknąłem—więc rzeczywiście...

Wahał się chwilę.

— A zresztą dzieją się cuda...

Opowiedział mi następnie, że to choroba straszna, zapalenie mlecza pacierzowego, które się może wlec i wlec... Po co on mi prawdę w całéj nagości wyjawiał?

Łamałem sobie głowę nad tém, czy przynajmniéj ze słuchu nie znałem kogoś, kto był tą hiobową niemocą tknięty i wydostał się z jéj szponów.

Gdzie tam! nie znałem nikogo...

I nie wiem doprawdy, dlaczego marzyła mi się czaszka, nad którą Hamlet filozofował. Przypomniała mi się następnie wątpliwość królewicza duńskiego, czy przypadkiem prochami Cezara nie zatykają dziś beczek... W końcu powtarzałem uporczywie frazes z listu św. Pawła do Koryntyan: boć musi, co skazitelne, przyoblec nieskazitelność i co śmiertelne, przyoblec nieśmiertelność.

Ale jaką ona ma skazę? Ledwie weszła w wiosnę życia, a już więdnie, marnieje, jak pierwszy pączek róży. Gdzie tu jakie prawo natury? Gdzie sprawiedliwość?

Protestowałem na wzór pospolitych lub słabego charakteru ludzi, którzy pod uderzeniem ciosów opuszczają skrzydła i wojnę wypowiadają Opatrzności. Wuj odczuwał, jak mnie żre rdza buntu i rozdymał coraz uporczywiéj nozdrza.

— Ej! wy młodzi, młodzi ..

Zapytałem go z pewną stanowczością:

— Długo to potrwa?

Snuł oklepane porównania na temat dogasającéj lampy.

— Skwiérczy i skwiérczy, a nie wiész na pewne, kiedy tleć ustanie.

A niech sobie skwiérczy i nie skwiérczy, ale człowiek i takie istnienie w zaraniu—to nie knot żaden. Przecież wziąć pierwszą lepszą roślinę, czy kwiatek wątły. Nadepta się na powój, mlecz, koniczynę, a rosną jeszcze pogięte i sterczą do słońca... Mamy kwiat przyciśnięty stopą, wryje się w ziemię, wymęczy i potém znowu nastawi ku światłu oczy. Glista rozkawałkowana zrośnie się lub nie i jeszcze pląsze w grudzie i po grudzie... Aloes niekiedy zeschnie i ozieleni się mimo to i nowe puszcza pędy...

— A oleandry?

— Co mnie obchodzą oleandry... Są i niéma. Téż do takich rzeczy wagę przywiązywać...

Kiedyś nad piaszczystą wydmą morską, niedaleko Lusinu, siadywał w czasie dopływu człowiek chory na piersi, jakiś asceta widocznie, bo miał twarz ogromnie świątobliwą, ściągłą, jak biczownik, i modlił się żarliwie. Zachodzące słońce, odbite od fal, prażyło go, — a on patrzał się tylko hen w siną dal, ginącą za nieboskłonem, i oczy jego jaśniały od wesela i niewysłowionéj rozkoszy. Wyciągał czasami ręce chude w przestrzeń, ku oparom wstającym z wody i szeptał: bądź bło-

gosławiona, Panienko święta!... Zdawało się biédaczynie, że mgła — to Matka Boża... A kiedy go raz nieprzytomnego, wyczerpanego znaleziono nad brzegiem, zwrócił się do fali i ożył.

— I dlaczego ożył?

— Chyba zdrojem jego siły była wiara w ideał, ufność w Panienkę po morzu stąpającą.

— A co ona ma?

— Ma prócz wiary silne kochanie i jak ów suchotnik patrzy w matkę...

— A może ją to kochanie utrzyma...

Czego ja nie myślałem i jakie różne chaotyczne baśnie chodziły mi po głowie! Ale dobrze się stało, że tak chwilę przestałem być sobą, bo gdym się wyzbył fantazyi, strasznie mnie poprostu za gardło ściskać zaczęło.

— Gdzie tu wyjście? Gdzie zmiłowanie? Żal i boleść uczyniły mnie wymowniejszym.

— Bo też ten częsty płacz!...—rzekłem, tupiąc z irytacyi nogą.

— Płacz powiadasz?...

Wuj uderzył się w czoło, jakby w niém nowa myśl zaświtała, i surowo, widocznie przygnębiony, zauważył.

— Takie łzy, jak Broni i długo przeléwane podobne rodzą choroby. Badamy, matematycznie dociekamy, gdzie początek złego, które nawiedziło organizm. Mówi się: przeziębienie, woda... Dopatruje się koniecznie początku utrapień fizycznych w zewnętrznych wpływach, omal cyrklem i wagą nie robi się pomiarów... A właśnie...

Zaciął się i gromadził argumenta, chociaż nie miał przeciwnika.

— A właśnie nieprawda... Łzy są zawsze gruntem żyznym dla fizycznéj niedoli. Sam człowiek rodzi się istotą zdrową, ale różne nędze łzawią mu drogę życia. Starcy często giną na wyczerpanie. Wyczerpaniem młodych lat jest często ich duchowe skołatanie.

Uniósł się, jakby kogoś apostrofował za popełnienie krzywd. Ale widocznie jemu samemu wydawało się to rozumowanie przykrém, bo dodał:

— Trzeba koniecznie okno na wieczność otworzyć i z niego patrzyć na szary świat, gdyż inaczéj...

Uczynił znak duszenia się i bezgranicznéj rozpaczy.

— Czego mi wuj tak mówił i to mówił?

Nie było odpowiedzi. Stała przedemną matka, sama jedna, taka biédna, jaką ją od pierwszéj chwili po przyjeździe ujrzałem. Zaczęła śledzić moje oczy i ruchy. Chciała się koniecznie dowiedzieć, co wuj powiedział, czy wierzył w uzdrowienie. Zaklinałem się na wszystkie

świętości, że rokował najlepsze nadzieje. Może temu nie wierzyła, ale miłość matczyna kazała jéj się łudzić.

— Gdyby téż Pan Bóg raczył spełnić wielką łaskę...

— Spełni mamo, na pewno...

Starałem się zmylić i pocieszyć matkę, a tymczasem kołatało do głowy méj pytanie:

— Czy często płakała, gdy mnie w domu nie było?

Delikatnie badałem matkę, — lecz matka, zamiast „tak" lub „nie" odpowiedziéć, przysłoniła twarz rękami i milczała. Trwało to długich chwil kilka, poczém surowo, ponuro wbiła oczy w ziemię.

— Zamierzył się... Ona wpadła potém w atak nerwowy...

Co mnie reszta obchodziła... I tak miałem dosyć piekła w mózgu. Wiła się przedemną kręta, stroma Golgota, którą matka, kroczyła i słyszałem w podnieconéj wyobraźni brzęk kajdan, jakie wlokła za sobą. Te kajdany krwawiły ją, przykuły do katorgi życia, a ona przecież szła naprzód jasna, cicha, bez skargi na ustach.

Dlaczego gięła się pod haniebném jarzmem, dlaczego?

Sumienie mi tłómaczyło:

Budowała dla dzieci gmach spokoju, szczęścia, z najdroższego na świecie materyału: z poświęcenia. Gmach się w gruz sypał... A na tych gruzach matka, moja biédna siostra, ja i ten czwarty.

* * *

Ginęła już piąty miesiąc. Maj okrył zielenią drzewa i wydobywał młodą trawę z ziemi. Pod niskiém oknem ciągnęły się rabaty, pokryte stokrotkami, rezedą i różném pstrém kwieciem. Powój piął się do framugi i zaglądał do pokoju, jakby chciał przyniéść nowinę:

— Wiosna, szczera wiosna...

Na dalszym planie widniały wśród grusz i jabłoni kasztany i rozczochrane krzaki bzu.

Kazała łóżko przystawić do okna. Żółta jéj, jak gromnica, twarz, ożywiała się w słonecznych blaskach. Mowę odzyskała czystszą, płynniejszą, a przedewszystkiém swobodniejszą.

W kącie dawno nieokurzanéj futryny snuł sieć „krzyżak" i opuszczał się na dół po ciemno-szaréj nici, niby po długiéj, sznurowéj drabinie.

— Co téż snuć może ten pająk?...

Tłómaczyłem, że snuje dla niéj szczęście, wyzdrowienie i Bóg wié, co jeszcze. Ucieszyła się i prosiła, abym ją podtrzymał i zwrócił ku głębi ogrodu. Zawiesiła zdziwione źrenice na niebie, drzewach

i całéj powietrznéj przestrzeni. Uśmiéchnęła się do tego ładnego świata, jakby go pierwszy dopiéro raz zobaczyła, i ze wzruszenia widocznie, tylko wargi rozchyliła.

— To tam taaak...

Po chwili sposępniała.

— A gdym się kładła, była ziemia biała... Moje goździki, kochane moje... Pamiętasz złote renety?... Tyś wchodził na jabłoń i strącał jabłka, a ja zgarniałam do fartuszka... Schowaliście ostrożnie mój fartuszek?

— Schowaliśmy...

— A inne rzeczy...

— Wszystko...

— Może...

— Co może... coś chciała powiedziéć?...

— Eee... nic, nic... Michasiu, długo ja leżę?

Udawałem, że przeprowadzam bardzo sumienny rachunek.

— Trzy do czterech tygodni...

— Gdzież tam! po pierwszych śniegach jeszcze chodziłam...

Prosiła o zbliżenie bukieciku bzu i wdychała jego woń z upojeniem.

— Jak téż dziwnie na bożym świecie. Te bzy dziś żyją, a jutro...

— Tysiące, miliony nowych zakwitnie.

— Ale nie te...

To patrzenie w przestrzeń i dużo świeżych wrażeń zmęczyło ją ogromnie—więc przysłoniłem okno gazą i ułożyłem ją na pościeli.

— A oleandry?... O tym czasie zwykle okrywały się różowym kwiatem. Tyle migdałowéj woni było wówczas w pokoju.

Zasępiła się.

— Wierzysz, Michasiu, w zawisłość losów od martwych przedmiotów lub przyrody? Te oleandry zaczęły chorować wraz ze mną.

Zacząłem rozumować na temat słabości ludzkiéj natury, która w zgnębieniach pragnie się oprzéć na nadzwyczajnościach i zamiast iść drogą zwykłego rozsądku sięga w kraje mglistego mistycyzmu.

— Człowiek jest urodzonym lunatykiem — oświadczyłem—i tylko ciężka walka o byt, szare tło codziennych trosk i praca ściągają go na ziemię. Niech nieszczęście wytrąci go z równowagi — wnet buja po obłokach cudowności, bo cudowność odpowiada najlepiéj jego usposobieniu i najsilniéj narkotyzuje nerwy. Gdyby się wszystko rozsądkiem tłómaczyło — na grudzie życia nie byłoby oazy. Jedynym szczerym uśmiechem istnienia — to zmylenie prawdy. A jeżeli to zmylenie

prowadzi niekiedy tak, jak prawda sama, do rozpaczy—to się ją łatwiéj znosi, bo ta rozpacz na fatalizmie oparta... Jakiż może być związek między gwiazdą a duszą?... A jednak się mówi, że gdy gwiazda spada, gaśnie dusza... Codziennie tysiące gwiazd leci i lecą bez wrażenia, dopiéro gdy trzeba, stawia się horoskop. Podobnie i z oleandrami...

— Więc ty nie wierzysz, Michasiu, że te zmarniałe liście...

— Nie wierzę i nie śmiem wierzyć. Będziesz zdrowa, choćby to wszystko rozpaść się miało...

Złożyła ręce w małżyk, wyprężyła ramiona, i tak jéj oczy radośnie świeciły, jakby chciały powiedzieć:

— Wierzę, całém sercem wierzę.

I istotnie zauważyła:

— Jeżeli tylko przyjdę do siebie i władzę w nogach odzyskam, pójdziemy na błonia, na polankę. Czy tam jest jeszcze ta gęsta wiklina otoczona powojem? Nie, pierwszy spacer lepiéj odbędziemy do ogrodu botanicznego. W domku palmowym tak pięknie świergocą ptaszęta...

— Gdzie zechcesz, tylko najprędzéj.

— A pokaż, Michasiu, suknie.

Uparła się, abym całą letnią garderobę wydobył, chociaż mi to trudno dosyć przyszło. Kładłem wszystko razem na krzesłach, kanapie nawet, na podłodze. Ona baczném okiem śledziła mnie i ożywiała się widocznie.

— Zapomniałeś saszetki z batystowemi chusteczkami. W prawym kącie szafy musiała zostać halka... Brak także szaréj sukienki...

Skrupulatnie wydobywałem wszystko według jéj poleceń i wydobywałbym bodaj dzień cały, byle ją utrzymać w skupieniu myśli na czémś błahém, weselszém. Kazała sobie każdą sztukę zosobna podawać i z dziecinną prawie naiwnością cieszyła się wszystkiém.

— Jak się różowa dobrze zachowała! Szlarka trochę zmięta.

Potém gdzieś plamkę dostrzegła i zmartwiła się.

— Nie wiem, czy się da wywabić. Z czego to może być? Doprawdy nie pamiętam... Już wiem... Wiśnia spadła mi z ust w czasie wycieczki do Janowic, wtenczas gdyśmy byli z Karzyckimi...

— I grali w krokieta...

— To... to...

Zaśmiała się i tym uśmiechem powitała wchodzącą matkę.

— Mamuniu, wszystko to będzie na mnie duże...

— Gdzietam, przeciwnie, po chorobie tyje się.

— Kto wié, czy włożę jeszcze te suknie...

Matka zaczęła ją strofować:

— Byli ludzie stokroć bardziéj chorzy, a wyzdrowieli i opowiadali wesoło o przebytych cierpieniach. Mania Brodowska niedawno wyleczyła się z tyfusu i zapalenia płuc. Młodego Henia Trznadla opuścili doktorzy, a on im wszystkim figla spłatał. Zawsze to niepotrzebne nabijać sobie przywidzeniami głowę.

Ona słuchała i słuchała, wpatrując się w pocieszycielkę matkę, niby w tęczę jasną, — ale łzy jéj buchały ze źrenic strumieniami i zalewały całą twarz i piersi. Łkała przytém nerwowo, spazmatycznie, aż ją w górę podrzucało.

— Tam słońce świeci i zieleń rośnie, a ja ginę, ginę...

Kazałem przesłaniać okno dużą, gęstą zasłoną, aby niebu słońca i piękności młodéj przyrodzie nie zazdrościła. W pokoju panował półmrok, rozwidniony kilku promykami światła, wpadającemi z po za rąbka uchylonéj od dołu opony. Ledwie rankiem powieki otworzyła, domagała się stale wolnego widoku na ogród.

— Chcę światła... Jak dziś świat wygląda? Czy bzy przekwitły?

— Tłómaczyłem, że lekarze nakazali zawiesić oponę na oknie i to na krótko, potém znowu będzie patrzała na kwiaty i drzewa, jak długo tylko zapragnie.

Raz pobiegłem rano, jak zwykle po zbudzeniu się, do jéj łóżka. Matka leżała obok na kanapie i czuwała. Chwile długie upływały, a chora nie dawała znaku życia. Zaniepokojony, popatrzyłem na nią. Jakżeż potężném było moje zdziwienie, gdy dostrzegłem, że ma oczy otwarte, utkwione martwo w sufit, bezbrzeżnie smutne, przygasłe.

— Broniu, nie śpisz siostrzyczko?

Nic nie odpowiedziała. Lekko pogładziłem ją po włosach i ramieniu.

— No, moje kochanie, może ci nie dobrze? Może masz pragnienie?

Ale zacięła się uparcie, zacisnęła zęby i wargę na wargę grymaśnie przekładała, skrzywiając nieprzyjemnie usta. Wziąłem się tedy na sposób.

— Dziś odrzucimy oponę, całą oponę. W ogródku są jaśminy.

— A czy to już dzień?—zapytała wreszcie.

Istotnie ściągnąłem zasłonę przymocowaną do gzymsu. Okno roztwarłem naścieżaj i pomiędzy niém a łóżkiem ustawiłem ekran, aby złagodził napór powietrza. Poranek wpadł do pokoju i oblał różowym blaskiem chorą. Twarz jéj drgnęła, skurczyła się, lecz pozostała nieruchomą.

— Teraz chyba na mnie nie narzekasz?

— A czy to już dzień? — powtórzyła.

— Jakto? Broniu, co mówisz? Przecież widzisz twój ogródek, drzewa i słońce...

— Bo wietrzyk mnie jakiś zalatuje łagodny. Czyżby to był wietrzyk nocy?

Skrzyżowałem z matką spojrzenia.

— Jezus, Marya! — zaszlochała matka — mózg jéj zajęło, pomieszanie.

Zeskoczyła z kanapy, wdziała prędko spódniczynę i chwyciwszy się za głowę, błędnie latała po pokoju.

— Wybaw ją Panie! już się jéj zrzekam...

Stałem skamieniały, odurzony nową niespodzianką.

— Dlaczego mnie ma Bóg wybawić? Przecież mi nie gorzéj... Spałam dość twardo... Tylko żeby ten dzień...

Matka lamentowała i zanosiła się od płaczu.

— Dobrze jest na świecie! Sprawiedliwie jest na świecie!

— Mamuś, czego płaczesz? Czym ci przykrość wyrządziła?

Oprzytomniałem nareszcie. Po rozsądnych, uczuciowych kilku pytaniach zrozumiałem, że umysł choréj nie popadł w zaćmienie. Objąłem ją uważném spojrzeniem.

— Widzisz mnie?

— Nie...

— A mamę?

— Także...

Kazałem Jagusi przynieść gąbkę. Przetarłem nią oczy choréj i usunąłem obfitą, z nocy pozostałą ropę.

— No, a teraz?

— Czekam dnia.

Podszedłem do matki.

— Tu nie można na głos narzekać, nie mameczko... Ona przy pełni rozsądku. To oczy...

— Stracone...

— Na razie nie widzi...

Wyprowadziłem matkę z pokoju, bo łamała się we dwoje, darła z siebie koszulę na piersiach i krzyczała:

— Już z niéj nic nie będzie!... Oczu nie ma...

Czułem w téj chwili, że mogę stracić naraz dwie najdroższe istoty. Obie zarówno kochałem, bez miary. Jedna ginęła na ciężką niemoc, druga z żalu za nią. Byłem jak ojciec zadżumionych na dalekim stepie arabskim, który patrzy na konanie własnych dzieci, potém je kładzie kolejno do grobu, przysypuje gorącym piaskiem południa i sam

na mogiłach czeka ostatniéj chwili. Co miałem począć? Patrzałem w jéj twarz biédną tak, jak się patrzy na coś, co prędko ma na zawsze minąć. Podchwytywałem każdy jéj najdrobniejszy rys, każdą linię, śpieszyłem się z wyszukaniem drobiazgów, aby zapóźno nie było. I równocześnie, oprócz téj żywéj postaci, snuła się w fantazyi mojéj inna, jakby nie z tego świata. Nieuchwytną była, ale żyła we mnie i ze mną, taka samiuteńka, jak tamta.

— Boże! — pomyślałem — takie chwytanie rysów, gdy one rozpaść się mają, podobne jest do zdejmowania pośmiertnéj maski. Ta pośmiertna maska odlaną jest z pamięci i uczucia.

W głowie mi się mieszało okrutnie. Ona jest i jéj niéma. Wiedziałem, że ją stracić muszę i to niedługo. Na koniuszku jéj nosa ujrzałem przez ospę pozostawioną nieznaczną skazę. Skaza ta w méj wyobraźni przybrała kształt drobnéj kwadratowéj klamerki. Nie wyobrażałem jéj sobie już bez téj klamerki... Odkryłem téż wcięcie ostrzejsze między łukami brwi, więc i to wcięcie zapamiętałem. Tak upływały godziny.

— Czy będzie prędko dzień?—zapytała zniecierpliwiona.

— Już pora południowa, Broniu—wyrwałem się nieostrożnie.

— Co południowa? To ja zaniewidziałam...

— Co téż za dziecińskie mówisz... Zwykłe osłabienie... Zaraz będzie lepiéj...

— Mgli się, jakby w oddali mknął popielaty szlak światła... Już się mroczy i przepada... Wysilam źrenicę, lecz nie widzę ani ciebie, ani mamy. Chodź, podaj rękę... To twoja ręka... Ja nie chcę nocy wiecznéj... Dajcie mi oczy, moje oczy!...

I tak roczpaczliwie, tak okropnie wołała „dajcie mi oczy, moje oczy. .”, że przyłączyłem się do jéj płaczu i w łzach, w szaloném łkaniu szukałem ulgi. A gdym już dłużéj płakać nie mógł, pomyślałem, że człowiek jednak jest potężnym siłaczem, gdy się umié śród podobnych burz życiowych ostać. Najtwardszy kamień łupie się pod uderzeniem młota—a on stoi i stoi, nad grobem własnych marzeń i uczuć...

Między lekarzami były zdania podzielone. Jedni utrzymywali, że wzrok odzyska, drudzy sceptycznie kiwali głowami. Wuj nie wydał żadnéj opinii, tylko krótko oświadczył:

— Jak do tygodnia nie będzie lepiéj, spróbujemy rtęci.

Stan choréj nie poprawił się istotnie przez dni najbliższe. Leżała na wznak, wysztywniona, niema, z szeroko rozwartemi powiekami. Źrenice jéj były czyste, spokojne. Od czasu do czasu pytała:

— Czy już południe? Czy wieczór się zbliża?

Podano jéj do łóżka ośmiomiesięczne niemowlę ciotecznéj siostry. Dzieciak był tłusty, dobrze odkarmiony i niezrozumiałe wydawał dźwięki.

— Maa .. zum, ta... la...

— To Klarcia Antosi — objaśniała matka.

Szczegółowo badała dzieciaka ręką i przycisnęła go do swoich ust. Klarcia się rozpłakała tak rzewnie, że ją musiano wyniéść do drugiego pokoju.

— Odczuła moją nędzę—rzekła.—Ja ją téż poznaję, chociaż nie widzę... Prawda mamo, ma oczy i nosek Antosi... Czy tak?

— Tak...—odparła zdumiona matka.

— A profil kuzyna Adasia?

— Tak...

— No widzicie.. Gdy mnie ciemnia otacza, trudzi się wyobraźnia. Palce są obecnie okiem i światłem mojém... Chodź do mnie matuchno... Ot, masz łzy na rzęsach... Pocałuję twoje długie rzęsy...

Przygarnęła rzeczywiście matkę do piersi.

— Kochana moja, kochana!...

Rozweseliła się nagle, aż blask szedł z jéj biédnych, ciemnych źrenic.

— Myślisz matuchno, że nie wiem co się wokoło mnie dzieje? Gdzież tam! Ot, tam na stoliku muszą stać poziomki. Duży, kopiasty talérz. Piętrzą się czerwone, koralowe jagody...

Wdychała rozdętemi nozdrzami woń poziomek, ustawionych istotnie na stole.

— Wiész mamo, te poziomki czuć latem. Gdy chłonę ich zapachy, zdaje mi się, że lasy widzę przed sobą. Kołyszą się świérki i sosny na stokach wzgórzy i patrzą sobie w słońce... Długo jeszcze do zachodu?

— Dopiéro piąta...

— Zamknąć drzwi, nie chcę...—zaczęła wołać spazmatycznie.

Obejrzałem się za siebie i ujrzałem ojca.

— Chwała Bogu—rzekł—znalazłem przecież zbawienie...

Podszedł do choréj i objął ją łagodném spojrzeniem.

— Sama pragnę zostać, sama...—jęczała.

Wziąłem ojca pod ramię i skierowałem się ku drzwiom.

— Może pójdziemy do ogrodu...

— Zawsze te nędzne sekatury. Mam takie prawo tu zostać, jak wy i kwita...

— Tak jest, ojcze, ale chodzi o nagły interes.

— To co innego...

Miałem zamiar poprosić ojca do ogrodu, — lecz on mnie zatrzymał w pokoju. Zasiadł do stołu i kazał sobie przynieść ze śpiżarki rydze.

— Jakżeż z rozprzedażą pereł?—zapytałem.

— O to ci chodziło? Nie jestem obowiązany nikomu zdawać sprawozdania. Zresztą, co tu ukrywać... Pal licho z takiemi interesami! Nasze społeczeństwo nie dojrzało do prawdziwego przemysłu... Same szkraby i hołysze... Ot, widzisz, na co się komis przydać może...

Wyłał oliwę z próbek na rydze i, mlaskając ustami, zawyrokował z miną smakosza:

— Rzetelna francuska...

— A jak się rozchodzi?

— Fi... zawsze indagacye... Po to mnie tu sprowadziłeś... Nasz kraj dobry dla tych, którzy jeść nie mogą i ubierają się w łachmany...

Z irytacyą polewał oliwą z próbek stojący przed nim talérz rydzów.

— Ot, tak przynajmniéj przyda się na coś... A ten interes z perłami wcale nie perlisty... Szkoda czasu i atłasu. Dawniéj przynajmniéj stare żydówki ubierały się w srebrne i złote czépki, przetykane muszelkami i perłami. W Ułaszkowicach na targu roiło się od wędrownych handlarzy pereł.. Dziś postęp, moda wszystko zatarły... Ta wasza cywilizacya jest gorszym wrogiem ludzkości, niż sto chorób razem wziętych. Ale ja się nie zrażam... Wpadłem na kapitalny pomysł... Niema u was fabryki pobielania garnków... Ileż gospodyń odrzuca po kilkakrotném użyciu doskonały jeszcze garnek dlatego tylko, że się wnętrze wyszczerbiło... Hę? niezły pomysł, co?

— Niezły, ale...

— Co ale, niema żadnych ale... Myślisz zapewne, skąd wziąć środki?... Bagatela!... mnie każdy zna i zawierzy, ile zechcę. Zresztą matka...

— Łoży wszystko na chorobę...

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków—odpowiedziałem.

Ogromnie wysoki mężczyzna posunął się ku mojemu ojcu i wstrząsał całą siłą jego dłonie.

— To i widzi pan, że przyszedłem jak przyrzekłem. Może w szczęsną spotkaliśmy się chwilę. A to synaczek, prawda?

— Rodzoniuteńki—odparł mój ojciec.—Com się namęczył, zanim zeń zrobiłem doktora!...

Przybyły skrzywił się nieznacznie i skrzywienie to prędko zamaskował.

— Pan dobrodziejaszek stale tu, między nami?—pytał gminnym, wiejskim akcentem.

— Dopiéro niedawno zjechałem...

— Ejże, przysiągłbym na Chrystusa rany, żem pana dobrodziejaszka widywał na klinice między skubentami.

— Mnie nie...

— To być nie może... Przypominam sobie na pewno, że pan dobrodziejaszek opukiwał babę, którą przywiozłem do szpitala z naszéj wsi. Stał wtenczas przy jéj łóżku profesor, taki w białym drelichu, z dużą, rozczochraną brodą, z swoimi adjutantami i przypatrywał się robocie pana dobrodziejaszka...

— Nie jestem panie lekarzem, więc nie badam po szpitalach. Najwidoczniejsza pomyłka...

— Ależ, panie Komarowski, syn mój nie medyk... Nie bój się pan, u nas niema denuncyantów... Lécz pan córkę, byleś ją wyleczył...

Ojciec zwrócił się następnie do mnie.

— Spotkałem przypadkiem pana Komarowskiego. Znam go z dawien dawna...

— Grywaliśmy w ferbla...—wtrącił Komarowski.

— Co się téż panu śni!—rzekł surowo ojciec. — Pan Komarowski słynie w swojéj wsi i daleko naokół z cudownéj sztuki leczenia. Biegną do niego, jak do rabina w Sadogórze. Kneipp jest obok niego zerem. Mówiłem mu o moim strasznym frasunku i przyrzekł mi dopomódz.

— Z całą miłą ochotą. To nie ja leczę, lecz Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun wszystkich.

Popatrzył na ojca.

— Może mnie pan zaprowadzi...

— Dla mnie to zanadto bolesne...—oświadczył ojciec.—Syn mnie wyręczy. Mój Michasiu...

Obrzuciłem pośpiesznie od stóp do głów przenikającém spojrzeniem Komarowskiego i zapałałem do niego wielką nieufnością. Jednocześnie obudziły się jednak w duszy mojéj dziwne nadzieje. Za nic w świecie nie puściłbym tego człowieka, zanimby nie poszedł do łoża méj siostry...

— A może on istotnie poradzi... — rozumowałem. — Tam gdzie nauka i logika zamierają, mają uprawnienie dyletantyzm i brak logiki.

Puściłem go przed sobą. Wyglądał napół z chłopska, napół z waszecia. Stąpał pewnie, poważnie. Wszedł do pokoju chorej cicho, ostrożnie.

Objaśniłem matkę krótko, o co chodzi.

Pochylił się nad łóżkiem i zakreślił w powietrzu znak krzyża świętego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

— Na wieki wieków...—odpowiedziała cicho Bronia.

Rozszerzyła źrenice, jakby chciała poznać przybysza.

— Czy to mamo ksiądz dobrodziéj?... Ja się chętnie wyspowiadam na ostatnią drogę... Sześć miesięcy już się, księże, nie modliłam. Tak się rwałam do rozmowy z Bogiem, a nie mogłam. Teraz już czytać nie potrafię z książeczki, a pamięć mam zmęczoną. Będę mówić: za tobą, księże...

— Kiedy ja przyszedłem nie spowiadać, tylko uzdrowić cię, panienko, w imię Jezusa Chrystusa, Pana i opiekuna naszego...

— Ja nie chcę, mamusiu, dłużéj czekać... Usłyszałam słowo: „niech będzie pochwalony", i ono obudziło we mnie potrzebę pacierza.

Matka roztworzyła niezwłocznie modlitewnik i czytała suplikacye:

„Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył, prosimy Cię Panie..."

Chora powtarzała wyraźnie, czysto każde słowo. Gdy skończyła, zauważyła:

— Mamuś, daj mi pocałować obrazek z wyobrażeniem Chrystusa w grobie.

Pocałowała obrazek, potém matkę w rękę.

Koronka na rogu obrazka była urwana.

Przesuwała między palcami kartonik i, natrafiwszy na zdefektowane miejsce, rzekła:

— Dasz, mamusiu, świéżą koronkę, prawda? Obrazek taki ładny! Tyle serc buja w okół Ukrzyżowanego... A u stóp jego przygwożdżonych do słupa leży czaszka ludzka. Czy tak? Jak ja to dobrze pamiętam...

— Po modlitwie czas na leczenie, panienko — odezwał się Komarowski.

— Jakżeż długo będę się leczyć? Pół roku konam codziennie. Zostawcie mnie w spokoju.

— Zostawić w spokoju? Nie wolno wątpić, panienko. Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun był na krzyżu, a przecież wstał. Będziesz zdrowa, jak rybka w wodzie.

— Tak mi mówią ustawicznie. Słyszałam to samo, gdy mi nogi zamarły. Wuj wówczas rzekł: lepsze od sarny odzyskasz nogi. Potém mi kostniały ramiona, dłonie... Stali nademną wszyscy i z uśmiechem zapewniali, że to chwilowe osłabienie. A dla mnie każda chwila była godziną, każda godzina dobą. Skupiałam duszę i wolę, chcąc się dźwignąć. Nie mogłam. Kwiaty rosły, drzewa się zielenią okryły, niebo zesłoneczniało, a ja odleżałam się w łóżku. Marny robak żyje, tylko ja się męczę bez końca.

— Koniec będzie złego,—odparł Komarowski — Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun...

— Potém straciłam oczy, a przez nie matkę, brata, wszystko... Za jakie grzechy ja cierpię? Dajcie mi oczy, choć na chwilę oczy. Ujrzę was drogich i umrę, bez narzekania. Mamo, mamusiu, rękę...

Matka ujęła jéj dłoń, całowała i oblewała łzami.

— Dlaczego, mamo, nie podajesz ręki?...

Matka zbliżyła usta do jéj ust, a następnie do źrenic.

— Teraz cię czuję... Nie oddalaj się odemnie.

Komarowski przyłożył do jéj stopy kawałek różowéj, delikatnéj, w wodzie zwilżonéj bibuły. Potém skrzyżował ręce na piersiach i czekał. Wpatrywaliśmy się w jego zagadkową twarz z wzrastającém zaciekawieniem. Spojrzał wreszcie na zégarek i energicznie oderwał bibułę od stopy. Była zesztywniałą, suchą.

— Ciągnie, gorze...

Pokręcił głową i zwrócił się do mnie:

— Ilu ich tu było?

— Kogo?

— No, tych medyków?

— Kilku, różnych...

— I pozwolili jéj się tak męczyć... Ha! ha!... Wyprowadzę ją z tego...

Popatrzyliśmy na niego, pełni ździwienia, niedowierzania i podniecającéj nas chwilowo nadziei.

— Kosztować będzie sześćset reńskich. Trzy kąpiele z ekstraktu bobrowego. Kupcie sobie sami maść. Dla mnie nic... Namyślcie się do pojutrza...

Nakréślił znowu znak krzyża świętego i znikł, zanim zdołaliśmy się zdobyć na odpowiedź.

* * *

Zastałem matkę w moim pokoiku. Głowę wtuliła w rozłożone na stole ręce i płakała. Zoczywszy mnie zerwała się energicznie.

— Skąd wezmę sześćset reńskich, skąd? Słuchaj, Michasiu, sprzedam suknie, futro, całe srebro i kolczyki. Zajmij się tém... Ale i tak nie starczy. Boże! skąd wezmę?...

Patrzałem na matkę uważnie, pytająco. Nie przypuszczałem, żeby do innych klęsk dołączyła się już zupełna ruina majątkowa. Wiedziałem, że matka ma niewiele, lecz przypuszczałem, że to niewiele wystarczy na przyzwoite utrzymanie domu i na zapas w czarnéj chwili.

— Dziwisz się? Kamienica po opłaceniu rat hypotecznych i procentów pokrywa ledwie nędzne nasze wydatki. Jeszcze jeden dług, a nie ma wyjścia.

— Więc i to mamo... Nie mogłaś zawczasu?...

— Co, zawczasu?

— No wiész...

— Nigdy! Coby ludzie powiedzieli? Świat jest surowym sędzią. Ja nie miałam odwagi dla was, słyszysz,dla was... nie wypadało...

— Nie wypadało?... Jak my wyszli na tém?... Masz tam Bronię...

— Czyżby nie mogło to samo nastąpić właśnie wtenczas, gdybym została owym społecznym banitą?...

Jakże straszna zatargała mną rozterka. Tak źle i tak nie dobrze. Zdawało mi się, że ludzie naumyślnie potworzyli sobie błędne koła, aby w nich grząść, marniéć, czepiać się brzegów i tonąć. Ujrzałem rozstajną drogę wśród dwóch gęstych borów. Jeden był dziki, zachwaszczony cierniami i ostami, drugi miał trochę światła, polanek i balsamicznych drzew. Ani z jednego, ani z drugiego nie było wyjścia. Musiało się w nich przepaść, zginąć na ścierniu, lub polanie. I gdzie tu wybór? Na takiéj rozstajnéj drodze życia podobnym się jest do ognika, który z suchszego na wilgotniejsze trzęsawisko wpada, ale z trzęsawiska wydobyć się nie może.

Ból ścisnął mi gardło i dopiéro po dłuższéj chwili ująłem ręce matki.

— Moja biédna, moja jedyna... Zapomnijmy o tém...

— Zapomnijmy... Trzysta uzbiéram, lecz resztę... Słuchaj, ojciec odbiérze w tych dniach większą sumę za kuratorstwo nad Filipowskim. Uzbierało się z czterech lat. Pomów z nim...

Jeszcze matka nie dopowiedziała tych słów, gdy zjawił się ojciec z flaszką w jednéj, z szklanką w drugiéj ręce...

— Powiadam wam, kolosalny pomysł!... Wyobraźcie sobie, moi drodzy, jak ta Galicya jest zacofaną. Na Bukowinie, koło Czerniowiec istnieje źródło „Burkut”, zawierające pyszne części mineralne. Woda chłodzi i lekko musuje. Trunek zdrowotny, doskonały. Nikt tego źródła nie zna. Odkryłem przypadkiem flaszkę w nędznym handelku. Import „Burkuta” wyprze u nas Giesshueblera. Zamierzam ofiarować pomysł pewnemu kapitaliście.

Nalał do szklanki trochę wody i podał mi ją.

— Dziękuję.

— Nie chcesz, to sam wypiję. Powiadam nektar, ósmy cud stworzenia. A jakże tam Komarowski?

— Zalecił trzy kąpiele po dwieście reńskich.

— To fuszer! Gdzie się taki chłop na czém rozumié. Jemu marchew skrobać, nie udawać lekarza. Nie mówcie nawet o tém Janowi.

— Przecież go ojciec sam polecił.

— Polecił nie polecił, wytocz mi proces. Narzucał się, że chorą chce obejrzéć, więc go się pozbyłem.

— Wierzę, lecz może mu się uda. Daj ojciec tę sumkę z kuratoryi Filipowskiego.

I wyciągnąłem przed siebie dłonie, spoglądając mu w oczy.

— Daj ojcze, zmiłuj się i daj...

On stał niemy, prawie skamieniały, aż mu krew zbiegła z twarzy.

— Nic nie mam dla oszustów!...

Matka stanęła pomiędzy nami. Oczy jéj pałały, trzęsła się cała febrycznie i złowrogo na ojca patrzała.

— Ty!... Ty!...

Nie mogła się zdobyć na więcéj. Wtém wpadła, jak strzała, Jagusia.

— Paniuńciu, paniczu!

Łkała i obcierała fartuchem powieki.

— Co się stało? — zawołaliśmy równocześnie i zmierzyliśmy ku drzwiom.

Jagusia odjęła fartuch od twarzy i wówczas dostrzegliśmy, że na téj twarzy była jakaś prosta i bezgraniczna radość.

— Panienka, Bronia cokolwiek owidziała...

Pobiegliśmy, jak szaleni, do sąsiedniego pokoju.

— Broniu, moja droga Broniu!

— Mamusiu, zdaje mi się, że światło spływa mi do źrenic. Takie niewyraźne, szare, skąpe. Ach! jeszcze jeden promyk. Przesuń mi przed oczami palec.

Matka kilkakrotnie zakreśliła w powietrzu wachadłowy ruch palcem.

— Widzę, miga się, ale obrazu uchwycić nie mogę. To tak, jakby krążek dymu cygarowego przesunął się i zginął. Nachyl mamo głowę. Aa... nie rozeznaję rysów, ale...

— Ale co dziecino?

— Przeczuwam, że je wkrótce rozpoznam.

Po kilku dniach prosiła matkę:

— Usiądź przy mnie i nie ruszaj się.

Matka siedziała bezwładnie i patrzała w nią bez przerwy. A jéj szeroko roztwarte źrenice spoczywały na matce jakieś jasne i wesołe. Szedł z nich blask niezwykły i cicha bezgraniczna rzewność. Nic nie mówiła, jakby była zamodlona i oderwana już od ziemi. Matka zaś, widząc ją taką niezwykle uroczystą, pomyślała sobie:

— To rezygnacya męki...

I łzy polały się duże po twarzy.

— Mamusiu, nie płacz...

— A skąd wiész, że płaczę?...

— Bo widzę...

Matka gwałtownie nad nią się nachyliła.

— Rany Boskie! dziecko, nie żartuj!

— Nie żartuję... zostań tak jeszcze, abym się mogła napatrzéć.

Matka stała nawpół zgięta, nie mogła od niéj wzroku oderwać. A gdy się już zmęczyła, całowała ją chciwie po źrenicach, czole i ustach. Potém się wyprostowała, i chmura podejrzenia przemknęła po jéj skroniach. Przystąpiła do komódki i wzięła fotografię.

— Poznajesz, Broniu?...

— Antosia...

Odniosła fotografię i wróciła z drugą.

— A to?

— Ludzia. Kiedy, mamusiu, Ludzia mnie odwiedzi?

— Zaraz, kiedy chcesz, dziecino.

Matka rzuciła się na nią i znowu ściskała i płakała z radości.

— Wszystko będzie dobrze! Bogu dzięki, Bogu chwała!

Ale Bronia leżała jakoś martwo i nie cieszyła się.

— Czegoś zasępiona, ty duszo moja?

Milczała uporczywie.

— Może ci słabo? Może posłać po doktora?

Otworzyła usta niedbale, leniwie.

— Nie, mamusiu, tylko mnie to światło drażni, kłuje. Zdaje mi się, że wielka, burzliwa kaskada słonecznych blasków spada z wysoka i uderza z ogromnym rozmachem w moje źrenice. Nie mogę żaru powstrzymać... On spływa tak silną falą, że mi mąci do reszty zmysły.

Przysłoniłem w trzech czwartych częściach okno, skutkiem czego półmrok zapanował w pokoju.

— Michasiu, mój drogi, dziękuję.

Oglądała mnie, jak mogła wymęczonemi i uzdrowionemi oczami.

— Jakiś ty biédny, mizerny. Chodź, pocałuj mnie.

Zrazu sam czułem, że jéj się trudno oswoić z światłem, z dniem i wrażeniami. Popadła nawet w stan wielkiego rozdrażnienia i wizyonerstwa. O zmierzchu zaczęła na jawie majaczyć. Utrzymywała, że szafa ustawiona w narożniku pokoju jest czarną bryłą, zwisającą w powietrzu, która lada chwila na nią runie. Prosiła bardzo, żeby niebezpieczeństwo oddalić, bo chce jeszcze żyć. A gdyśmy ją zapewniali, że to przywidzenie, krzyczała gniewnie:

— Ratujcie, leci! Chcecie mnie zabić...

Następnie zdawało jéj się, że Chrystus z obrazu spływa ku niéj powietrzną falą.

— To On, On...

Zaczęła odmawiać „Ojcze nasz" i zasnęła. Sen miała niespokojny, zaludniony tłumem widziadeł. Mówiła głośno o czarnéj pani, potém wspominała o różnych koleżankach z kursów robót ręcznych. Z piersi jéj i czoła buchała gorączka. Nazajutrz była zupełnie osłabiona. Nie żądała niczego, nie przyjmowała nawet pokarmów. Dopiéro po kilku dniach prosiła, aby do połowy podniesiono zasłonę na oknie. Światło jéj nie raziło, owszem im więcéj go było, tém prędzéj się ożywiała. Chciała, abym jéj podsunął pod oczy książkę. Wziąłem „Margiera" Syrokomli. Otworzyłem na chybił trafił. Wytężyła źrenice i czytała:

„Bo w słowach macierzystych jest urok nie lada,
„Wróg zawsze nas rozbroi, gdy niemi zagada..."

Zrazu szło recytowanie trudno, powoli, prawie sylabizowała, w końcu jednak wymawiała wiersze gładko, chociaż słabym głosem.

— Już dosyć, Michasiu.

Natarczywie domagała się, abym mą dłoń na jéj ustach położył, i zaczęła ją chciwie całować.

To samo musiała uczynić matka. A gdy już wargi miała zmęczone, rzekła z niezwykłém rozradowaniem:

— Teraz jestem waszą, całą waszą...

Wszedł wuj Jan.

— Jakżeż dzisiaj, lepiéj, prawda?

— Mnie lepiéj, ale wujowi pot spływa...

Potarł machinalnie czoło i wgłębił się w jéj oczy. Nic nie powiedział, tylko odwrócił się twarzą do okna i milczał uporczywie. Potém podszedł do szafy i bębnił kilka sekund palcami w drzwi. Wreszcie założył poły surduta na skrzyżowanych w tyle dłoniach i przebiegał pokój. Gdy mu się niecierpliwe bieganie uprzykrzyło, przystanął nad łóżkiem. Wydobył z surduta papiérowy manekin, który nosił zawsze dla uspokojenia chorych dzieci, i pociągnął za sznurek. Pajac wystawiał język, wywracał oczami, podrzucał pod biodra kolana i rękami trzepotał w powietrzu. Wuj mruczał pod nosem:

„Jedź, rycerzu, po pacierzu w ojców kraj ..“

Bronia zaś dokończyła:

„A ty, wuju, mu na drogę plastra daj...“

I było śmiechu i radości bez miary. Matka, oszołomiona, chodziła do każdego z osobna i zapewniała:

— Żadne moce już mi jéj nie wydrą...

Każdy dzień istotnie przynosił choréj nowe brzaski: powolne, lecz stopniowe polepszenie. Zaczęła poruszać kończynami palców i prosić o rozcieranie ramion. Niebawem ujmowała krążek w dłoń i ściskała go silnie. Ciągle się téż dopraszała to mnie, to matki, abyśmy jéj pozwolili uszczypać się lub mocować na ręce. Naturalnie te biédne jéj, pożółkłe dłonie chwiały się jeszcze niepewne u sztywnych, nieruchomych ramion. Naprężała je ciągle w kierunku pionowym i przebierała z widoczném zadowoleniem w powietrzu palcami. Władza jednak wracała i do ramion. Kiedy pierwszy raz po długim czasie mogła je podnieść w górę, przygarnęła matkę do piersi i nie chciała jéj puścić:

— Moja droga, moja jedyna mamusiu!...

Potém przyszła koléj na mnie. Teraz dopiéro przypomniała sobie, że byłem zagranicą.

— Więc przyjechałeś dla mnie?...

I uścisnęła mnie jeszcze goręcéj. Następnie przeniosła spojrzenie na matkę i oczami wabiła ją ku sobie...

— Uratowałaś te oczy i ramiona, weź je sobie...

Powtarzało się to kilka razy na dzień, zawsze wśród nowych wybuchów płaczu, radości, wykrzyków wdzięczności.

Pewnego dnia rzekła:

— Odleżałam się już cała. Posadźcie mnie na krześle.

Ułożyliśmy ją na zasłanym chustami fotelu. Nogi miała zupełnie martwe, bez życia. Żądała, aby je przysłonięto, gdyż się wstydziła kalectwa. Codziennie zjawiali się znajomi z zapytaniem o zdrowie. Domagała się, aby każdego dopuszczano.

— To mojéj mamusi i temu tam braciszkowi zawdzięczam — zapewniała gości, wskazując na mnie palcem.

Wpadła i Ludka. Opowiadała jednym tchem. Słowa toczyły się wartko, porywczo, namiętnie. Właściwie tak dalece nic nowego nie zaszło. Na kurs haftu zapisało się trzydzieści uczennic. Sroczyńska wyszła za mąż, Narko zaręczyła się, a Joasia Pawiak wstąpiła na scenę. Gra teraz w nowéj sztuce francuskiéj małą rólkę, lecz nie podoba się. Ludka wié na pewno, że dyrektor teatru nazwał ją „krowięta” i nie wiele sobie po niéj obiecuje. Po co jéj się było brać do nieswoich rzeczy! W saméj klasie nic szczególnego. Pani Maryańska zamęcza uczennice. Tak ją już znienawidzono, że pozłoszczone panienki podają sobie za plecami kamerton, wydobywają z niego ton i rozdrażniają ją do ostateczności. Zdenerwowana, lata po klasie, chcąc odszukać kamerton, lecz głos to tu, to tam się rozlega. Kiedyś oświadczyła, że w razie powtórzenia się podobnie „piszczącéj” sceny, lekcye zawiesi. Zresztą nic a nic...

Zaledwie Ludka odeszła, rwała się Bronia do ogrodu. Tłómaczyliśmy jéj, że się może przeziębić, że po kilku dniach deszczu wilgoć została w powietrzu i w ziemi, lecz ona odparła z kaprysem:

— Muszę się dostać pod niebo, bo mi tu duszno.

Ponieśliśmy ją na krześle, owiniętą w pledy i chusty. Oddychała przyśpieszoném tempem. Oczy jéj jaśniały i biegały niespokojnie po drzewach i niekształtnych krzakach bzu. Przystanęliśmy pod altanką. Rozejrzała się nieśmiało, niepewnie wokoło.

— Jesteście tu wszyscy, moi?

— Przecież widzisz, Broniu...—odrzekła matka.

— Tak, ale brak...

— Kogo? dziecko...

— No, wiecie dobrze...

— Ojca?...

— Taak...

— Niema go w domu. Może wróci niedługo.

— Mamusiu, ja pragnę, abyśmy tu wszyscy byli.

Matka spojrzała na mnie znacząco. Oddaliłem się w stronę domu i po chwili sprowadziłem ojca. Zbliżając się do altanki, argumentował:

— Trudno, abym jak kura na jajach siedział w pokoju. Gdyby nie ja, coby było. Strach, co się dzieje na tym świecie! Dzień dobry!... Toś mi się spisała, Broniu! Ja zaraz mówiłem, że niema gwałtu. Hetka pętelka...

Zaczął następnie opowiadać o próbach sprzedania pomysłu eksploatacyi „Burkuta".

— Rzecz prosta, u nas trudniéj o kupca na leżącą odłogiem żyłę złota, niż na zbytki, wyjazdy i Bóg wié jakie nonsensy. Niemcy wyciągają z Galicyi rok rocznie tysiące, a Galicya kłania im się uniżenie i prosi: weźcie panowie... Każdy pomysł w takich warukach zmarnieć musi, bo niema odpowiedniego gruntu społecznego. Chodziłem od Kaifasza do Annasza, lecz obaj twierdzili: to żaden interes. I wiecie, co zrobiłem?

— Co takiego?—zapytałem ciekawie.

— Udałem się do księży Dominikanów. Właśnie na wizytacyę zjechał ojciec generał. Figura wysoka, jak pół kamienicy krakowskiéj, a gruba! rany Boskie, tak grubéj nie widziałem. Stał właśnie z braciszkami i ojcami na korytarzu. Objaśniłem mu, że chodzi o używanie wody przez zakon i korporacye, a to dla celów reklamy. Zamyślił się chwilę i rzekł do obecnych po łacinie (ja to zrozumiałem): ma tam który z braci brewiarz? Żaden się nie odezwał, tylko wokół powstał szmer duży, bo każdy wziął się do szukania... W końcu się okazało, że brewiarze są, ale w celkach. Ma tam który z braci korkociąg?—zapytał ponownie ojciec generał. I powiadam wam zerwała się ich cała ćma i każdy niósł korkociąg to osobny, to u scyzoryka. Mamy! mamy! — wołali ze wszystkich stron. Ojciec-generał odkorkował tedy butelczynę „Burkuta", wychylił trochę płynu, mlasnął wargami i rzekł: specyał... Niech pan będzie spokojny, ojcowie zaopatrzą się w tę wyborną wodę...

Śmialiśmy się i żartowali z opowieści ojca, a Bronia dostrzegłszy, że stoi, wskazała mu ławkę.

— Niech tata usiądzie, proszę bardzo.

Rozglądnęła się raz, drugi, zgarnęła włosy i westchnęła:

— Jak mi dobrze! jak mi dobrze!

Ujęła dłoń matki i pokryła ją własnemi dłońmi.

— Wiecie, co to odzyskać wszystkich, gdy się wszystkich traci? Gdym dogorywała i światło straciła, codziennie żegnałam się z wami w duszy. Snuły mi się wówczas ustawicznie utrapione myśli: co się stanie z mamą, co z Michasiem? Jak długo wy żyć będziecie, co was czeka w przyszłości... czy słońce szczęścia zaświeci wam? Boże!... takie odgadywanie, takie wglębianie się w daleką przyszłość — to jak

przesuwanie się po brzegach przepaści, ogromnéj przepaści. Ja w nią wpadałam tysiąc razy. Teraz zostaniemy razem... na zawsze.

Uwiłem bukiecik róż i złożyłem go na jéj kolanach.

— Jak tu szeroko, jak wietrzno!

Zastanowiła się chwilę i rzekła do matki:

— Gdyby tak jechać w góry, na wieś!... Pragnę dużéj przestrzeni, wielkiego nieba...

Matka odrzekła zakłopotana:

— Pożądasz, dziecko, niemożliwości. To na rok przyszły... Teraz wuj nie pozwoli.

— Pozwoli, pozwoli, zobaczysz mamusiu...

— Zobaczysz, że nie...

Mrok spadał na ziemię i rzucał cień na drzewa. Liście ich szumiały, drżały... Ponieśliśmy ją na krześle znowu do pokoju. Wskazała na oleandry przy oknie. Jeden z nich już usechł prawie, na pniaczku zaś drugiego rozwijały się nowe pręty i puszczały się młode listki.

— To symbol twéj przyszłości—zauważyłem.

— Tak, masz słuszność, mój kochany...

* * *

Bawiliśmy od tygodnia na wsi. Łąki były białém gniazdkiem, zawieszoném na zielonych wyżniach górskich. Niebo nad wierzchami, smutek przysiołka na ziemi, a z boku bezmiar falujących wyniosłości karpackich. Nad niemi królowały na horyzoncie Tatry, jakby gęsta mgła, płynąca w dalekie światy. Wszerz i wzdłuż dużo powietrza, zieleni i majestatycznéj ciszy gór. Do Łąk sprowadziła nas pani Amalia Łucka, serdeczna przyjaciółka naszego domu. Dowiedziawszy się, że szukamy na kilka tygodni letniego mieszkania, sama przyjechała i zaczęła nalegać:

— A jakie mamy tam rozkosze! Powietrze to zefir... Wokoło raj przyrody i spokój cmentarzy... Jest tam Felcia Tarszo i Władek Kulisz, a goście zapowiadają się codziennie. Broni będzie wesoło do syta. Dworek bieluchny na szczycie góry, prawdziwa cacanka, pudełeczko. Miejsca, ile chcecie.

Upłynęło jeszcze kilka dni na sprawianiu różnych drobiazgów. Ciężko było z tą drogą... Musieliśmy Bronię wynosić z poczekalni kolejowéj do wagonu wśród tłumu gapiących się osób. Zakrytą była po szyję chustami, a na głowie miała lekki słomiany kapelusz. Domykała wstydliwie powieki i szeptała nerwowo:

— Jak oni mnie oglądają!... kalectwo, nędzne kalectwo...

To samo powtórzyło się, gdyśmy ją z wagonu kolejowego przenosili do przygotowanego powozu. Oglądała się trwożliwie naokół i przypatrywała górom i rozrzuconym u ich stóp łąkom.

— Nowy świat... Tu chyba lepiéj umiérać, niż gdzieindziéj...

Obruszyła się na nią matka i strofowała za niepotrzebne myśli żałobne, lecz ona matkę objęła ramionami i przycisnęła do siebie:

— Tak mi dobrze jechać z wami.

Konie pięły się pobrużdżoną, pokręconą drożyną coraz wyżéj, coraz wyżéj. Z jednéj i drugiéj jéj strony roztaczały się ścierniem już i gęstemi ostwami pokryte pola, na które ponabijano kopice zżętego zboża. Tu i owdzie ciemno-szafirowe piargi karpackie, porozrzucane w nieładzie, staczały się ku drożynie. Chora się otrząsała co chwila i dotkliwie męczyła. Nareszcie stanęliśmy przed wrotami bieluchnego, bardzo skromnego dworku. Wybiegła pani Łncka, Felcia Tarszo i Władek Kulisz. Krzyknęli prawie równocześnie:

— Witajcie nam, witajcie...

Za niemi wypadła z izby Mitka, córka pani Amalii, przepasana fartuchem, z widelcem w ręce. Rzuciła się na Bronię gwałtownie, porywczo, objęła ją całą i całowała to po czole, to po oczach, to po ustach.

A kiedy ją już puściła, odskoczyła machinalnie nieco na bok i łzy jéj zalśniły na rzęsach. Obtarła je szybko dłonią i chichotała ogromnie szczebiotliwie:

— To cię mamy, ty, ty, udawaczko...

— Udawaczka, udawaczka! — powtórzyli wszyscy hałaśliwie i nagle zamilkli. Patrzyli na nią niemi, smutni i jakby przerażeni.

— Czego wy mnie tak badacie?—zapytała cicho.

— Nic!... nic!... ot, bośmy się dość dawno nie widzieli.

Ale rozmowa nie szła już jakoś.

Izdebki nasze zastaliśmy w największym ładzie. Pani Amalia nie zapomniała o niczém. Były doniczki na malutkich, owitych gałązkami winogradu dzikiego okienkach; były filigraniki na stolikach i książki na półeczkach. Ze szklanek wychylały się pstrokate bukieciki polnego kwiecia. Łóżko nawet zaścielone, śnieżne, czekało na Bronię. Zoczywszy ten szczegół, potrząsnęła główką:

— O nie, będę tam z nimi...

Pędziliśmy żywot prawdziwie patryarchalny. Początkowo siadywała Bronia tylko na werendzie, z któréj roztaczał się widok na rozpiętrzoną wokół panoramę.

Przy niéj skupialiśmy się wszyscy i gawędzili o różnych życiowych powszedniościach. Najweselszą była stale Mitka,—najsmutniejszą Felcia Tarszo. Nosiła ona właśnie ciężką żałobę po śmierci brata, którego niedawno pochowała. Jéj blado-różowa twarz, o jasnych lnianych włosach i niezmiernie dobrém spojrzeniu, była ogromnie poważną i bardzo przygnębioną. Czasem wymknął jéj się uśmiéch z kątów ust i znikał prędko. Zazwyczaj brała rolę do ręki, przygotowując się do nowéj kampanii teatralnéj, lub książkę o sztuce. Tak zaczytana i pogrążona w sobie, nie brała najczęściéj udziału w pogawędkach. Za to Kulisz urządzał co chwila inne „szopki". Raz udawał trupa, obwiązawszy sobie jak wisielec ręcznik naokoło szyi, drugi raz siadał znowuż na butelce i wywracał się na boki. Najczęściéj jednak naśladował wyżła, a że był niezmiernie suchym i kościstym i głowę miał istotnie do psiéj podobną, więc produkował się z powodzeniem. Bronia weseliła się, cieszyła i ciągle dopraszała:

— Jeszcze raz, panie Władysławie...

Pan Władysław sięgał zatém po butelkę, ręcznik, lub inny drobiazg i zaczynał nanowo popis.

Pewnego dnia postanowiła pani Łucka urządzić wycieczkę na szczyt pobliskiéj góry. W perspektywie zdawało się, że góra jest tuż pod samym dworkiem, w istocie trzeba się było na nią piąć przeszło pół godziny. Pani Łucka z początku wahała się i bała, bo sama była bardzo nerwową i zupełnie osłabioną, w końcu jednak zdecydowała:

— Muszę spróbować dalszego spaceru... Nie możemy tu siedziéć jak w areszcie.

— I mnie paniusia zabierze z sobą!...—dodała Bronia.

Matka wraz ze mną odezwała się równocześnie:

— Teraz niepodobna, zostaniemy z tobą, potém może...

— Wiem, że jestem kaleką i o własnéj mocy ruszać się nie mogę, ale choć do stóp góry powieźcie mnie na wózku.

Pani Łucka wytłómaczyła matce, że niema powodu upiérać się, więc matka zgodziła się. Około czwartéj popołudniu wyruszyliśmy z domu. Mitka prowadziła pod ramię Felę. Kulisz popychał wózek Broni, za nimi szła matka z panią Łucką, a wreszcie Jagusia. Kiedyśmy znaleźli się u stóp góry, oświadczyła pani Łucka:

— Chyba się nie rozdzielimy. Jeżeli już daléj nie można, zostaniemy z Bronią.

Lecz Bronia prosiła:

— Tam pod górą, gdzie krzyż stoi, ścieżyna dobra; powieźcie mnie wyżéj...

Ruszyliśmy zatém ponownie. Zatrzymaliśmy się dopiéro pod krzyżem, ustawionym na pamiątkę mordu tu popełnionego w r. 1846, jak wskazywał napis na blaszanéj tabliczce. Miejscowy proboszcz schronił się w te strony przed cepami rozjuszonego chłopstwa i padł ofiarą zgrai, chociaż się zasłaniał monstrancyą. Naokół, rozległy był widnokrąg i ogromne góry. Tuż, tuż siniały wyraźnie nakréślone kontury Tatr, poszarpane, groźne. Małe i większe wierzchy pod nami i nad nami falowały, ścigały się wzajemnie. Wszystkie kolory tęczy spoczęły na nich i mieniły się w blaskach łagodnego słońca. Najniżéj leżały Łąki, podobne do stada bieluchnych gołębi, które wtuliły główki pod skrzydła i zasnęły. Cisza wielka wisiała w przestworzu i płynęła po powietrzu. Szumiały tuż na pobliskich stokach bory, bo wietrzyk słaby padał na ich czuby, — ale szum w tym bezmiarze był szmerem skrzydeł majowego chrabąszcza. I my byliśmy martwi i niemi na chwilę, jak ta otaczająca nas przyroda.

Milczenie przerwała Bronia wykrzykiem:

— Boże! Boże! jak mi tu dobrze i strasznie zarazem:

Zakryła twarz dłońmi i znowu ją odsłoniła, a wraz z nią załzawione oczy.

— Broniu, co tobie?—zapytała z przerażeniem matka.

Zebraliśmy się koło jéj wózka.

— Ależ nic, zupełnie nic, chwilowe wrażenie...

Kulisz odciągnął na bok panią Łucką i szepnął jéj do ucha:

— Widziała pani, jakie ma oczy dzikie, chmurne... Twarz się téż zmieniła...

Pani Łucka, idąc za głosem swéj artystycznéj i wrażliwéj natury, odpowiedziała z otuchą:

— Pewnie oddziałała na nią ta wspaniała panorama:

Wszyscy téż uspokoili się i usiedli na ziemi, dla spoczynku.

Władkowi Kuliszowi ciągle jeszcze przypominała się gra w domino z Gorylskim, więc rzekł z poetycznym patosem:

— Gdyby te wszystkie prześliczne pola były dominami, mógłby Dziunio usiąść u stóp przeciwległego stoku górskiego i popróbować szczęścia...

Felę oburzyło do żywego, że Kulisz profanuje cudowną przyrodę. Zarumieniła się z podniecenia i pogroziła mu palcem.

— Pan taki zwykły cynik i marny filister.

Potém wyciągnęła przed siebie dłonie i oczy wzniosła do nieba.

— Jakżeż rozwichrzone te obłoki!... Płyną rozdartą, błękitną falą za tatrzański horyzont. Popatrzcie się!... Na skraju, na lewo

od nas, utworzył się wspaniały sarkofag... Gdzieś widziałam zupełnie podobny...

Zaczęła myśléć i trzéć czoło.

— Istotnie, Felu—odezwała się pani Łucka — tak wygląda pomnik Kazimierza Wielkiego lub Jagiellończyka na Wawelu.

Fela się rozradowała i klasnęła w dłonie.

— Prawda! prawda! Jak majestatycznie przesuwa się po błękicie... Rozpoznać można szczegóły. Jest korona królewska, i berło, i długie szaty... U nóg duży uśpiony orzeł...

Obłok mknął, rozlewał się, tracił kształty i znikł, utonął w ogromnym, jasnym szlaku, zawieszonym nad naszemi głowami...

Bronia patrzyła z niemym zachwytem na zjawisko, a kiedy ono przemknęło jak senne marzenie, pochyliła smutnie głowę na piersi.

Matka ujęła ją za dłoń i zapytała:

— Dlaczego nie cieszysz się z nami? Dlaczego nic nie mówisz?...

Musiały nią wstrząsnąć straszne burze i niepokoje, bo z jéj oczu szedł żar namiętności i rozpaczy zarazem. Dźwignęła się trochę na wózku, przechyliła biédną, zmizerowaną głowę i wychudłe ręce oparła na kolanach.

— Dlaczego się nie cieszę?... Chwilami zdaje mi się, żem wróciła do was po to, aby wkrótce odejść... Uciekłam z innego prawie świata, ale boję się, że mnie odwołają... Czarny anioł nie odstępuje mnie ani na sekundę... Wyście widzieli na niebie majestat króla, a ja z tych samych obłoków wytworzyłam sobie inną zupełnie postać... Ta myśl przytłacza mnie, zabija, dogryza... Odbierzcie mi tę myśl, tę grobową myśl...

Sposępnieliśmy, osłupieli, a Mitka i Fela odeszły na bok, aby stłumić płacz. Moja matka zaś złożyła ręce, jak do modlitwy, i prosiła:

— Przestań Broniu, przestań kochana...

— Ależ ja mateczko tak mówię, bo was nad życie lubię. Jak się cieszyłam słońcem po odzyskaniu wzroku, tak się cieszę wami, drogimi... odnalazłam moje skarby, choć droga do ich odszukania była mroczną i pełną cierpień. Tak mi z wami dobrze, serdecznie... Ile razy widzę przyrodę, lęk mój potęguje się bezmiernie... Piękno tych pól, lasów i przysiołków wzmaga we mnie przywiązanie do życia, a przejścia niedawne studzą cały zapał i wpuszczają robaka zwątpienia do każdéj myśli... Ale to przejdzie zaraz...

— Przecież, dzięki Bogu, zdrową jesteś Broniu—rzekła pani Łucka.—Nie myśl o przeszłości.

A matka dodała:

— I nie zabijaj mnie i siebie niepotrzebnemi wspomnieniami. Gdyby się chciało pamiętać o tém, co było, odechciałoby się wierzyć w to, co będzie...

— Już wiem co będzie, mamusiu... W najlepszym razie te nogi skostniałe nie odzyskają władzy... Muszę ciągnąć kalectwo, jak cień własny za sobą...

Mitka i Fela przypadły do Broni i tuliły się do niéj, jak dwie młode łasiczki.

— Nie wyrządzaj nam przykrości... nie smuć nas...

Ona objęła je drżącemi ramionami i dziwnie uroczyście powiedziała:

— Przed wami wszystko otworem... Możecie zdobywać sobie wiedzę, działać i rzucać się na bystry prąd życia... Ja siły straciłam, zanim zaczęłam się piąć pod stromą górę doczesnéj rzeczywistości... Nic więcéj nie mogę zyskać, prócz własnéj niemocy. Wiem, że są ideały, o których tylko śnić mi będzie wolno... Przemkną koło mnie, jak fantastyczne widziadła, i uciekną... Niewolnicą zostanę mego kalectwa i nędzy... Ot, na te góry, na to niebo patrzę z wózka, a gdy chcę, jak wy, przebiedz te zielone stoki, nie potrafię... I dlaczego?... Wiecznie być i zostać rośliną usychającą w cieplarni życia...

Opanował ją spazmatyczny, gwałtowny dreszcz nerwowy. Twarz miała siną, oczy błędne. Matka dała znak Jagusi. Wózek posunął się zwolna ku dołowi, a my za nim, jak zgnębiony orszak żałobny Bronia siedziała martwo, obojętnie, tylko palcami poruszała z błyskawiczną szybkością. Zanim wjechaliśmy do dworku, obróciła się za siebie i ogarnęła wzrokiem widnokrąg. W izdebce prosiła, aby jéj łóżko zasłano. Ułożyliśmy ją na pościeli, a ja wraz z matką pozostałem na straży. Pociła się, bladła, rumieniła naprzemian i od czasu do czasu tak zaciskała zęby, że zgrzytała. Palce wpijała silnie w kołdrę, aż ją w liczne pobruździła fałdy. Powieki zasunęła na źrenice i rozchylonemi ustami wyrzucała niezrozumiałe półszepty. W nocy wystąpiła gorączka i dreszcze. Majaczyła dużo o czarnym aniele i znowu o Chrystusie stąpającym po falach. Wczesnym rankiem zbudziła się, niezupełnie przytomna. Kiedy jéj pani Łucka podawała mléko, krzyknęła, że nie chce trucizny. Położyłem jéj zimny kompres na czole i nie pozwoliłem nikomu zbliżać się do łóżka. Spokój oddziałał na nią widocznie dobroczynnie, bo po pewnym czasie sama zażądała wody.

— Dam ci mléka trochę, Broniu.

Gdym jéj podawał szklankę, nie podniosła rąk.

— Masz Broniu, napij się...

— Nie mogę ruszyć dłońmi...

W téj chwili szklanka mi upadła na ziemię i rozprysnęła się w drobne kawałki. Równocześnie matka strasznie krzyknęła i runęła na podłogę. Pani Łucka wraz z Kuliszem i Felą wynieśli ją do sąsiedniego pokoju. Ja zaś stałem przytomnie nad chorą i troskliwie badałem:

— Jakto nie możesz podnieść rąk?...

Ona nic nie odpowiedziała, tylko ruszała nieznacznie samemi dłońmi, jakby chciała pokazać, że one zachowały resztki życia. Szło jéj to widocznie opornie — bo aż wargi zaciskała z żalu. Wyraz twarzy miała tak samo przekrzywiony i apatyczny, jak w czasie pierwszego, najgorszego okresu choroby. Zadepeszowałem natychmiast do wuja. Przyjechał nazajutrz w południe. Zbadał puls, przyłożył stetoskop do serca, a potém, zwyczajem swoim, chodził po pokoju, zarzuciwszy poły surduta na skrzyżowane w tyle ręce.

— Cóż? drogi wuju...

— Nic...

Nie chciał więcéj mówić.

Zbliżyłem się do niego po chwili.

— Kiedy wuj zamierza jechać, bo muszę się wystarać o konie...

— Daj mi święty spokój z końmi, zostanę tu...

Dzień płynął po dniu wśród cmentarnéj ciszy. Przy matce czuwała Fela z Micią, przy Broni ja z panią Łucką i wujem. Chora popadała ustawicznie w senność. Była zupełnie bierną, obojętną. Nie żądała niczego, nie dopytywała się o nikogo, pokarmów nie chciała wcale przyjmować. Musiałem łyżkę bulionu wciskać jéj przemocą przez zęby; ale i to się nie na wiele przydawało, bo nie połykała płynu. Więdła, ginęła z każdą chwilą. Twarz miała bledszą od płótna i męczeństwem namaszczoną. Ile razy skrzypnęły drzwi i w pokoju zjawiła się łysa głowa wuja, wołała konwulsyjnie:

— Nie chcę... nie puścić...

I dopiéro przekonawszy się, że to wuj, milkła znowu i martwo patrzała w pułap.

Po dziesięciu dniach, od czasu położenia się do łóżka, domagała się spowiedzi. Przyszedł ksiądz z Panem Bogiem i dysponował ją na ostatnią drogę. Po odejściu kapłana była bardzo pogodna, prawie uśmiechnięta. Anielska dobroć i cierpliwość wychylały się z jéj zamglonych nieco źrenic.

— Matki, na chwilę matki...—szepnęła.

Wprowadziłem osłabioną, ledwie trzymającą się na nogach matkę.

— Daj usta, mamo...—mówiła drżącym głosem.

Całowała ją lekko, ledwie swoje wargi do warg matki przykładając.

— Teraz ręce...

A kiedy i ręce jéj zasypała pocałunkami, prosiła cicho:

— Jeszcze włosy...

Musnęła zaledwie włosy i donośniejszym, już stanowczym tonem rzekła:

— Wyprowadź teraz mamę, Michasiu.

Wuj Jan trzymał chorą za puls i zwrócił się do mnie:

— Zaraz będzie koniec... Życie gwałtem ucieka...

W téj chwili rozległ się głos dzwonka z wieżyczki pobliskiego modrzewiowego kościołka. Ton płynął równo, miarowo po fali czystego powietrza nad przestworzem gór, nad cichém, w blaskach południowego słońca skąpaném siołem. Nadsłuchiwała, łowiła resztkami konającéj przytomności te ostatnie z ziemi tony. Zwróciła jeszcze raz wskos oczy i ujrzała rysujące się na tle okna kontury nieba i zielonych stoków. Anielskość i słodycz promieniały z jéj twarzy.

— Podnieś mi, Michasiu, głowę i daj kroplę wody.

Zwilżyłem jéj wargi.

— Dziękuję... Bóg z tobą...

I przegięła się jéj głowa w tył na mojém ramieniu i zrazu oblała ją mgła żółcizny, która stopniowo jednak zamieniała się w marmurową białość. Piersi już nie podnosiła, chociaż miała szeroko rozwarte oczy.

— Ona nie cierpi więcéj i nic nie czuje — rzekł grobowym głosem wuj.

Porwałem butelkę wina i chciałem niém potrzéć skronie Broni. Wuj mnie ujął silnie za ramię.

— Nie pozwolę, dość się męczyła...

Pochyliłem się nad łóżkiem.

Leżała sztywna, kamienna, taka bieluchna i spokojna, jak kararyjski posąg. Źrenice tylko miała odsłonięte i przechylone ku skroniom.

— Dlaczego, wuju, powiek nie domyka?...

Wuj zamknął jéj powieki, a ja dopiéro wtenczas zrozumiałem, że stoję obok majestatu śmierci.

Nie przypominam sobie doprawdy, co się działo przez trzy dni następne. To tylko wiem, że ją zawleczono do trumny, któréj wieko

sam zamknąłem. Potém szliśmy przez boczną drożynę wiejską i mały mostek, rzucony ponad rzeczką, opasującą cmentarz. Włożyli ją do mogiły, wykopanéj między grobami wieśniaczemi, na wieczne odpoczywanie. Pozostała przy niéj płaczka brzoza i kilkanaście nieśmiertelników.

W najbliższą wiosnę po pogrzebie zasadziłem na grobie przywiezioną z domu odrodzoną gałąź oleandru.

Gdym w lecie przyjechał pomodlić się na cmentarzu, pozostała z niéj tylko sucha, pomarszczona tyczka.

Włodzimierz Koszyc.

FRANCISZEK PALACKI

I JEGO ZNACZENIE

DLA ODRODZENIA CZECH [1]).

Swoji k svému, a vždy dle pravdy!
Hasło Palackiego.

I.

Czechy są obecnie najdaléj na zachód wysuniętą twierdzą Słowiańszczyzny, ale w pierwotném jéj osiedleniu stanowiły one tylko jedno ogniwo w potężnym łańcuchu ognisk, w których miało się rozniecić życie narodowe Słowian zachodnich. Niestety, plemiona sło-

[1]) Niniejsza rozprawa oparta jest na następujących pracach: T. G. Masaryk, „*Česká Otázka*“, 1895; Kalousek, „*Nástiń životopisu Frant. Palackého*“, 1876; Jar. Goll, „*František Palacký*“ („*Česky Časopis hist.*“, 1898, str. 211 — 279; tenże, „*Palackého program historicky prace*“ (tamże); Zd. Tobolka, „*Frant. Palacký jako politik a historik*“, 1898 (nakład „*Studentského Sborniku*“); Rezniček, „*Welký Čech*“, 1898. Nadto liczne artykuły w czasopismach naukowych („*Časopis Matice Moravske*“ — o stosunku Palackiego do Kanta; Hlidka Pospišil, „*Hlavni principy krasovědy Fr. Palackého*“, Krok) i literackich („*Zlatá Praha*“ — numer uroczysty, Rozhledy) i dawniejsze broszury Edw. Jelinka. Z wielkiéj jubileuszowéj publikacyi: „*Pamatnik na oslavu stých narozenin Fr. Palackého*“, pod red. d-ra V. Nowaczka, zawierającéj 44 prace. Korzystam tylko pośrednio przez Golla.

wiańskie, osiedlone w Karyntyi, Styryi, Austryi i w całych północnych Niemczech aż po Sołę i Łabę, nie dożyły tej szczęśliwej chwili, w któréj miały się poczuć narodami. W południowych sąsiadów Czech nie tchnęło tego życiodajnego poczucia narodowego chrześciaństwo, które oni dobrowolnie i bardzo wcześnie przyjęli—pożarła ich i strawiła Germania; północnym niosła krzyż ona sama, to już wystarczało, aby o tych plemionach wypowiedziéć żałobne słowa: „*vixerunt*". Niedarmo bowiem miecz teutoński ma postać krzyża, — niedarmo téż najwstrętniejszy typ Niemca zowiemy Krzyżakiem.

Niemcy chrzcili zachodnie plemiona słowiańskie we krwi ich własnéj, a taki chrzest prowadził je do zguby. Resztki niewymordowane w tyle sławionych „wyprawach misyjnych" uległy germanizacyi.

Nader korzystne położenie geograficzne ratowało Czechów. Nieprzebyte lasy dziewicze, szumiące na stokach górskiego wału i łatwo obronnemi wąwozami przerwanego od północy i zachodu, broniły zawiązków ich bytu narodowego. Wprawdzie niebawem napady cesarzy „świętego państwa rzymskiego" odebrały im niezależność polityczną, ale daleko groźniejszy był dla Czechów najazd pługa niemieckiego. Kramarz i kolonista z nad Renu już to masami, już niepostrzeżenie wdzierając się nad Wełtawę, zagrażali wytępieniem młodéj kulturze słowiańskiéj, niższéj pod względem materyalnym, a może i słabszéj pod względem duchowym.

Słowiańskość w mgłę się poczęła rozwiewać—niemczał tron, wynaradawiała się szlachta, lud tracił siły żywotne i popęd do rozwoju. Wedle niektórych dziejopisarzy, w początkach XV wieku można powiedziéć bez przesady, że narodowość czeska miała się ku zgonowi, ale szczęśliwym, niemal cudownym trafem siła życiowa jeszcze nie zastygła w ludzie czeskim. Syn chłopa, uczony i świątobliwy Jan Hus (t. zn. po polsku Gęś) stał się uzdrowicielem swego narodu. Husytyzm miał dać patryotyzmowi czeskiemu jakąś moc cudowną, że naród mógł długie czasy wytrzymać szalone szturmy morza germańskiego. Te momenty, które powszechnie uważa się za ujemne strony husytyzmu, mianowicie: silny podkład socyalnéj walki i odszczepieństwo religijne, miały być właśnie najsilniejszemi i najskuteczniejszemi dźwigniami wspaniałego ruchu narodowego.

Gdy zaznaczono silnie sprzeczność interesów bogatéj zniemczonéj szlachty i niemieckiego mieszczaństwa z interesami włościan czeskich, gdy nadto postawiono, jako postulat, wyższe i czystsze ideały etyczne, niż się praktykowały wówczas w Europie, gdy więc tych Niemców bogatych lud począł uważać za grzeszników, za nieprzyjaciół Boga i prawdziwego chrystyanizmu, témbardziéj gromkim i zjednoczonym

głosem krzyknął: *„smrt Niemcům!"* i, pokonawszy w dziesiątkach walk niemieckie wojska znowu „krzyżowcmi" się zwące, stwierdził, że Czechy są i nadal będą krajem słowiańskim. W tych tryumfach wojennych odzyskał sobie lud czeski szlachtę i mieszczaństwo.

Tak więc ani cesarze, ani naród niemiecki złamać Czechów i wynarodowić nie potrafili; wyruszyła z kolei trzecia potęga do walki: niemiecki system państwowy. Korzystając z każdego separastycznego porywu krajów korony św. Wacława, odebrali im panujący wszelkie przywileje. Zwłaszcza straszliwy, zdawało się, śmiertelny cios zadała narodowości czeskiéj klęska na Białéj Górze.

Odjęcie autonomii politycznéj i swobody religijnéj wyssało żywotne soki bytu narodowego. Ziemie czeskie—traktowane jak kraje zdobyte — zostały porzucone, niby ścierwo bez życia, na łup sępa biurokracyi niemieckiéj.

Nie tu jest miejsce dla pisania dziejów blisko 200-letniego ucisku narodowości czeskiéj, dość wspomnieć, że przeprowadzona w ostatnich swych konsekwencyach kontrreformacya katolicka najsilniejszym była przeciw niéj środkiem. Znakomity historyk czeski, Tomek, powiada, że Jezuici złożyli do grobu czeskiego ducha narodowego. Wydzierali oni z rąk ludu książki husyckie i protestanckie, które on całém sercem ukochał nie tyle z przekonania, ile raczéj instyktownie, z tradycyi. Zaciekli ci misyonarze niemieccy iście po krzyżacku nieśli na stos każdą książkę czeską, wygrzebaną z pośród słomy w stodole, lub z piwnicy, bo i tam ukrywane książki ich rysiemu wzrokowi nie uszły; wydzierali ludowi czeskiemu własną kulturę, wzamian nie dając nic, nic prócz niemieckiéj książki do modlenia. Sam Palacki pisze o tém w *„Swatoborze"* (r. 1864 — 65): „W ostatnich dwóch stuleciach żyliśmy tylko cieleśnie, duch w nas był utajony: jeżeli się zaś objawiał — to zawsze w cudzéj szacie. Świat téż zapomniał o nas, jakby nas wcale nie było; a kiedy się teraz zgłaszamy do bytu, dziwią się nam i wydaje się wielu ludziom, jakobyśmy poczynali sobie wbrew prawu i słuszności."

Straszne to były czasy, nie było walki, bo naród nie mógł się nawet bronić, niemczyzna, niby rdza, pokrywała całe kraje czeskie, wszystkie warstwy społeczne i w przeciągu półtora wieku wygryzła z oblicza tego narodu prawie wszystkie znamiona słowiańskości. Naród nie żył! Arystokracya, najbardziéj na pokusy wynarodowienia wystawiona, najwcześniéj im uległa, — szlachta i mieszczaństwo poszły za nią, inteligencya czeska nie istniała, tylko u podstaw narodu czeskiego ocalały zdrowe części, nieskażone germanizacyą, tylko w głębi pod popiołami tlało życie narodowe. Tylko z ludu i w ludzie można było wskrzesić naród, podjęli się tego synowie tegoż ludu i dokonali! Do-

konali dzieła prawie niedającego się pomyśléć, wskrzesili nie człowieka, ale cały naród!

Lud czeski po raz drugi zdobył sobie prawo nazywania się narodem, po raz drugi odniemczył skłonne do upadku wyższe stany, niestety tylko częściowo, a to nam tłómaczy, że fizyognomia społeczna Pragi i całéj Czechii jest nawskroś demokratyczna, że tam tacy Harrachowie lub Szwarcenbergi, o ile się za Czechów uważają, nie mogą na sobie tego przemódz, aby *coram publico* mieli odróżniać się od fabrykanta lub inteligenta i innych, ekonomicznie niżéj stojących. Niema tam murów, ani baryer międzyklasowych.

Jednym z tych synów ludu i to największym był Palacki, „ojciec ojczyzny".

Aby tém wypukléj zarysowała się przed naszemi oczyma wyniosła postać wielkiego Czecha, musimy uprzytomnić sobie stan Czechii na początku naszego stulecia i zapoznać się z głównemi zasadami, na których opiérało się odrodzenie czeskie.

II.

Dzieje jego — to droga ciernista, zwłaszcza pierwszych lat 40-tu, t. j. od r. 1790 — 1830, są okresem, w którym z wysiłkiem starano się utrzymać na rozstajnych drogach; ani mowy o jakichś szybszych postępach w kierunku narodowym; na różnych punktach obawiano się cofnięcia napowrót na łono Germanii. Nie było języka literackiego, nie było literatury, nie było miłości do spraw narodowych — wszystko to trzeba było stworzyć, a właśnie w tym okresie czasu niewielka tylko garstka młodych ludzi dobréj woli, pełnych ideału i poświęcenia, podejmowała to zmudne dzieło, choć zniechęcenie i zwątpienie częstemi były u nich gośćmi. Wszak Dobrowski, pierwszy Czech odrodzenia, wołał do swych gorętszych towarzyszy: „Dajcie pokój martwym". Wielki apologeta Słowiańszczyzny, Szafarzyk, pisał jeszcze w r. 1821: *„Lepe jest oslaviti narod swoj smrti, než jej znectiti životem."* A więc wtedy nawet głowy tego ruchu miały chwile, w których zdawało się im, że walczą o chlubną śmierć dla swego narodu, nie o jego rozwój. Kollar zaś jeszcze w r. 1832 pesymistycznie twierdził: „Ze Słowaków nic nie zostanie, z Czechów i Morawian także nic, chyba drobne szczątki." Że się na to zanosiło, wskazują opowiadania, że z początkiem naszego wieku można było przejechać Czechy wszerz i wzdłuż i nie słyszéć ani słowa po czesku. Praga miała wyłącznie niemiecki charakter do tego stopnia, że tylko najniższy proletaryat mówił językiem czeskim,

porządniéj nieco ubrany człowiek wstydził się nawet przyznać, że po czesku rozumié. Tego samego dowodzi znane upomnienie, wystosowane do Jungmanna, żeby sobie swém postępowaniem nie robił nieprzyjaciół, bo to będzie przeszkodą w jego karyerze: „stać się nawet może, że pan będziesz ostatnim Czechem". Do innych zaś wołano: „Porzućcie zbyteczne trudy, panowie, trupa ożywić niepodobna!" — ale na szczęście głosy te przebrzmiały wśród szlachetnych starań i pracy. Opowiadają, że Palacki do kilkudziesięciu osób zgromadzonych w jednéj sali powiedział: „Gdyby runął dach nad naszemi głowami, zginąłby cały naród czeski." Zdawało się, że na palcach niemal da się policzyć tych wskrzesicieli.

Przytaczamy tedy poważny ich zastęp:

Józef Jungmann, profesor języków klasycznych, autor „Słownika czeskiego", który miał doniosłe znaczenie narodowe, był synem kościelnego, który zarabiał nadto szydłem.

Krameryus, drukarz, syn kościelnego, który obok tego ubocznie zajmował się krawiectwem.

Rautenkranz, ksiądz, syn przekupnia.

Hybl, korektor drukarski, syn przekupnia krup.

Bracia Nejedlowie, synowie rzeźnika z miasteczka Žebrače.

Kamaryt, ksiądz i poeta, syn piekarza z miasteczka pod Budziedziejowicami.

Sedlaček, zakonnik i literat, syn mydlarza wiejskiego.

Rieger, publicysta i polityk, syn młynarza.

Ziegler, ksiądz, syn dziesiętnika (kaprala) w armii austryackiéj.

Slama, ksiądz, literat, syn chłopa.

Swoboda, syn chłopa [1]).

Prawie wszyscy ci „budziciele" narodu są duchownymi lub profesorami. Te zawody właśnie stanowią pierwszy zawiązek inteligencyi czeskiéj, a oddziaływać z początku mogą jedynie na lud i jego synów. Kazalnica była wówczas jedyną szkołą języka ojczystego, profesorowie wpływali prywatnie przez podsuwanie czeskich książek do czytania. Mimo, że wszyscy oni pochodzili z ludu i w domu rodzicielskim po niemiecku ani słowa nie słyszeli, to jednak szkoła średnia w tych sercach, w których rodzice żadnych narodowych uczuć nie mogli zaszczepiać, bo ich sami nie mieli i wstydzili się, że po niemiecku nie mówią z reguły, wléwała jad niemieckiego patryotyzmu. Najlepszym tego dowodem jest okoliczność, że czescy urzędnicy w Galicyi

---

[1]) Życiorysy ich wydał Rybiczka w r. 1885 w dwu tomach.

okazali się najbardziéj utalentowanymi germanizatorami. Tak więc ci pierwsi *wlastenci*, t. j. patryoci, byli rozbitkami, którzy w cudowny sposób zdołali uratować się od pogrążenia w morzu teutońskiém. Większość z nich nawet uświadomiła się pod względem narodowym dopiéro w czasie studyów uniwersyteckich.

Niemcy starają się obniżyć doniosłość „Nowozrodzenia" i przedstawiają je tylko jako podniesienie, zreformowanie literatury i wzmożenie liczby czytelników, a za dowód tego przytaczają, że przez cały XVIII-ty wiek byli w Czechach patryoci i że Dobrowski był tak dobrym patryotą, jak i inni młodsi; wiadomo jednak, że ci patryoci tylko po niemiecku mówili, a taki Dobrowski, jakkolwiek po niemiecku uczenie pisał o akcencie czeskim, to bardzo słabo po czesku umiał. Był to patryotyzm prowincyonalny, tak jak jest w Tyrolu patryotyzm tyrolski, w Szwabii—szwabski, w Prowancyi—prowansalski, w Kastylii — kastylski patryotyzm, ale taki patryotyzm doprowadziłby do tego, że w Czechach może za dni naszych po czesku rozumiałby chyba profesor filologii słowiańskiéj na uniwersytecie w Pradze.

Arystokracya wprawdzie miała w swém łonie członków, którzy odważali się w domu w nieobecności obcych mówić gwarą chłopską i prostaczą do swéj służby (Sternbergowie) [1]), ale, jak dotąd nie zdobyła się na odwagę stawać otwarcie pod sztandarem słowiańskim, tak témbardziéj w pierwszéj połowie naszego wieku ani mowy być o tém nie mogło. W r. 1845 napisał J. M. hr. Thun: *Ich bin weder ein Czeche, noch ein Deutscher, sonder nur ein Böhme.* To samo powtarza dotąd cała arystokracya ziem czeskich, o ile wprost nie jest niemiecką. Obecna postawa czeskiéj arystokracyi pod względem politycznym najlepszą jest ilustracyą jéj patryotyzmu. Stanowi ona, jak wszystkim wiadomo, osobne stronnictwo w parlamencie z zewnętrznym charakterem niemieckim, z tendencyami feudalnemi, starając się w obecnéj walce zająć stanowisko pośrednie, rozjemcze. Jakkolwiek niektórzy z nich potrafią wyłudzać ludowe mandaty pod firmą młodoczeską, to jednak chętnie cofają się w swe tradycyjne szeregi. Słaby udział téj arystokracyi czeskiéj w uroczystościach na cześć Palackiego jest widomym znakiem jéj stanowiska w narodzie. Że są wyjątki bardzo szlachetne i patryotyczne, tego wcale nie myślę zaprzeczać, ale są one bar-

---

[1]) Znany z patryotyzmu hr. Karol Chotek uczył się u Palackiego języka czeskiego w r. 1826, będąc najwyższym burgrabią m. Pragi, to jest mniéj więcéj na stanowisku namiestnika Czech. Hr. Kaspar Sternberg, pierwszy prezes Muzeum czeskiego, również za patryotę uchodzący, przyznawał się do czeskiéj i niemieckiéj narodowości.

dzo nieliczne; nawet najbardziéj sprzyjający odrodzeniu, całém sercem czeskiéj sprawie oddany, hr. Lew Thun ze wstydem przyznaje się do niedostatecznéj znajomości języka czeskiego.

III.

Jakież konkretne zadania stały przed „wskrzesicielami”?

Przedewszystkiém należało powiązać obecne życie z przeszłością, w którćj się naród swobodnie rozwijał, i wskazać drogi postępu na przyszłość, z drugiéj zaś strony postawić dokładną dyagnozę obecnego stanu narodu i starać się o najprędsze jego podniesienie. Nastał więc okres studyów nad przeszłością i analizy obecnego położenia [1]). Celem było stworzenie samoistnéj kultury czeskiéj, a wszechstronną pracą literacką wykształcenie języka ojczystego. Znaczyło to usunąć naród z pod przewagi języka i kultury niemieckiéj. Zadania to tak olbrzymie, że dotąd po stu latach są one zadaniami narodu czeskiego i pozostaną niemi nadal. Jeżeli wskrzesiciele narodu mieli znaléść posłuch, musieli wskazać i udowodnić, że może zawiązać się w Czechach życie słowiańsko-narodowe, równe zupełnie życiu, które dawała kultura niemiecka. Nadto, aby pociągnąć za sobą masy do czynu, musieli zacząć ten byt budować. Dążenia tych ludzi miały ogromne powodzenie, początkowo oni nawet marzyć nie mogli, aby odrodzenie takich, jak obecnie, dosięgnąć mogło rozmiarów. To téż radowali się serdecznie z każdéj świéżo wydanéj książki czeskiéj, z każdéj pieśni głośno wyśpiewanéj, z każdego słowa czeskiego publicznie wypowiedzianego. Każdy téż pracował za kilku, choć był z zawodu poetą lub literatem, pisał także dzieła naukowe i naodwrót; a każdy polemizował z Niemcami i oświecał lud. Odrębny ich charakter od zwykłych zachodnio-europejskich antykwaryuszów i badaczy pojął i uwydatnił w prelekcyach o literaturach słowiańskich Mickiewicz.

Każde ważniejsze przedsiewzięcie, w czyn wprowadzane, musi opiérać się na jakimś jednolitym poglądzie na świat i życie. Takich podstaw filozoficznych dostarczyła wskrzesicielom filozofia niemiecka. Największy, bo prawie zasadniczy wpływ wywarła filozofia Herdera. Hołdował jéj głównie pieśniarz budzącego się odrodzenia, Kollar. Był to, jak wiadomo, system zupełnie wolnomyślny, stosownie do ówcześnie panującego oświecenia umysłowego, na zasadach racyonalizmu

[1]) Najbardziéj charakterystycznym przedstawicielem pierwszych jest Palacki, drugiéj zaś, nieco późniejszéj—Hawliczek, ojciec młodoczechów.

oparty. Ideą przewodnią była *humanitas*, pojęta jako spełnienie w najszerszym zakresie miłości bliźniego, oraz pielęgnowanie i rozwijanie ideału człowieczeństwa w jego najszlachetniejszych przymiotach. *Humanitas*, będąca zasadniczą podstawą nauki Braci Czeskich, stała się w Niemczech ideałem Herdera i profesorów filozofii w Jenie, skąd przez Kollara przyniesiona została do Czech, tak więc w tym razie Czesi mieli tylko do zawdzięczenia Niemcom przechowanie i przypomnienie swych własnych idei. Ten sam ideał głosili za Kollarem Szafarzyk, Palacki i inni. Późniéj wywierała także wpływ filozofia niemiecka, szeroko rozpostarł wśród młodszych swój wpływ Kant—po nim pierwsze miejsce zajął z natury rzeczy Hegel, którego znowu wyparł z postępem czasu uczeń pierwszego, Herbart.

Jedném z pierwotnych źródeł odrodzenia czeskiego były postępowe prądy drugiéj połowy XVIII wieku, których kwiatem we Francyi były prawa człowieka i obywatela, a których wyrazem oficyalnym w Austryi był Jozefinizm. Wolność duchowa i wyznaniowa, postawione przezeń jako naczelne zasady, w Czechach z natury rzeczy prowadziły do tradycyi swojskich: reformacyi czeskiéj, do husytyzmu. Główni téż bohaterzy ducha tego okresu byli potomkami Braci Czeskich, jak Kollar, Szafarzyk i Palacki. Dobrowski, chociaż był księdzem katolickim, to jednak w radykalizmie pod względem wyznaniowym wyprzedzał nawet tamtych. Jungmann zaś, acz gorliwie jako pedagog chodził z swymi uczniami do kościoła, w głębi duszy był deistą w stylu Woltera. Tak więc pierwiastek racyonalizmu protestanckiego nadawał ton w odrodzeniu czeskiém. I nic dziwnego, miał li zakwitnąć na nowo byt narodowy, to musiano koniecznie nawiązać go do tych ideałów, które ożywiały naród w czasie najświetniejszego rozwoju i w chwili przerwania dawnego bytu narodowego. I w życiu narodów przeskoków być nie może.

Wszystkie inne prądy nurtujące Europę, tak polityczne jak i literackie, były także udziałem Czech. Wolter, teorye Rousseau'a, patryotyczne mowy Schellinga, walka narodów z światowładnym kapralem, romantyzm, bajronizm — wszystko to znalazło oddźwięk w Czechach, wywarło wpływ większy lub mniejszy i wszystko po swojemu przyczyniło się do wzmocnienia narodowości; szczególnie zaś wielkie zasługi położyła w tym kierunku niemiecka poezya romantyczna, jak to wykazał w ostatnich czasach dr. Murko. Założycielem szkoły romantycznéj był Jungmann, a głównymi wodzami byli: Čelakowsky, zbieracz i naśladowca pieśni ludowych czeskich i słowiańskich wogóle, Szafarzyk, Palacky, jako wydawca początkowych tomów „Czasopisma Czeskiego Muzeum" i autor wielu krytycznych rozpraw o najnowszych

płodach literatury, a przedewszystkiém Kollar, urodzony i działający na Słowaczyźnie, gdzie miasta Kezmark, Trenczyn i Presburg były początkowo siedzibami patryotów czeskich, skąd jego muza tatrzańska budzi naród czeski z uśpienia.

Ogólny rzut oka na odrodzenie czeskie przekonywa nas, że uświadomienie narodowe w Czechach postępowało od ogólno-ludzkich uczuć (*humanitas)*, które reprezentuje Kollar, przez słowiańskość, mającą swego przedstawiciela w Szafarzyku (Starożytności słowiańskie), do czeskości, która znajduje typowy wyraz, symbol w Palackim. Podobnie i filologia słowiańska pierwéj zakwitnęła w Czechach, niż nauka o ojczystym języku. Ściśle jednak biorąc, Dobrowski i Kollar stali na gruncie słowiańskim. Ten ostatni ulubioną swą ideę wspólności słowiańskiéj propagował gorliwie w poezyach i osobnych pismach, on także stworzył a przynajmniéj ugruntował austryoslawizm, t. j. ideę najściślejszéj łączności i solidarności Słowian, zostających pod rządami Habsburgów. Jungmann zaś i Hanka skierowali te ogólno-słowiańskie dążenia ku Rosyi, w któréj widziano jedyną potęgę, mogącą uchronić Słowian od zniemczenia, gdyby ich potrafiła zjednoczyć. Wobec pewności, żeby w ten sposób uratowali Czesi słowiańskość, nie dbali oni tak dalece o czeskość, któréj niespodziewano się własnemi siłami obronić.

Dobrowski stał się zapalonym rusofilem, i téj téż idei hołdowała prawie cała starsza generacya Odrodzenia. Doszło nawet do tego, że radzono nad tém, czyby nie należało za język literacki przyjąć mowy rosyjskiéj z jéj pismem podobném do cyrylicy, któréj autorstwo przypisywano podówczas Konstantemu, apostołowi Czechosłowian. Byłby to więc niejako powrót do pierwotnéj tradycyi. Inni znowu marzyli o stworzeniu wszechsłowiańskiego volapücku. Często już wspominany Jungmann cieszył się niezmiernie w listach do swych przyjacioł z upadku powstania polskiego z r. 1830, albowiem przez to znikła w łonie Słowiańszczyzny waśń bardzo groźna. Ciekawa to jednak rzecz, że nawet w tym względzie nauczycielem Czechów był Niemiec, Herder, który wielbił Piotra W-go i Katarzynę II-gą, Słowianom zaś, a zwłaszcza Rosyi, przepowiadał przeważające w Europie stanowisko tak polityczne, jak i kulturalne [1]). Dopiéro Palacki razem z Havliczkiem dobitnie

---

[1]) Wiarę głęboką, że Słowiańszczyźnie musi teraz przypaść w udziale kierownictwo w kulturalnym pochodzie ludzkości, po Kollarze odziedziczył A. Smetana i wykładał ją w swych dziełach filozoficznych, wydawanych w r. 1848 i 1850. Był on uczniem Hegla i starał się stworzyć narodową filozofię czeską.

wykazał, że Czesi swą narodową odrębność od innych Słowian czują, cenią i pod żadnym warunkiem nie złożą jéj w ofierze na ołtarzu Słowiaństwa. „*Čech ne Slovan*"—to ich hasło.

Nie brakło w Czechach i dla nas sympatyi. Puchmajer, poeta ludowy, który rad przerabiał polskie temata, był jéj pierwszym przedstawicielem. Żywiéj zajmowano się kwestyą polską po każdém powstaniu. Z korespondencyi Jungmanna wiemy, że w czasie powstania listopadowego istniało stronnictwo polonofilskie, a podczas styczniowego cała młodsza generacya stała po stronie Polaków.

Przy całéj niechęci do Niemiec i wszystkiego, co niemieckie, jeszcze w piątym lat dziesiątku bieżącego wieku wszystko czerpano stamtąd, mimo że w literaturze pięknéj i filozofii mogli znaléść w Polsce lub Rosyi godne naśladowania wzory. Massaryk zaznacza téż, że w czeskiém słowiaństwie wiele było nieprawdy, szychu powierzchownego i niezdrowéj fantastyczności. Słowa brano za pojęcia słowiańskie. Długo mogło się ono zdobywać zaledwie na przyobleczenie w szaty słowiańskie tematów pożyczonych od niesłowiańskich sąsiadów, nawet jeszcze wtedy w produkcyi literackiéj Czechów brał górę język niemiecki. Co prawda, nieraz najbardziéj patryotyczne rzeczy pisano po niemiecku, aby przez to zaznaczyć wobec obcych swe dążenia, aby agitować wśród takich, którzy czuli się dotąd Niemcami. Nie było to szkodliwe, bo się tą niemczyzną niemieckość gromiło, wybijało się klin klinem, lub jak mówi przysłowie ludowe: wypędzano czarta Belzebubem.

IV.

Wśród takich stosunków, które staraliśmy się powyżéj przedstawić w krótkim zarysie, wystąpił do działania największy bohater Odrodzenia, Palacki. Urodził on się w północno-zachodnim kącie Moraw, w małéj wiosce Hodsławicach u stóp góry Radhost 14 czerwca 1798 r. Przodkowie jego, jak prawie cała okolica, trzymali się potajemnie nauk Braci Czeskich i w lasach schodzili się na nabożeństwa. Po wydaniu patentu tolerancyjnego 1781 r., Hodsławiczanie przystąpili do wyznania augsburskiego, jako prawnie uznanego. Przy świeżo założonym zborze powstała szkoła, a jéj pierwszym nauczycielem był Jerzy Palacki, ojciec wielkiego historyka. Matka umarła w r. 1822-im, zostawiając najmilsze wspomnienie w sercu syna. Ojciec nie był bogaty, ubocznie zajmował się handlem masła, był także pisarzem gminnym; ostatecznie zapobiegliwością swoją zebrał sumę, która wystar-

czyła na nabycie dziedzicznego wójtostwa w wiosce niedalekiéj, gdzie po 7-miu latach 1836 r. zakończył życie. Był to człowiek bardzo rozsądny i przedsiębiorczy, próbował sił nawet w literaturze i wydał książkę dla młodzieży szkolnéj (1812). W walce o byt swéj rodziny musiało wcześnie wziąć udział pacholę, mające wyrość na największego Czecha swego wieku: pasało krowy, zbiérało grzyby, grosz zaś otrzymany za nie oddawało rodzicom. W r. 1807 posłał go ojciec do szkoły w Kunwaldzie, wsi niemieckiéj, półtory mili odległéj, aby się nauczył po niemiecku, albowiem sam nie był zdolny już wyżéj kształcić niezmiernie inteligentnego chłopca, który już w 6-tym roku życia przeczytał całą biblię. Po dwu latach tych niemieckich nauk, był już przygotowany do szkoły łacińskiéj. Wtedy ojciec zawiózł go do ewangielickiego zakładu wychowawczego w Trenczynie, gdzie tak silnie ulegał wpływom religijnym, że pragnął zostać misyonarzem protestanckim. Następnie z woli ojca, który niezmiernie dbał o protestanckie wychowanie syna, dostał się do liceum w Preszburgu, również ewangelickiego, tam téż odbył dwuletnie studya filozoficzne. Sześcioletni czas (1812—1819) spędzony w Preszburgu ma wielkie znaczenie w jego rozwoju. Przed kilku laty ustanowiono przy liceum profesora języka czeskiego, wtedy właśnie był nim Jerzy Palkowicz, patryota słowacki, dość płodny pisarz ludowy, ale dziwactwami i surowością odstraszający od siebie młodzież. Palacki pod jego wyłącznym wpływem nigdy nie byłby ukochał języka czeskiego. Przyczynił się do tego przypadek. W roku 1813, powracając z wakacyi do Preszburga, musiał się zatrzymać z powodu niepogody w Trenczynie u swego dawnego kolegi, którego ojciec, interesując się książkami czeskiemi i świéżo założoném czasopismem: „*Vidենske Noviny*", wydawaném przez Hromadkę, profesora czeskiego na uniwersytecie w Wiedniu, — prosił swego młodego gościa o objaśnienie bardzo wielu niezrozumiałych sobie wyrazów; pokazało się wtedy, że szkoła do tego stopnia wynarodowiła Palackiego, że jeszcze mniéj po czesku rozumiał, niż podejmujący go gospodarz. To zawstydzające go zdarzenie skłoniło go do czytania Komeńskiego i prac Jungmanna, z których zwłaszcza „Rozmowy o języku czeskim" wywarły stanowczy wpływ na niego. Przez to został pozyskany dla narodowości czeskiéj; w 15-ym roku życia, kiedy wkraczał w okres młodzieńczy, uczuł się dopiéro Czechem. Ojciec ojczyzny (*otec vlasti*) odtąd postanowił sobie przez całe życie poświęcić wszystkie siły podniesieniu narodu czeskiego.

Przezwyciężając niechęć, zbliżył się do swego nauczyciela Palkowicza i stał się jego współpracownikiem tak w redagowaniu „Tygod-

nika", wtedy przezeń założonego, jak i przy układaniu czesko-niemiecko-łacińskiego słownika. Między współuczniami wyszukiwał sobie takich, którzy byli przystępni idei narodowéj czeskiéj, i starał się na nich oddziaływać. Współuczniem jego był w tym czasie i Kollar, ale wtedy ojczyzny swéj w Czechach jeszcze nie widział. Z Szafarzykiem, który również przez czytanie rozpraw Jungmanna dwa lata wcześniéj doszedł do świadomości narodowéj, a wówczas studyował w Jenie, wszedł w stosunki listowne za pośrednictwem patryotycznego młodego Słowaka, Jana Benedicti...

W r. 1817 oddał do drukarni przekład kilku Mackphersonowych pieśni Ossyana, — pierwszy to utwór i pierwszy występ literacki Palackiego. Wnet jął się opracowania prozodyi czeskiéj. Przypadek chciał, że Szafarzyk, wróciwszy z Jeny do Preszburga, przywiózł ze sobą rozprawę téj saméj treści, wydali więc młodzi przyjaciele wspólnie swe prace, pod tytułem: „*Počatky českého basničtvi*" (poezyi), w r. 1818. Książka zrobiła wrażenie i zwróciła uwagę na autorów [1]). Szczególnie zainteresował się nią Jungmann, który téż napisał traktat w téj saméj materyi, wtedy jeszcze niedrukowany, i to dało powód do zawiązania między nim a Palackim listownego stosunku. Powstało w ten sposób trójprzymierze tych wielkich duchów i serc szlachetnych, obaj byli dla Palackiego zawsze najmilszymi ze wszystkich współpracowników na niwie ojczystéj. Obok literatury pięknéj zajmował się Palacki filozofią, która ostatecznie wypędziła mu z głowy marzenia o misyonarstwie protestanckiém w Hindustanie; odechciało mu się nawet zostać duchownym. Wśród istniejących wówczas teoryi filozoficznych wybrał bardzo szczęśliwie: Kant stał się jego przewodnikiem w poglądach na świat i życie. Bądź co bądź logika, a przynajmniéj teorya poznania kantowska była olbrzymią zdobyczą umysłu ludzkiego. Filozofii Kanta zawdzięczał on téż przedewszystkiém ukształcenie swego szlachetnego charakteru: stały popęd doskonalenia siebie i swego narodu, żądzę dobra i zapał do piękna; z drugiéj strony zaś z niéj czerpał on spokój myśli, skarb nieoceniony dla każdego. Nigdy téż nie dał się pociągnąć ultraracyonalizmowi Holbacha i encyklopedystów, owszem taka lektura wzmacniała w nim, jak sam powiada, religijność. Dla tak czynnego, a ciągle się rozwijającego, zapalnego umysłu, jakim był Palacki, wszystko to, co podawała szkoła, nie wystarczało. To była tak szczupła strawa, że

---

[1]) Palacki jednak spotkał się z krytyką ojca, któremu mierzenie długości i krótkości głosek wydawało się rzeczą marną; zachęcał on go raczéj do historyi, jako nauki bardziéj użytecznéj.

przyprawiałaby go o ciągły głód duchowy. O rozległości jego lektury (czyta najwięcéj dzieł poetycznych i geograficznych) i o umiejętném z téj lektury korzystaniu świadczą wypiski jego, dotąd zachowane. Czytał z piórem w ręku. Ze zdumieniem przypatrujemy się rezultatom własnéj domowéj jego pracy. Nauczył się języka serbskiego, starosłowiańskiego i rosyjskiego, korzystając ze stosunków z kolegami Serbami. Słuchał wykładów o języku francuskim i angielskim, z własnéj pilności nauczył się po włosku i hiszpańsku, a portugalską „Luzyadę" Camoensa czytał w oryginale. Redagował „*Przeszburskie nowiny*" przez jakiś czas w języku łacińskim i tego wszystkiego dokonał, zarabiając na życie i utrzymanie, jak każdy biédny student udzielaniem lekcyi. Dzięki względom profesorów, dostawał najlepsze miejsca w wyższych sferach, wśród których nabrawszy ogłady, nauczył się swobodnie poruszać, co na przyszłość miało dlań doniosłe znaczenie, albowiem, jak to zobaczymy, pozwalało mu sprawę narodową pchnąć na tory szersze. Następne trzy lata, po ukończeniu studyów filozoficznych w r. 1819, spędził jako pedagog synów pewnéj wdowy, szlachcianki węgierskiéj, przyczém rok jeden przebywał z swymi pupilami w Wiedniu, gdzie zaznajomił się z Dobrowskim. Cały ten czas, zwłaszcza pobyt w Wiedniu, poświęcił studyom estetyki i sztuk pięknych. Do wykształcenia jego smaku i znawstwa sztuki przyczyniło się wiele oglądanie znakomitych już naówczas zbiorów wiedeńskich. Płodem tych studyów był wydany w r. 1821 „Przegląd dziejów krasowiedzy (pięknoznawstwa) i jéj literatury", dzieło świadczące o bardzo rozległém oczytaniu autora w powszechnéj literaturze filozoficznéj a przez szczęśliwy zmysł krytyczny dotąd niepozbawione dla fachowców znaczenia. Rozpoczął też pisać dzieło „*Krasvěda*" (Estetyka), którego jednakowoż nie dokończył [1]).

V.

Nic dotąd nie zapowiadało, że Palacki tytuł do wielkości zyska przez dziejopisarstwo. Wprawdzie w Preszburgu nie wyłączał ze swéj lektury dzieł historycznych, poznał nawet ważniejszych kronikarzy czeskich (głównie przy pracy słownikarskiéj), studya filozoficzno-este-

---

[1]) Zajmował się nią jeszcze do r. 1830 i umieszczał pojedyńcze ustępy w początkowych rocznikach „*Časopisu Českeho Musea*".

tyczne naprowadzały go na tego rodzaju lekturę, ale historyi pierwszeństwa w swym naukowym warsztacie dać nie myślał.

W r. 1816 zrozumiał, że prawdziwa, wielka poezya istnieje, że mu brak sił, aby zostać wielkim poetą, i postanowił poświęcić się nauce, bo widział niedostatek dzieł naukowych w literaturze ojczystéj. W cztery lata późniéj zamyślał po estetyce zająć się historyą powszechną, lub napisać dzieło traktujące o języku i literaturze. Ale historya jakoś niepostrzeżenie wkradła mu się do serca i coraz bardziéj zaprzątała głowę tak, że nastał okres wahania się, czy ma dochować wiary swym dawniejszym ideałom, czy téż jąć się dziejów narodowych — opisuje to sam w swéj autobiografii. Dopiéro 1822 r. za cel swego życia wytknął sobie napisanie „pragmatycznéj historyi ziemi czeskiéj". Jak zaś wyłącznie ta myśl go opanowała wtedy, dowiadujemy się od niego samego w liście do Kollara: „*Nelze mi žiti, ne budu-li moci do vlastenského dějepisu se dati*"; a daléj dodaje: „*Aspoň Husitstvo budu-li živ popiši.*"

I dotrzymał słowa, bo w istocie działalność jego dziejopisarska dosięga szczytu w monumentalnych zarysach historyi husytyzmu. Z zapałem garnął on się do literatury, a widząc, że literatura nowoczeska ma przeważnie ogólno-ludzki charakter, a brak jéj zupełnie cech narodowych, postawił sobie za cel unarodowić ją. Ponieważ historya najlepiéj daje poznać właściwości charakteru narodu i jego ideały, ją więc wybrał, jako środek wprost do celu prowadzący. Poprzednie studya filozoficzne były nie złém przygotowaniem do nowo przezeń znalezionego celu życia, bo miał już wyrobione wysokie pojęcia o znaczeniu dziejów i zarazem wszystkie dane do ich zrozumienia. Dziejopisarstwo ówczesne czeskie, jak i polskie, niezbyt świetny przedstawiało widok. Jak u nas Naruszewicz, tak tam Dobner, ojcem krytyki czeskiéj przez Palackiego nazwany, postawił pierwsze kroki w kierunku umiejętnego badania przeszłości, — pozostawiając za sobą wstrętne i śmieszne, niekrytyczne kompilowanie, a raczéj przepisywanie kronik, upstrzonych wszelkiéj wiarogodności, ba nawet cienia prawdopodobieństwa pozbawionemi wywodami genealogicznemi rodzin magnackich. Niestety, obaj nie mieli następców, którzyby godnie kontynuowali zasady krytyki historycznéj. Znowu, dziwnym zbiegiem okoliczności, równocześnie z naszym sławnym i znakomitym Lelewelem występuje Palacki nad Wełtawą. Jednakże w następstwie wypadków 1831 r. badacz polski musiał się pożegnać raz na zawsze ze źródłami do dziejów ojczystych, które leżały w archiwach po kraju rozrzuconych; tymczasem Czechowi nie brakło ani źródeł, ani warunków pomyślnych do pracy dziejopisar-

skiéj. Natychmiast téż przystąpił do wykonania swego zamiaru. Opuszcza Węgry i przybywa do Pragi 11 kwietnia 1822 r. Dzień to równie ważny w życiu Palackiego, jak i w dziejach Odrodzenia, choć nikt tego wówczas nie odczuwał. Dwudziestopięcioletni rycerz, złożywszy dowody swych sił w sprawie narodowéj, już wstępuje w szranki bojowe. Przyszedł do Pragi z zamiarem zbiérania i studyowania źródeł do dziejów husytyzmu, ale musiał zarazem szukać chleba i dzięki troskliwemu zaopiekowaniu się nim przez Jungmanna i Dobrowskiego, dawnych znajomych, znalazł go zaraz. Dobrowski, starający się troskliwie o przygotowanie go techniczne do studyów rękopiśmiennych, archiwalnych i badań źródłowych, wprowadził go do domu hr. Franciszka Sternberga, który zaproponował mu napisanie genealogicznéj historyi swego rodu. Następnego roku była praca skończona ku zupełnemu zadowoleniu wykształconego towarzystwa, zbierającego się w salonach tego bardzo inteligentnego i patryotycznego magnata. Był to niejako patent, dający mu prawo obywatelstwa w tém gronie. Przez to stał się Palacki głównym pośrednikiem między szlachtą a literatami czeskimi i ich narodowemi dążnościami. Rola to była niesłychanie ważna, a on jedyny z ówczesnych literatów był do niéj przygotowany. Opieka arystokracyi wówczas była bardzo potrzebna, gdyż metternichowska policya wszędzie wietrzyła bunty, zwłaszcza zaś wśród garstki wskrzesicieli narodu; tém skorsza była do gwałtu, im łatwiejszą a dla państwa konieczniejszą rzeczą wydawało się zgnieść ten ruch młody w zarodku [1]). Hr. Fr. Sternberg polubił Palackiego i postanowił go zatrzymać na stałe w Pradze, czego sobie i inni patryoci najgoręcéj życzyli. Ponieważ zaś policya byłaby go nie ścierpiała, jako człowieka bez charakteru, to jest bez zatrudnienia, mianował go archiwaryuszem swym z roczną płacą 200 złr. Królewskie Czeskie Towarzystwo naukowe poleciło Palackiemu wydać kronikarzy czeskich z ostatniéj doby średniowiecza i ogłosiło konkurs na krytyczne ocenienie starych kronik czeskich. W r. 1829 dokończył pierwszéj pracy, a w rok późniéj wydał: „*Würdigung der alten böhmischen Geschichtschreiber*". Jest to niewielkie, ale ogromnego znaczenia dzieło, zawierające rozbiór 31 kronik czeskich, do początku XVI-go wieku. Naówczas było ono pierwszém w całéj Europie i dziś pozostało klasyczném a w rezultatach swych ostatecznych niezmienioném. Najsłuszniéj téż w świecie otrzy-

---

[1]) Palacki w późniejszych latach przypomina, że od r. 1830 otwierano z urzędu jego listy nawet do żony pisane.

mał zapowiedzianą nagrodę, choć nie miał żadnych kompetytorów. Za wpływem swego arystokratycznego mecenasa uzyskał Palacki prawo nieograniczonego korzystania z bogatego archiwum trzebońskiego ks. Szwarcenberga, w którém do końca życia szczególnie lubił pracować; nadto z ogromną energią i wytężeniem sił pracował w tak zwanych „Deskach ziemskich a dworskich”, równających się poniekąd z naszemi Aktami grodzkiemi i ziemskiemi, w praskiém archiwum gubernialném, miejskiém i innych. Pracę tę przerwała mu dopiéro śmierć. Pewnego razu, podczas zebrania u Sternbergów, Palacki bowiem po pracy szukał wówczas odpoczynku bardzo chętnie w życiu towarzyskiém, zeszła rozmowa na sprawy niedawno założonego Muzeum narodowego, którego prezesem był Kaspar hr. Sternberg, brat Franciszka, opiekującego się Palackim. Żalił się on wtedy, że społeczeństwo nie dba o tę pożyteczną instytucyę. Brak zainteresowania się Muzeum u ogółu przypisała Placki bezczynności tegoż i radził, aby Muzeum wzięło sobie za zadanie wspieranie literatury i narodowości czeskiéj, oraz zrobił uwagę obecnemu tam Dobrowskiemu, że po czesku wcale nie pisze. Gdy Dobrowski i Sternberg twierdzili, że już zapóźno myśléć o wskrzeszeniu narodu, — wtedy Palacki, uniesiony świętém oburzeniem, zawołał: „Jeżeli tacy wszyscy będziemy, zginie nasz naród, ale z naszéj winy, głodem duchowym. Ja, gdybym nawet był ostatnim z cygańskiego sodu, starałbym się całemi siłami, aby po nim została jak najchlubniejsza pamięć w dziejach.” Takiéj mocy przekonania i miłości ojczyzny nikt się oprzéć nie mógł i postanowiono wydawać: „*Časopis Českeho Muzea*”. Arystokraci wszystkiemi wpływami wymogli pozwolenie na to u rządu. Roku 1827-go poczęło wychodzić to pismo pod redakcyą samego Palackiego, po czesku jako kwartalnik, a po niemiecku jako miesięcznik. Patryoci uskarżali się na takie forytowanie języka niemieckiego, więc też po 4-ch latach zwinięto miesięcznik niemiecki, mimo pochwał, jakie mu oddawał wejmarski Jowisz, Goethe. Ciężkie kłopoty sprawiły Czechom zaciekłe spory, możliwe tylko między filologami. I tak kłócono się o prozodyę, czy ma być iloczasowa (metryczna), czy nie; najwięcéj żółci wytworzyła klasycznie filologiczna kilkoletnia wojna jotystów i ypsylonistów; trzecią ważniejszą kwestyą był spór purystów, którzy chcieli trzymać się jedynie języka klasycznego z XVI w., i neologistów, którzy słownictwo czeskie pragnęli naszpikować wyrazami własnéj fabrykacyi. Palacki z żadną partyą się nie łączył i skierował na siebie obosieczne języki i zatrute pióra obu obozów, przyszło nawet do tego, że przez dwa lata odmawiali mu wszyscy współpracownictwa, bo Palacki wybrał pośrednią drogę w pewnych

razach, w innych spór zupełnie ignorował, a w swém „Czasopisie” na żadną polemikę w tych kwestyach nie pozwalał. Wkrótce wszakże strejkujący współpracownicy zaczęli wracać i ostatecznie zgodzili się na to pośrednie stanowisko. W ten sposób naszemu bohatérowi przypadła w udziale zasługa zabezpieczenia rozwoju językowi czeskiemu. Redaktorem bezpłatnym „*Muzejnika*” (tak Czesi nazywali to czasopismo) był Palacki 11 lat; ze wszechmiar godnym jego następcą był Szafarzyk. W r. 1876 obchodził „Czasopis” 50-letni jubileusz, a jego założycielowi było danèm napisać wtedy w nim artykuł. Równocześnie prawie z objęciem redakcyi zaślubił Palacki córkę bardzo bogatego adwokata Mechury i otrzymał z ręką inteligentnéj i kochającéj go żony posag, uwalniający go od trosk powszedniego życia. Z żoną tą przeżył lat 35, ciesząc się zawsze prawdziwém szczęściem domowém. Bardzo szczęśliwa konstelacya przyświecała wielkiemu Czechowi w tym roku 1827-ym, bo wtedy również stany czeskie zaproponowały mu dokończenie pracy ex-jezuity Půbiczki: „*Chronologische Geschichte Böhmens*”, pisanéj między rokiem 1775 a 1800, rzeczy klasycznie niedołężnéj i doprowadzonéj do wojny 30-letniéj. On jednakże przedstawił stanom potrzebę świeżego opracowania całéj historyi na podstawie wszechstronnych badań źródłowych, zwłaszcza dyplomatycznych. Istotnie, dzięki poparciu swego mecenasa, 1829 r. został mianowany historyografem stanów czeskich z płacą 1,000 zlr. rocznie, ale rząd wiedeński, pomimo starań urzędowych i prywatnych, nie przyznał mu tego tytułu, Dopiéro w lat 9 późniéj wyszedł I-szy tom téj historyi, który postawił autora między pierwszymi dziejopisami naszego wieku; wrażenie było tém większe, im bardziéj jego praca odbijała się od nędznych prac jego poprzedników. W r. 1839, na ponowne żądanie stanów, rząd potwierdził Palackiemu tytuł. Nazwano go późniéj Ojcem Ojczyzny i słusznie, zawsze bowiem jego głowa była pełna praktycznych i sprytnych planów, dobro narodu na celu mających. Całe życie zeszło mu na obmyślaniu tego dobra. Jak zaś w istocie stał on się w krótkim czasie osią, wokoło któréj obracały się sprawy narodowe, dowodzi list Szafarzyka do Kollara, gdzie wprost powiada: „Bez Palackiego w żaden sposób rzeczy nie idą”; gdy zaś Palacki był chwilowo nieobecny, patryoci byli bezradni i jedynèm wyjściem dla nich było wezwać go do natychmiastowego powrotu na placówkę. Dowodem tego sprytu i energii patryotycznéj jest założenie „*Maticy czeskiéj*” około r. 1830. Instytucya ta istnieje dotychczas i oddała niesłychane usługi sprawie odrodzenia Czechów, ma za zadanie wydawać książki czeskie, a przez to szerzyć oświatę i podnosić literaturę narodową. Takiéj instytucyi

oddawna sobie życzyli patryoci, spodziéwali się oni nawet początkowo, że tę rolę Muzeum Czeskie obejmie. Aby rząd pozwolił wprost na założenie towarzystwa, mającego na celu pielęgnowanie języka i literatury czeskiéj — co do tego żaden rozsądny człowiek łudzić się nie mógł, Palacki jednak umiał powoli i po cichu tak sprawą pokierować, że rząd swojéj aprobaty nie śmiał odmówić. Pierwotnie postanowił on wydawać razem z innymi encyklepedyę czeską. Dla uniknięcia nieprzyjemności ewentualnych, z prywatnéj porady najwyższych urzędników krajowych, wydawnictwu temu dało firmę „Muzeum", i przyjęło Presla, Jungmanna, Palackiego, mających być redaktorami pojedyńczych działów encyklopedyi, jako członków nowoutworzonego wydziału muzejnego dla wspierania literatury czeskiéj. Korzystając z przysługującego sobie prawa, wydało Muzeum odezwę do patryotów z prośbą o składki na utworzenie zakładu wydawniczego, któremu nadano imię „*Matice Česka*" [1]). Po zebraniu dostatecznych funduszów, zarzucono myśl encyklopedyi jako przedwczesną, a postanowiono wydawać naukowe prace. Najpierw wydała Macierz wspomniany już wyżéj „Słownik" Jungmanna, drugiém dziełem był w r. 1832 przez Palackiego wydany „Katalog wyższych urzędników czeskich-ziemskich jak i dworskich, aż do czasów ostatnich", który jest nieodzownym podręcznikiem dla każdego dzieje czeskie studyującego. Macierz spełniała w pewnéj mierze rolę przez długi czas, zgodnie z pierwotnym planem Palackiego, Akademii Czeskiéj, która dopiéro w r. 1890 powstała, dzięki wspaniałemu zapisowi mieszczanina Hlavki.

Akademia petersburska traktowała wówczas z Czelakowskim, z Hanką i Szafarzykiem, aby przesiedlili się do Rosyi. Palacki spostrzegł, że przez to cenne te siły byłyby bezpowrotnie dla ojczyzny zgubione, postanowił więc usunąć to niebezpieczeństwo. Wyrobił tedy pierwszemu pensyę roczną u ks. Kińskiego [2]), Szafarzykowi zapewnił stałą pensyę roczną na 5 lat z tym warunkiem, aby osiedliwszy się w Pradze pisał odtąd po czesku. Na pensyę tę złożyło się 9 patryotów, wśród których był Palacki skarbnikiem, pozostało to jednak dla Szafarzyka tajemnicą na zawsze. W dwa lata późniéj, 1835 r., wydał on znowu nakładem Macierzy, swoje wiekopomne „Starożytności słowiańskie". Nigdy patryotyczna ofiarność nie została wspanialéj odpłacona; było to bowiem dzieło, które rehabilitowało niejako Słowian w oczach

---

[1]) Na jakiś czas musiano z rozkazu rządu tę nazwę instytucyi zawiesić.

[2]) Hanka ze względów domowych (opór żony) nie opuścił Pragi.

Europy z potwarzy niemieckich kronikarzy-zoilów, było przytém tak znakomite, że przez długie czasy Słowianie mogli go z dumą cytować, jako dowód stopnia swojéj kultury. Tymczasem w pracy nad historyą Palacki nie ustawał, obok krajowych archiwów starał się wyzyskać wszystkie znaczniéjsze zagraniczne, w r. 1837 uzyskał pozwolenie korzystania z najbogatszego na świecie archiwum watykańskiego, gdzie téż w przeciągu 10 tygodni przejrzał 45,000 dyplomatów, a 400 odpisał. W tak znacznéj mierze żadnemu z historyków świeckich nie pozwolono po owe czasy z téj niewyczerpanéj kopalni źródeł korzystać. Materyały zebrane przez siebie złożył Palacki w Muzeum, stały się one główną podstawą regestów czeskich Erbena i Emlera, którzy podjęli się téj pracy według jego planu. Sam zaś wydał zbiór formularzy listów, dyplomatów z XIII — XV w., jeden z pierwszych w Europie, i wskazał w jaki sposób należy z tego rodzaju źródeł korzystać. W r. 1840 rozpoczął wydawać „*Archiv Český*", zawierający dokumenta wyłącznie w języku czeskim pisane, aż po r. 1526. Za jego życia wyszło tomów 6 — dziś już historyk korzystać może z 16 tomów — jest to nieprzebrana studnia wszechstronnych o średniowiecznych Czechach informacyi. Tegoż roku wydał z Szafarzykiem razem: „*Die ältesten Denkmäler der böhmischen Sprache*", zawierające obok tekstów krytyczne uwagi. W roku następnym ogłosił „*Der I-te Mongoleneinfall*" w 600 letnią rocznicę tego okropnego faktu, uwzględniające głównie pobyt Tatarów na Morawie. Po śmierci pierwszego prezesa „Muzeum", Kaspara hr. Sternberga, zyskał wielki wpływ na tę instytucyę i starał się o pomnożenie zbiorów, zwłaszcza działu historycznego, który dotychczas był po macoszemu traktowany. Następnie agitował w tym kierunku, aby stany zbudowały wielki pałac na cześć zmarłego cesarza nazwany „Franciseeum", w którymby pomieszczone zostały wszystkie instytucye za jego panowania powstałe, a przedewszystkiém Muzeum, ale stany po rozwadze znalazły tańsze rozwiązanie kwestyi; cesarzowi Franciszkowi I postawiono pomnik, a na Muzeum zakupiono niezbyt kosztowny dom, z którego je przeniesiono po śmierci Palackiego do wspaniałego pałacu na Wacławskiém Namieściu. Podobne znaczenie jak dla Muzeum, którego Palacki był kierownikiem, ma jego działalność dla „Czesk. Towarz. Nauk", jako sekretarza najlepszego, jakiego kiedykolwiek ta instytucya posiadała; on téż głównie się przyczynił do przeprowadzenia zupełnego równouprawnienia języka czeskiego w jéj łonie. W konstrukcyi historycznéj doszedł Palacki w r. 1845 do r. 1419, to jest do śmierci Wacława Luxemburskiego. Oczywista, każdy nowy tom przedstawiał więcéj materyi spornéj mię-

dzy autorem a cenzurą, która jego surowego a trzeźwego sądu o kościele katolickim, jego patryotycznéj czci dla Husa, heretyka i buntownika, znieść nie mogła; ze sporów tych, dzięki swéj powadze naukowéj, wychodził zawsze obronną ręką. Obok cenzury i niechęć stanów rosła, irytowali się ich członkowie, że Palacki ma odwagę wygłaszać otwarcie swe zdania w dziele, do którego go najęli, i co gorsza pisać historyę narodu czeskiégo, kiedy oni się czują Niemcami. Nie brakło i krytyka — był nim Niemiec Hötler, prof. uniw. praskiego, gorący katolik, którego Palacki w świetnéj polemice z kretesem pokonał. Te wszystkie spory i ruch w r. 1848 skłoniły go jednak, że drugą część III tomu wydał już po czesku, a innéj osobie poruczył jéj przetłómaczenie na niemieckie i tak postępował do końca swego dzieła do r. 1526 (II część V tomu). Powaga jego naukowa była tak powszechnie w świecie znana, że cesarz Ferdynand mianował go jednym z pierwszych członków świeżo (1847 r.) założonéj Akademii wiedeńskiéj, w któréj łonie zaraz zainicyonował wielkie wydawnictwo: „*Monumenta conciliorum gener. XV s.* Z kolei przystępował on do opracowania dziejów XV w.; aby sobie ułatwić pracę i oprzéć na pewnych podstawach, wykonał z prawdziwie benedyktyńską pracowitością monumentalne dzieło: „*Popis kralestvi Českeho*“ (1848). Jest to ogromny katalog topograficzno-genealogiczny, ułożony alfabetycznie. Ważności i pożytku tego wydawnictwa nie potrzeba wykazywać temu, kto zna nasz „Słownik Geograficzny”, do którego po części jest ono podobne.

VI.

Zbliżył się tymczasem rok 1848, data ważna w dziejach Europy. Gorączka rewolucyi i żądza wolności nie ominęły Austryi ani Czechów. Dla nich rok ten — wiosna ludów — miał nawet większą doniosłość niż dla reszty Europy. Oni, co dotąd nie śmieli nawet otwarcie swego bytu narodowego bronić, zdobyli się na program polityczny. Stworzył im go znowu Palacki. Już około roku 1843 wyższa szlachta oburzała się na absolutne rządy wiedeńskie i domagała się dla siebie w sejmach większéj władzy, przynajmniéj takiéj, jaką się jéj ojcowie w XVIII wieku cieszyli. Pragnąc się oświecić co do ewolucyi, jakiéj uległa konstytucya Czech, wielu z tych panów słuchało wykładów Palackiego w téj kwestyi w domu ks. Szwarcenberga. Skutek był widoczny, bo stany tak energiczną rozwinęły działalność [1]) w następnych latach aż po rok

[1]) Sejm stanów w 1847 r. przedstawił rządowi adres do monarchy i wywód praw swoich, w których obu domagał się uznania czeskiego prawa państwowe-

1848, że Karol Hawliczek, gorący patryota, dziennikarz głośnego imienia, przepowiadał w kółku przyjaciół, że jeśli tak dalej pójdzie, Czesi zyskają zupełną autonomię, jaką mają Węgrzy. Palacki nie mógł teraz pozostać bezczynnym. Rewolucyjny ruch niemiecki i węgierski groził rozbiciem państwa austryackiego. Czechy miały się stać częścią zjednoczonego państwa niemieckiego, rezultaty pracy regeneracyjnéj byłyby zagrożone, może nawet poszłyby na marne. Wobec tego nic dziwnego, że dla uratowania Czechii chwycił on się oburącz idei państwa austryackiego. Na pierwsze wieści o agitacyi wielko-niemieckiéj zebrał on literatów praskich, tak Czechów jak i Niemców, którzy uchwalili i podpisali deklaracyę, zobowiązującą ich do obrony konstytucyjnéj Austryi i uprawnienia obu narodów w Czechach. Była to tymczasowa redakcya programu politycznego patryotów czeskich. Po ogłoszeniu konstytucyi w Austryi, umieścił Palacki w „Pragskich Nowinach" popularny wykład pod tytułem: „Co to jest konstytucya?" Gdy z Frankfurtu otrzymał wezwanie, aby wziął udział w tak zwanym „*Vorparlament*", mającym opracować ustawę wspólną dla całych Niemiec, odpowiedział na to listem otwartym, który zawierał dokładnie sformułowane *credo* jego politycznych przekonań. Treść jego jest mniéj więcéj taka: Jestem Czechem, wszystko, co mam i co mogę, oddałem na usługi swego narodu, który, acz mały, nigdy się do związków narodowo-niemieckich nie poczuwał. Zresztą zgromadzenie frankfurckie dąży do obalenia państwa austryackiego, które tak jest naturalne i konieczne, że gbyby nie istniało, musiałoby w interesie całéj Europy być utworzone, dla tego téż udziału w jego obradach wziąć nie mogę.

W „*Narodnim Wyborze*" reprezentacyi przez Czechów naprędce zebranéj, Palacki zajął pierwsze miejsce, bo jego program w całości został przyjęty. Zaraz przedstawiono rządowi petyta, w których żądano przedewszystkiém utworzenia z Czech, Moraw i Szląska jednéj całości autonomicznéj z naczelnym rządem i sejmem wspólnym w Pradze. Morawianie zrozumieli to w ten sposób, że będą podlegać gubernium i sejmowi krajowemu czeskiemu [1]), i założyli protest przeciw takiéj pod-

---

go. „*Das böhmische Staatsrecht*" po raz pierwszy tu w formie publicznéj występuje. Prof. Goll wskazuje na widoczny, jeżeli nie osobisty wpływ Palackiego, to wpływ jego dzieł na powstanie obu pism.

[1]) Istotnie druga petycya, uchwalona w Pradze w łaźni Świętowacławskiéj (11 marca) naruszała historyczne prawa Moraw, ale Palacki na nią się nie zgadzał i w manifeście w ich obronie wystąpił.

rzędności swego kraju. Wtedy Palacki, który nigdy nie zapominał, że jest „rodem Morawianin, a narodem Czech”, w imieniu Czechów napisał (7 maja) odezwę do swych rodaków Morawian, upewniając ich, że Czechy nie myślą zamienić Moraw w swoją służebnicę, owszem poręczają im zupełną równorzędność, o rozłące jednak myśleć one nie powinny, skoro przez lat 1000 stały obok Czech ściśle z niemi związane do tego stopnia, że mówić można tylko o jednéj historyi obu krajów.

W dwa dni późniéj powołano Palackiego do Wiednia i ofiarowano mu tekę wyznań i oświaty, on jednak postawił warunek, aby rząd austryacki zerwał ze zgromadzeniem frankfurckiém i stanął w poprzek jego wielko-niemieckim zapędom. Jakkolwiek w zasadzie godzono się na to, uważano podobne palenie mostów za przedwczesne i ryzykowne. Palacki wobec tego wyjechał ze stolicy ku wielkiéj uciesze Niemców, którzy widzieli w jego powołaniu do gabinetu słowiańszczenie Austryi i gotowali nawet zamach na jego życie.

Zanosiło się na to, że dwór wiedeński, skłoniony duchem czasu i swém ciężkiém położeniem, przyzna krajom korony św. Wacława takie swobody polityczne, jakiemi cieszyły się przed dniem na Białéj Górze. Tymczasem bez przyczyny i bez przygotowania, głównie z chęci naśladowania Wiednia, wybuchła w Pradze rewolucya, która rozproszyła obradujący tamże pod kierownictwem Palackiego Zjazd Słowiański [1]). Zaszkodziło to i sprawie autonomii w takim stopniu, że po nasze czasy nie zdołano tego odrobić. Cesarz Ferdynand I pozwolił bowiem, jako król czeski, na sejm ziem czeskich, który już nawet był zwołany, ale nie mógł wśród zawieruchy przyjść do skutku, odbycie zaś jego stanowiłoby bądź co bądź bardzo ważny prejudykat na przyszłość. Do końca życia ubolewał Palacki, że nie posłuchano jego próśb i upomnień, aby strzeżono się gwałtów i nie apelowano do miecza na poparcie swych praw, albowiem był przekonany, że na tym sejmie w spokoju naród czeski dosiągłby był téj miary praw, któréj dotąd nie ma. Wśród rewolucyi zajął on stanowisko pośredniczące; starał się nie dopuszczać do starć, któreby kopały przepaść między krajem a dworem i utrudniały pojednanie.

Wkrótce po stłumieniu przez wojska niemieckie pod wodzą Win-

---

[1]) Trzeba jednak przyznać, że Palacki nie był autorem tego zjazdu, mającego być manifestacyą wszechsłowiańską w przeciwstawieniu do pangermanizmu konstytuanty frankfurckiéj, sam on zresztą wyznaje, że był prezydentem „*bezděky a vice jen dle imêna!.*“.

dischgrätza powstania praskiego, zwołano ogólno-austryacki parlament, do którego aż sześć okręgów wyborczych wybrało Palackiego; świadczy to o jego ogromnéj popularności naówczas. W obradach ogólnych nie brał on wybitniejszego udziału, bo nań, jak ona najzdolniejszego z 5-ciu członków komisyi, mającéj przygotować projekt przyszłéj organizacyi Austryi, spadł cały ciężar téj pracy. Oczywiście wychodzący z pod jego pióra projekt był oparty w zupełności na idei federalizmu ludów pod berłem Habsburgów żyjących. Wielka ta idea stała się niemal wyłącznèm hasłem politycznèm jego ziomków i jednèm z naczelnych godeł, pod któremi szereguje się cała Słowiańszczyzna austryacka do walki z duszącym ją niemieckim systemem centralistycznym.

W ciągu téj pracy ofiarowano mu po raz drugi tekę oświaty, ale nie przyjął jéj i teraz, aby nie drażnić swém wyniesieniem Niemców i nie popchnąć ich do opozycyi w chwili, kiedy jego ideał państwa austryackiego miał się urzeczywistnić.

Tymczasem jednakże wybuchła w Wiedniu ponowna ruchawka (w październiku), która rozproszyła większą część konstytuanty; w imieniu posłów czeskich, którzy również uciekać co prędzéj musieli z obawy, aby rozjuszeni Niemcy nie zgotowali im wszystkim losu ministra Latoura wystosował Palacki memoryał do ces. Ferdynanda, żądający powtórnego zebrania konstytuanty w Kromieryżu, co się téż stało. Tu jednak nad jego projektem obradował wydział trzydziestu deputowanych, w którym mieli większość Niemcy; ci oczywiście przeparli jego odrzucenie. Palacki postanowił wtedy bronić federalizmu w pełnéj izbie. Do tego jednak nie przyszło, bo rząd zamknął parlament, a ogłosił konstytucyę oktrojowaną, która nigdy nie weszła w życie.

Mimo pełnéj poświęcenia i zaparcia się działalności politycznéj dla dobra ojczyzny, spotkała jednak wielkiego Czecha u garści radykałów, chcących wywołać znowu w stolicy nadwełtawskiéj powstanie, tak zacięta nienawiść, że go razem z Hawliczkiem umieścili na czele listy proskrypcyjnéj. Również i dwór wiedeński, który w najcięższych czasach miał w nim silną podporę i który się wtedy z jego poglądami po części solidaryzował, bo go dwa razy na swego ministra powoływał, zapomniał o tém wszystkiém. Uznano go winnym udziału w spisku słowiańskim (tak nazywano wszystkie objawy solidarności słowiańskiéj, Zjazd Słowiański i Słowiańską Lipę) i korzystając ze sposobności ostréj krytyki, jaką napisał przeciw konstytucyi oktrojowanéj w „Narodnich Nowinach" (21/X—1849) (redagowanych przez słynnego Hawliczka), dziennik zawieszono, a jego chorą żonę nastraszono, że za dalsze takie postępowanie zostanie natychmiast wtrącony do więzienia. Odtąd, ule-

gając prośbom żony, nie tykał wcale polityki. Ale i w dziedzinie literatury i pracy kulturalnéj spotykały go prześladowania coraz wstrętniejszéj reakcyi. Doszło nawet do tego, że z powodu cichéj namowy i pogróżek dyrektora policyi Sacher-Masocha (imię to i w Galicyi bardzo niemiłe przywołuje nam wspomnienia), udającego po judaszowsku patryotę, nie wybrano go członkiem wydziału „Muzeum Narodowego", którą to godność od lat 9 piastował (na 52 głosy otrzymał tylko 2!) [1]) Fakt ten dotknął go bardzo boleśnie, było to dlań bowiem *votum* nagany ze strony kwiatu inteligencyi czeskiéj za jego stanowisko polityczne. Dopiero w r. 1861 otrzymał od „Muzeum" zaszczytne zadosyćuczynienie za tę krzywdę. Jeszcze przed „wypędzeniem" z Muzeum wziął on rozbrat ze szlachtą, która zawiodła się w swych nadziejach, że Palacki będzie jéj praw obrońcą. Szlachta wycofała się z ruchu narodowego, ponieważ miał cechy na wskroś demokratyczne; zaczęła nawet występować z Muzeum.

Przeczuwając, że wnet zapanuje coraz bardziéj reakcyjny absolutyzm z obostrzoną cenzurą, śpieszył Palacki czém prędzéj z opracowaniem dziejów husytyzmu. Pisał on ten tom (ukończony w r. 1851) po czesku, ale stany czeskie, które się ciągle niecierpliwiły, że dzieło powoli postępuje, zabroniły mu wydania tekstu czeskiego przed niemieckim i ogłoszenia publicznie, że tekst niemiecki jest przez kogo innego tłómaczony.

Roku 1867 doszedł on ostatecznie w opracowaniu „*Dejin*" do wygaśnięcia Jagiellonów (1526). Po za tę datę już się nie posunął, ale z 1870—72 przerobił ponownie całość dziéjów husytyzmu i wydał je po czesku w 3 tomach.

Dopiero po 10 latach, po ogłoszeniu dyplomu październikowego w 1860, wstąpił Palacki znowu na pole polityki praktycznéj, podpisując na pierwszém miejscu petycyę, ułożoną i przedstawioną tronowi przez swego zięcia Riegera, z prośbą o pozwolenie wydawania dziennika czeskiego, ale zarazem zawierającą cały program narodowy. W nowéj konstytucyi widział on ustrój państwowy dość sprawiedliwy, uwzględniający wedle możności na równi potrzeby centralizacyi państwowéj i autonomii narodowéj. Niestety, Schmerlingowski patent lutowy z 1861 oktrojował tę konstytucyę, zmieniwszy ją w duchu germanizacyi i centralizacyi. W nowym ruchu politycznym był Palacki pierwszym wodzem Czechii razem z Riegerem i Braunerem. Gdy ich prasa niemiecka, ziejąca namiętną nienawiścią do ruchu narodowego

---

[1]) Jeden z tych dwu głosów dał najwierniejszy jego przyjaciel, Szafarzyk.

czeskiego, obsypywała gradem obelg i potwarzy, lud czeski w odpowiedzi na tę zajadłą kampanię dziennikarską wybrał wszystkich trzech we wszystkich prawie miastach czeskich i wielu gminach wiejskich honorowymi obywatelami. W kilka tygodni po uzyskaniu mandatu do sejmu krajowego 1861, w którym Niemcy, mając większość, nadużywali swéj przewagi z największą bezwzględnością, został zamianowany dożywotnim członkiem austryackiéj izby panów, którą jednak po krótkim czasie przestał odwiedzać, spotykając się na każdym kroku z zasadniczą nieprzyjaźnią. Sprzeciwiał on się również wtedy obesłaniu przez Czechów rady państwa, ale dla ważnych powodów ustąpił; abstynencya jednakże, późniéj na jego życzenie przeprowadzona, nie przyniosła narodowi spodziewanych korzyści i została po jego śmierci zaniechana.

Organem jego były z początku „*Narodni Listy*”, późniéj zaś (1863—66) „*Narod*”, w którym ogłosił największą swą pracę polityczną: „Idea państwa austryackiego” (*Idea státu Rakouského*) 1865. Późniéj na zarzuty ze strony Młodoczechów odpowiadał w polemicznych broszurach: „Kilka słów o religii i wierze” (1873), „O rozterce w narodzie czeskim” (1875) i innych. Większość swych drobniejszych prac i artykułów, w języku czeskim pisanych, zebrał i wydał pod tytułem: „*Radhost*” [1]) (3 tomy 1871 — 73), umieszczając na końcu „*Doslov*”, rzecz wydaną także po niemiecku pod nagłówkiem: „*Politisches Vermächtniss*” (Testament polityczny), a zawierającą między innemi i poglądy na kwestyę socyalną, a mianowicie robotniczą. Palacki ostrzega przed gwałtami i nadużyciami i spodziewa się wiele od rozumu i sprawiedliwości innych klas. Niemieckie drobiazgi polityczne wyszły pod napisem: „*Gedenkblätter* (1879), historyczne zaś — pod tytułem: „*Zur böhmischen Geschichtssch eibung* (1871). Zajmował się nadto wydawnictwem źródeł, jako to: „*Urkundliche Beiträge*” (tom I—1860, tom II—1873) i „*Documenta Mgri Johannis Hus*” (1873).

Ostatnie lata swe spędzał [2]) posiwiały w pracy dla narodu, otoczony czcią powszechną, któréj wyrazem była składka, wynosząca skromną, co prawda, sumę 15,000 złr. Złożono mu ją w ofierze od narodu 1866 r. Palacki połowę téj sumy przeznaczył na pomnożenie biblioteki Muzeum narodowego, drugą zaś połowę na wydawnictwo czeskich źródeł historycznych. Dotąd wydano już 5 tomów z tłómacze-

---

[1]) Za tytuł wziął on nazwę góry, w pobliżu któréj leży jego rodzinna wioska.

[2]) Aż do śmierci swéj żony w 1860 przesiadywał P. najwięcéj w jéj majątku, Lobkowicach; odtąd, oddawszy Lobkowice synowi Janowi, przemieszkiwał latem u swego zięcia, Riegera, we wsi Malce, a zimą w Pradze.

niem źródeł, w obcych językach pisanych, na czeskie. Cześć swą wyrażał dlań długi szereg towarzystw naukowych czeskich i obcych, mianując go swym członkiem. W założonym przez siebie związku „Svatobor", mającym na celu opiekę nad czeskimi literatami i ich rodzinami, był aż do r. 1875 prezesem. Razem z tą godnością złożył prezesostwo w Czeskiém Towarzystwie naukowém. Czuł bowiem już zbliżający się koniec swego życia. Na wiosnę r. 1876 obchodzono uroczyście bankietem ukończenie i wydanie w języku czeskim ostatniego dotąd brakującego tomu jego „*Dějin*" (1253—1403). Wkrótce jednak nastąpiło tak znaczne pogorszenie w jego zdrowiu, że nie mógł wyjechać z Pragi na wypoczynek, jak radzili lekarze, lecz umarł w stolicy na rękach swéj córki, otoczony całą rodziną, dnia 26 maja. Strata wodza wzruszyła do głębi najszersze masy narodu. Równie wspaniałego pogrzebu, w którymby wzięły udział tak liczne tłumy, nie oglądała Praga od 1379 r., kiedy odprowadzano do grobu pierwszego ojca ojczyzny, ces. Karola IV.

VII.

Gdyby Palacki, umierając, spojrzał wstecz na 60-cio lecie swéj usilnéj pracy na niwie narodowéj, mógłby z dumą oglądać stokrotne plony swych zasiewów; mimowoli nasuwa się na myśl ewangeliczna przypowieść o ziarnku gorczyczném... Nie wszystko on zdziałał, bo nie brakło mu współpracowników, tak z początku — swych rówieśników, jak i poźniéj — liczniejszych sił młodszych. Był on nietylko człowiekiem wszechstronnéj pracy, ale także jéj organizatorem, twórcą programów. Skreślony przez niego program życia narodowego jest tak bogaty, że dotąd nie stracił swego znaczenia i mieć go będzie w przyszłości. Zawsze on stał na czele hufca, walczącego w sprawie Czechii piórem i na mównicy; jako przewodnik, wskazywał rodakom drogę wśród pomroki absolutyzmu i bezdroży początków życia konstytucyjnego. Któż bowiem był bardziéj do tego upoważniony i przygotowany, jeśli nie ten, co najlepiéj poznał przeszłość narodu i wżył się w nią, najwięcéj myślał o jego prawach i zadaniach? Palacki jedeń wiązał przeszłość Czechów z ich teraźniejszością. Z jego imieniem, czy jako twórcy, czy inicyatora, czy téż jako działacza, łączy się prawie każde ważniejsze przedsiewzięcie narodowe, prawie każda narodowa instytucya, słowem jest on uosobieniem wszystkich dążności i interesów narodu czeskiego.

Przybywszy do Pragi, istotnie nie mógł napewno powiedzieć, czy swemi wysiłkami nie otoczy tylko bladą aureolą skroni konającego du-

cha narodowego. Pół wieku zaledwie upłynęło—a jaka zmiana! Naród, który nie był siebie świadom, nie upominał się o swe prawo do życia, okazał tyle inercyi życiowéj, rozwinął taką spotęgowaną działalność na każdém polu, że Palacki mógł z zupełną stanowczością powiedzieć, że Czesi zachowają swą narodowość, pokąd *sami* będą chcieli, i umiérał bez trosk. Naród, jego ukochane dziecko, w tak świetnéj teraźniejszości miał zadatek na świetniejszą przyszłość. — Nie trzeba bowiem zapominać, że odrodzeniu w dziedzinie ducha towarzyszy szybki rozwój pod względem ekonomicznym. Czechy należą do najbogatszych krajów w Europie; wszystkie, nawet najwybredniéjsze potrzeby zdolne są zaspokoić fabryki czeskie. Gdy polska wieś bieli się w dali i szarzeje, wieś czeska się czerwieni, bo jest murowana i dachówką kryta. Czesi, których liczba w ciągu wieku wzrosła z 2 milionów do 6, szczycą się swą narodowością, oświatę uważają za najsilniejsze palladyum swego bytu, pracowitością przewyższają Słowian innych, a nawet Niemców. W tych ich cnotach leży tajemnica ich siły. Czechia, jaka jest obecnie, jest owocem, jest cudem pracy bez wytchnienia i bez wątpienia.

Wizerunek „Wielkiego Czecha" byłby niezupełny, gdybyśmy nie skreślili jego poglądów estetyczno-filozoficznych, historycznych i politycznych.

Jako student preszburski, zaczął Palacki pisywać poezye, naśladujące klasyków i Klopstoka, lecz jeszcze w liceum począł je uważać za grzeszki młodzieńcze, nowsza krytyka twierdzi jednakże, że zbyt nisko oceniał swój talent poetycki. Mimo to nie wyrzekł się poezyi na zawsze, owszem w przyszłości obiecywał sobie napisać tragedyę „Jan Hus", późniéj myślał o wielkiéj epopei, przedstawiającéj walkę narodów z Napoleonem.

Jako filozof, był on zdeklarowanym wielbicielem mędrca królewieckiego. Przyszedł do tego po wielkiéj walce duchowéj, która się w nim odbywała od 1818 do 20. Demon sceptycyzmu metafizycznego i religijnego zatrząsł nim — tak opowiada sam o sobie — tak silnie, że w umysłowości jego pozostała tylko ruina, z któréj sobie na nowo musiał zbudować podstawy poglądu na świat. Grad pytań się narzucał, a odpowiedzi na nie się nie zjawiały... Przesilenie to jednak przebył szczęśliwie. Fanatyzm lat chłopięcych nie wrócił, ale z nim przepadła i cała wiara katechizmowa. Bardzo wysoko stawiał on przez całe życie chrześcijaństwo, ale sympatya jego pozostała przy protestantyzmie, w którym się wychował; na katolicyzm zapatrywał się z objektywnością filozofa i historyka. Goll powiada, że byłoby bardzo dobrze, gdyby tak katolicy, jak i protestanci, zachowywali w historyografii taki objektywizm, jakim odznaczał się Palacki. Jakkolwiek z dumą podnosi on,

że husytyzm otwiéra nowy wiek w dziejach chrześcijaństwa, jako zwiastun i poprzednik reformacyi, to jednak zdobywa się na jego krytykę i zarzuca mu, że gdy z początku, zrzucając ciężki balast powagi hierarchicznéj, stanowił postęp i wywołał doniosłe skutki, popadł późniéj pod władzę kalikstyńskiego rygoryzmu, powagi jeszcze uciążliwszéj dla ducha, niż kościół rzymski. A nawet wychwalana przezeń „Jednota braci czeskich" nie wydawała mu się doskonałą bez zarzutu, bo była regułą zakonną, jako taka nie była dostępna dla całości narodu i normalną pracę kulturalną na drugi plan usuwała. W r. 1820 sformułował on w dzienniku swoje wyznanie wiary: ...Wierzę, że jest jakaś Zwierzchnia Moc, która stworzyła wszechświat i rządzi nim... Objawienia nie chcę się tykać... Jestem przekonany o rzeczywistości nieśmiertelności, ale nigdy o niéj rozmyślać nie będę. Widzimy więc, że w poglądach swych religijnych unikał Palacki ile możności, dogmatów i roztrząsania ich. Tém właśnie odznaczała się wiara „Jednoty brackiéj", do któréj jego przodkowie należeli. To, co inni ganili „Jednocie", że w jéj dogmatyce jest coś niepewnego, to cenił w niéj Palacki; zwłaszcza najwyżéj stawiał ją dla tego, że na pierwszém miejscu kładła ludzkość (*humanitas*) i praktyczną miłość bliźniego, ostatecznym celem i racyą bytu naszego jest dla Palackiego właśnie „czyste człowieczeństwo"; „najwyższą i najświętszą powinnością człowieka jest — być człowiekiem". Wiara i filozofia były dla niego dwoma stronami téj saméj kwestyi, obie wskazywały mu drogę do jednego celu, to jest: do „Królestwa Bożego".

Palacki stoi na stanowisku subjektywizmu, który jest kamieniem węgielnym filozofii Kanta, ale nie we wszystkiém podobała mu się jego krytyka, w niektórych rzeczach go opuszcza i kroczy własną drogą. Różni się od niego przedewszystkiém w kwestyi Boga, świata i ducha. Kant uważa je za idee transcendentalne (*Vernunftbegriffe*), o których conajwięcéj możemy miéć problematyczne pojęcie; nie może więc być mowy o racyonalnéj psychologii, kosmologii i teologii. Dla Palackiego „realny byt ducha" *(das reale Sein des geistigen Prinzip)* (jak się wyraża) jest wprost postulatem filozofii i to nie dla tego, że myślimy (*cogito*), ale dla tego, że istniejemy (*sum*). Również dla tego, że mamy wrodzone upatrywanie jednéj przyczyny wszelkiéj przedmiotowości, postulatem filozoficznego myślenia musi być rzeczywiste istnienie Boga, podobnie się rzecz ma i ze światem, który téż jest „*das reale Prinzip*".

Drugie ważne odszczepieństwo od filozofii Kanta popełnia Palacki w estetyce, dla któréj znalazł formułę w dziele Bakona „*De augmentis scientiarum*, mianowicie w jego tezie: *poësis narrativa est divinitatis cuiuspiam particeps.* Palacki podstawia tu zupełnie słusznie

obszerniéjsze pojęcie: sztuka — *ars* i jeszcze ogólniejsze *krasa* — *pulchrum*. *Krasa* (piękno) nie jest subjektywnym wytworem *a priori* ducha ludzkiego, ale należy do istoty Boga i jest jedną z jego cech, ponieważ zaś podnosi naszego ducha i prowadzi go do Boga, czyni przeto Boga naszym udziałem. Już z natury wrodzona, przyświeca człowiekowi *iskra boża* w głębinach jego duszy, ale jest ona słaba i łatwo zgasnąć może; zadaniem człowieka jest pielęgnować ją i rozwijać, bo z niéj pochodzi wszystko, co mamy w życiu pięknego i wzniosłego. Tę iskrę bożą i dążenie do Boga nazwał on po czesku *bożnością*, którą rozkłada na trzy idee: prawdę, dobro i piękno, będące jéj formami. W ten sposób zlał on estetykę z metafizyką w jedną całość i pojęcie bożności, które jest identyczne z ideą wszechludzką (*humanitas*) Kollara i Herdera, uczynił fundamentem swéj filozofii narodowéj. Jako naczelną zasadę swéj etyki, postawił ów głęboko humanitarny kategoryczny imperatyw natury: „nie czyń drugiemu — co tobie nie miło" i uwzględniał etyczne motywy w dziejach. Te filozoficzno - religijne poglądy są kluczem do zrozumienia jego poglądów historycznych i działalności politycznéj.

VIII.

Już za pobytu na Węgrzech na ławie szkolnéj i późniéj interesował się Palacki obok historyi i obecnym biegiem wypadków, czytał gazety, zwłaszcza pilną uwagę zwracał na państwa, w których po kongresie wiedeńskim dotrzymano obietnicy przypuszczenia poddanych do współrządów, jak to sam notuje w swym dzienniku. Był on już wtedy liberalny i całą swą sympatyę zwracał ku rządom konstytucyjnym, ale niechętnie patrzał na rewolucye, na przyśpieszanie naturalnego tempa życia społeczeństw.

Przybywszy do Pragi, zastał tam martwą ciszę polityczną, któréj sam téż nie mógł przerywać. Nie znamy dokładnie jego przekonań politycznych z tego czasu, bo ich nie wyrażał; publicznie mówić nie było wolno, a pisać, nawet prywatnie, było bardzo niebezpiecznie. Wszakże wiedząc, że w niczém mniéj, jak co do poglądów swych zasadniczych, się nie zmieniał i że instruował opozycyę stanową w piątym lat dziesiątku, możemy mu śmiało przypisywać te same zasady polityczne, co i późniéj. Ze szlachtą utrzymywał dobre i ścisłe stosunki, co dla obu stron było bardzo korzystne. W program Palackiego wchodziło uświadomienie narodowe szlachty czeskiéj, zwłaszcza magnatów, co się je-

dynie w drobnéj cząstce spełniło [1]). Był on przekonany, jak to wyraził w liście do Kollara (1832), że „dopóki nie pozyskamy sobie wyższéj szlachty, dotąd dla nas nie będzie ratunku". Stąd to pochodziło, że choć w r. 1848 odsunął się od szlachty i prawie z nią zerwał—(szlachta też sama, nierada, że Palacki nie zabiéra się do bronienia jéj interesów „stanowych", cofnęła się i padła w objęcia reakcyi)—robił dla niéj, dla katolicyzmu i konserwatyzmu ustępstwa w teoryi i praktyce i dłoni podanéj przez Clam-Martinica i garść szlachty nie odepchnął, gdy ponownie czynnéj jął się polityki.

W pierwszym okresie swéj działalności politycznéj, jako prawdziwy liberał, głosił Palacki hasła przyjęte przez rewolucyę francuską. „Swoboda, równość i braterstwo wszystkich w państwie żyjących jest, jak przed tysiącem lat, tak i teraz hasłem naszém" — woła on w manifeście Zjazdu Słowiańskiego. Oczywista, te zasady wydają mu się „pierwotném dziedzictwem ojców naszych, Słowian". Podamy tutaj krótkie streszczenie jego poglądów politycznych. Największy dar Boży, swoboda, jest warunkiem szczęścia człowieka i jego godności. Panuje ona tylko tam, gdzie wszyscy używają wspólnego prawa i mają równą miarę uprawnień i obowiązków; precz z feudalizmem i przywilejami! Granicę swobody stanowi boskie przykazanie: „nie czyń drugiemu, co tobie niemiło". Jak w łonie społeczeństwa jednostki, tak wśród ludzkości narody powinny się cieszyć zupełném równouprawnieniem bez względu na liczebność i potęgę polityczną, bo natura nie zna panujących, ani służebnych narodów. Powyższa zasada moralna i narody obowiązywać powinna, bo prawo narodów jest w rzeczywistości prawem natury. Austrya obejmuje tak wiele narodów różnorodnych, że słusznie poczytać ją można za miniaturę ludzkości, żąda więc Palacki, aby Austrya, jeżeli chce istnieć nadal, stała się monarchią konstytucyjną, w któréj wszystkie narody będą sobie równe. To nie da się przeprowadzić przy centralizacyi, ale w formie federacyi, bo Austrya nie może być państwem jednego narodu (Niemców), wtedy bowiem indywidualność narodowa reszty ludów byłaby zagrożona. Czesi i inni Słowianie austryaccy, jako narody małe, są skazani na assocyacyę, a gwarancyę swobody dać im może Austrya jedynie, ale Austrya z rzeszą niemiecką nic wspólnego nie mająca. Jest ona im potrzebna dla obrony przed pangermanizmem, a z drugiéj strony przed pochłonięciem przez Rosyę.

---

[1]) Dziś spełnienie tego życzenia jest odsunięte w dalszą przyszłość, niż było przed 1848 r.

Jakże pragnął Palacki urządzić stosunki wewnętrzne Austryi w swym projekcie, który w Kromieryżu odrzucono? Austrya miała się dzielić na 4 grupy: 1) polską, 2) czeską, 3) niemiecką i 4) illirską, które miały mieć wspólne: 1) cesarza i jego dom, 2) sprawy zagraniczne, 3) sprawy wojskowe, 4) ogólne finanse, 5) sprawy handlowe i środki komunikacyjne. Sprawami temi miało kierować pięciu ministrów wspólnych (z prezydentem na czele). Każdą grupą miał kierować minister ziemski z pięciu radcami ministeryalnymi dla spraw wewnętrznych, sądownictwa, przemysłu, finansów i kredytu. Na sejm wspólny miały wysyłać corocznie do Wiednia swych delegatów (jeden delegat na 150,000 mieszk.) sejmy prowincyonalne, wybierane co 3 lata (jeden poseł na 15.000 głów). Później żądał on utworzenia dla spraw ogólnopaństwowych rady stanu.

Program Palackiego, wychodząc z zasady federacyjnéj, nie był identyczny z programem historycznego prawa czeskiego państwowego, bo i dziś oba te programy, choć się niejako pokrywają, tylko do pewnego czasu mogą iść ręka w rękę. Historyograf Czech podporządkował programowi nowszemu austro-federalistycznemu program czeski prawno-państwowy, który postawił Brauner i któremu on z początku ulegał. Dopiero, gdy burze święto-duszne [1]) tamten zdruzgotały, wystąpił ze swoim. Program prawno-państwowy począł się na nowo od r. 1860 krzewić wśród Czechów pod wpływem szlachty. Palacki starał się wtedy swój program do opinii powszechnéj przystosować i zlać go z programem prawno-państwowym.

Przedstawicielem liberalizmu był Palacki i w drugiéj epoce swego zawodu politycznego, ale nie chciał mieć nic wspólnego z niektóremi wstrętnemi i płaskiemi poglądami, które z liberalizmem łączono, jak materyalizm i stawianie egoizmu jako zasady naczelnéj życia ludzkiego. Swobody się nie wypierał, bo ona nie sprzeciwia się moralności i prawom innych i, co z tém związane, najwyższym celom i zadaniom państwa. Jakkolwiek robił on daleko idące ustępstwa dla szlachty, nigdy jéj politycznych przywilejów przyznać nie chciał.

Swój pogląd na stosunki polityczne w Austryi zmienił Palacki o tyle, że gdy poprzednio pragnął on oprzéć ustrój Austryi na podstawie wyłącznie etnograficznéj, teraz przejął się poglądami węgierskiego barona Eötvösa, który w dziele swém „*die Garantien der Macht u. Einheit Österreichs*, w r. 1859 wydaném, postawił teoryę *indywidualiz-*

[1]) W Zielone Świątki trwające.

mów historyczno-politycznych. Oczywiście przez to zmieniły się tylko zasady filozoficzno-prawne i szczegóły, ale główne zarysy jego idealnéj organizacyi państwa austryackiego pozostały te same; nie będziemy więc tutaj ich powtarzać.

W główném swém dziele politycznem: „Idea państwa austryackiego„ opiera się Palacki zresztą na tych samych podstawach, co dawniéj. Austrya powinna się stać objawieniem i wzorem równouprawnienia narodów, bo tę rolę natura jéj przeznaczyła. Nie może to nastąpić za centralizacyi ani dualizmu, bo dualizm tworzy tylko dwie centralizacye, jest złem podwójném, ale jedynie w formie federacyi grup krajów, nie zaś ludów historycznie i geograficznie do siebie przynależących. W Austryi ma przecież panować prawo i ustawa (t. j. wola wszystkich w państwie żyjących); z jakiéj tedy racyi mają ulegać jednemu lub dwom narodom inne? Czyż mają one spełniać rolę narzędzi, służących właścicielowi do osiągnięcia jego własnych celów?

Nietrudno dostrzedz, że cała polityka Palackiego jest kontynuacyą filozofii wszechludzkiéj (humanitarnéj) Kollara i jego niepolitycznego programu wzajemności słowiańskiéj, ale w kierunku praktycznym i narodowym (a nie plemiennym). Związek ten tém pewniejszym się nam wyda, jeżeli zważymy, że i Kollar kładł największy nacisk na austroslawizm, i że Palacki w rozwiązaniu kwestyi równouprawnienia ludów w Austryi widział rozstrzygnięcie pytania, czy idea wszechludzka może się na ziemi urzeczywistnić. Marzył on bowiem, jak i Kant, że zniknie „tyrania ras” i zapanuje wieczny pokój wśród ludów.

W kwestyi robotniczéj żądał on, jak już wyżéj wskazywaliśmy, sprawiedliwości, ale drogi do naprawy, jakie podaje socyalizm, uważał za błędne i bezbożne. W taktyce i teraz nie odstąpił dawnych poglądów; oświatę uważał za broń najpotężniéjszą, choć nie jedyną; usilnie ostrzegał przed używaniem przemocy, bo to miecz obosieczny, zwłaszcza ze względu małéj liczby Czechów, a radził jedynie postępowanie lojalne, sprawiedliwe i w granicach ustaw. Ale zarazem przyszedł on do przekonania, że Czesi, na niczyje łaski liczyć nie mogą i nie potrzebują, i nie waha się wypowiedzieć tych słów pełnych świadomości narodowéj siły: „*Byli jsme před Rakouskem, budeme i po něm!*”

Aby nie pozostawić luki, nie możemy przemilczéć stosunku Palackiego do Rosyi i jego podróży na wystawę etnograficzną w Moskwie w r. 1867. Wszechsłowiańskie uczucia i sympatye znalazły w jego umyśle najżywszy oddźwięk w latach młodzieńczych i na starość, kiedy doznał już tyle zawodów w szrankach polityki. Widzieliśmy, że

w r. 1848 upatrywał racyę bytu Austryi w oporze przeciw pangermanizmowi i panslawizmowi. Późniéj silna reakcya centralistyczna zrodziła w liberalnych głowach Hawliczka i jego myśl, że jeżeli ma się znosić absolutyzm, to już lepiéj rosyjski niż austryacki, był to jednak tylko argument użyty w walce politycznéj, ale nie brany na seryo. Powoli jednakże sympatye jego do Rosyi stawały się coraz żywsze, w „Idei państwa austryackiego" zmieniła się jego zasada: Austrya przeciw Rosyi na aksyomat: Austrya obok Rosyi; punktem kulminacyjnym tych objawów była owa głośna pielgrzymka Czechów z Palackim na czele na wystawę etnograficzną w Moskwie i do Petersburga. Wpłynęła na to okoliczność, że po cesarzu Mikołaju I wstąpił na tron Aleksander II, monarcha pragnący postępu, który już początek swych rządów zaznaczył doniosłemi reformami, i że wielu najpoważniejszych uczonych i publicystów rosyjskich jaknajlepsze stosunki z Czechami utrzymywało (Pogodin) i zawsze o nich przychylnie się wyrażało. Zwłaszcza, kiedy wskutek r. 1866 tak się ułożyły sprawy wewnętrzne w Austryi, że Niemcy i Madziarzy utwierdzili swą przewagę nad innemi ludami i stworzyli uciążliwe dla nich warunki bytu przez swój gruby, jednostronny despotyzm plemienny, Palacki widział w Rosyi jedyną osłonę dla Słowian zachodnich.

Zaraz po téj wycieczce, podczas któréj Czesi byli przyjmowani z serdecznością i honorami, nastąpiła pod tym względem reakcya, albowiem opinia publiczna w Austryi z oburzeniem to przyjęła i zarzuciła przywódcom ruchu narodowego czeskiego zdradę państwa, a nawet zdradę swéj narodowości. Wtedy oni widzieli się zmuszeni oczyścić z zarzutów w manifeście, zaprzeczającym jakoby wchodzili z rządem rosyjskim, który nic dla Czechów nie zrobił, w jakiekolwiek tajne układy i zamierzali nakłonić naród do wyrzeczenia się swéj mowy i literatury, stosunki utrzymuje jedynie naród z narodem z powodu pokrewieństwa plemiennego. Palacki miał jeszcze kilka razy sposobność wypowiedzieć swój pogląd na stosunek Rosyi do Czechów; przytoczymy tutaj jego słowa z „Dosłowia" do Radhost'u: „Odpowiem Rosyanom, że Czesi swą narodowość więcéj niż od tysiąca lat bynajmniéj nie na to z niewypowiedzianém poświęceniem bronili i zachowali, aby się jéj zrzec za lada grzeczne słówko", i oświadcza, że jego politycznym ideałem jest i nadal federacyjna Austrya. W polemice zaś z prof. Makuszewem oświadczył on: „Gdybyśmy mieli przestać być Czechami, to nam wszystko jedno, czy się staniemy Niemcami, Włochami, Madziarami, czy téż Rosyanami. Czesi (jednakże) zachowają swą narodowość, dopóki będą chcieli. Nie każdemu ludowi Opatrzność pozwoliła być

ekstensywnie wielkim, ale intensywnie stać się wielkim leży w mocy każdego, który nie lekceważy swego ludzkiego przeznaczenia."

Palacki, jak i Hawliczek, nie był republikaninem, ale demokratą, bo widział, że nie monarchia jest przeciwieństwem demokracyi, lecz arystokracya. Przez demokracyę rozumié on konstytucyonalizm, jest jednakże przeciwnikiem powszechnego głosowania i przypomina, że demokracya jest to rządzenie ludem za jego zgodą, a nie oznacza wcale rządów ludu. Hawliczek był radykalniejszy, pragnął największego udziału w rządzie państwa szerokich mas ludu, pozbawionych dotąd praw politycznych, i jest oczywiście zwolennikiem powszechnego głosowania. Mimo to zasadniczych różnic między nimi nie było żadnych; federalizm historyka przyjął za swój program dziennikarz, dedykował mu „Ducha Nowin narodowych" i dał mu stałą gościnę w swym dzienniku. Obaj stali się koryfeuszami przeciwnych sobie obozów politycznych: Palacki Staroczechów, Hawliczek Młodoczechów, ale żaden, powiada prof. Masaryk, nie cieszyłby się z postępków swych duchowych dzieci, które zbyt jednostronnie pojęły i przeprowadzały ich myśli. Stosunek do szlachty stanowił główny powód rozdziału na partye; pod jéj wpływem wyszli Staroczesi na jednostronnych konserwatywnych polityków, wobec czego Młodoczesi po śmierci Palackiego ujęli ster polityki narodowéj i stali się wyłącznymi reprezentantami narodu na zewnątrz. Palacki był całą duszą historykiem, historyzm téż zawiódł go w wielu kwestyach politycznych na drogę konserwatywną; w swym federalizmie był on nieco doktrynerski, choć umiał się ustrzedz nieopatrznéj ideologii. Celem jego polityki było: 1) aby Czesi nie zatracili swéj narodowości, 2) aby sami o swych losach decydowali, czyli innemi słowy pragnął on dla swego narodu takich warunków bytu, któreby dawały zasadnicze korzyści niezawisłości politycznéj bez niéj saméj, albowiem marzyć o niéj wydało się mu szaleństwem.

Palacki był człowiekiem silnych przekonań i silnéj woli, do Pragi przybył już jako dojrzały mąż i od téj chwili wcale się nie zmienił, ulubioném jego słowem było: niezłomny. Dyskusyę i spór prowadził, dopóki nie stracił nadziei, że go posłuchają, gdy widział, że to niemożliwe, milknął i wycofywał się. Późniejsza jego „polityka bierna" wynikała z téj właściwości jego charakteru — dobréj, ale złe owoce rodzącéj.

W polityce czynnéj i biernéj nie był tak szczęśliwy, jak na polu historyczném, aby mógł dumne „*Exegi monumentum*" wygłosić, bo

polityka i życie polityczne było dlań tylko środkiem do daleko rozleglejszego celu, którym była pełnia bytu narodowego, jak się wyraził prof. Goll.

IX.

Pozostaje nam jeszcze skréślić znaczenie Palackiego, jako historyka. Dziejopisarstwo uważał on za święty urząd w służbie ludzkości, którego najpierwszym obowiązkiem jest szukać i bronić prawdy. „Dzieje narodu czeskiego" były zadaniem jego całego życia i same miały swoje zadanie: napisane były w służbie narodowéj, miały być środkiem do obudzenia narodu i wychowania go. Palacki wierzył, że jednostki i narody mogą się uczyć z historyi, i żądał, aby się uczyły. Do mniemania o dydaktyczném jéj znaczeniu doszedł już w młodym wieku i pozostał przy niém do końca. „*Dějiny*" są zwierciadłem nietylko przeszłości Czech, ale także są odblaskiem doby, w któréj powstały, i doby, któréj zawdzięczał swój pogląd na świat wielki historyograf, nie mamy bowiem powodu przeczyć, że Palacki wycisnął na swém dziele piętno swego wielkiego ducha, swéj subiektywności. Bogactwo treści, krytyczne opracowanie, szlachetna tendencya i piękna forma zapewniają „*Dějinom*" poczestne miejsce w rzędzie klasycznych utworów historycznych, nigdy one nie pójdą w zapomnienie. Dla Czechów są one czémś więcéj, są księgą zakonu, któréj główne idee, wyczytane z przeszłości narodu przez głęboki umysł Palackiego, stały się najcenniejszym majątkiem duchowym Czechii.

Wielki Czech był nawskroś jednolitym człowiekiem; zasady, któreśmy powyżéj wyłuszczyli, znajdują się oczywiście i w jego pracach historycznych, i stąd właśnie przenosił je w sferę swego działania politycznego. Zasadnicze myśli swéj historyozofii wyłożył on w niemieckiém dziele „*Das Hussitenthum*" (1868), ale pochodzą one z czasów przed opuszczeniem Węgier i niejednokrotnie już okolicznościowo były wyrażane. Historya wogóle, powiada on, jest to konieczny sąd świata nad tymi, co działali w przeszłości, sąd tylko ludzki, a więc ani nieomylny, ani dostateczny. Każde zdarzenie historyczne przedstawia się jako starcie, spór dwóch prądów, dwóch potęg, którego to sporu osądzenie o tyle jest trudniejsze od zwykłego, że świadków do przesłuchania w téj sprawie szukać musimy między martwymi, dlatego tém silniéj trzymać się musimy zasad krytyki historycznéj, aby późniéj nie uledz potępieniu za stronniczość. Antagonizm dwóch sił, z których walki tworzą się dzieje i wynika postęp, spotykamy także i u Rankego, uchodzącego za największego historyka naszego wieku.

Jako dziejopisarz, daje Palacki pogląd na technikę swéj pracy i pozwala się wszechstronnie kontrolować; nie lekceważy literatury monograficznéj, a odmienne swe zdanie stara się zawsze uzasadnić. W pracy swéj starał się wyzyskać wszystkie źródła, które tylko mogły być mu dostępne, dlatego téż odbywał on dalekie podróże po całéj Europie, poszukując źródeł historycznych czeskich i to przeważnie nie mogąc jeszcze korzystać z obecnych środków komunikacyjnych. Archiwa i biblioteki około 70 miast dostarczyły mu materyałów do jego prac historycznych. Paryż i Królewiec, Medyolan i Wrocław, Rzym i Budapeszt należą do téj liczby. Należy także przypomniéć, że i do Pragi w r. 1823 wybrał się Palacki w celu poszukiwań materyałów historycznych, których odtąd aż do śmierci zbiérać i wydawać nie przestał. Pracował w historyi wszechstronnie, wszystkie objawy życia ludzkiego i wszystkie jego warunki zarówno go zajmowały. Obok historyi politycznéj, uwzględniał numizmatykę i językoznawstwo, wciągał do badań historycznych statystykę, pisał prace z zakresu historyi społeczeństwa, literatury, sztuki; bardzo umiejętnie badał rozwój prawa czeskiego, dla dyplomatyki zrobił on bardzo wiele przez zwrócenie uwagi na formularze i przez krytyczne opracowanie dokumentów klasztornych. Ponad wszystkiém panuje bystry duch jego krytyczny. Był on mistrzem w krytyce źródeł, ustalał zasady jéj metody i znakomicie je stosował w konstrukcyi. Obok nieocenionéj „*Würdigung*", o któréj w życiorysie wzmiankowaliśmy, pisał i późniéj liczne prace z zakresu krytyki źródeł. Oprócz przytoczonych w ciągu opowiadania naszego znaczniejszych prac, zostawił téż Palacki mnóstwo drobniejszych rozpraw.

Był on pierwszym historykiem czeskim, który dotrzymywał kroku całéj współczesnéj historyografii. Nieraz większą jest zasługą postawić kwestyę, niż dać na nią odpowiedź, a on właśnie we wszystkich swych pracach z niesłychaną bystrością i śmiałością dotyka każdego objawu życia społecznego w przeszłości i stara się wszystkie zagadnienia rozwiązywać. Zwłaszcza trafnie pojął on i posługiwał się metodą porównawczą, szukając u obcych, sąsiadów i pokrewnych światła, którego w domu brakowało (np. w kwestyi prawa staroczeskiego).

„*Dějiny*" to potrójny wielki czyn kulturalny, naukowy i narodowy, poświęcił mu téż autor całe życie; chciał napisać całość, ale tego nie dokonał, za to jakość tego, co pozostawił, nagradza brak całości. Już około 1850 r. począł powątpiewać, czy mu życia starczy na wykonanie zamierzonego dzieła; postanowił dociągnąć tylko do bitwy na Białéj górze (1620), późniéj przekonał się, że i to jest kres za daleki, zawiadomił tedy 1862 r. stany, że zdoła tylko doprowadzić swe dzieło do wygaśnięcia dynastyi Jagiellonów (1526) i prosił, aby do dalszéj

pracy powołano młodszego historyka ze świéżemi siłami. Tym jego następcą w urzędzie historyografa miał być Gindely, ale późniéj zaniechano go, był bowiem i narodowo i wyznaniowo bezbarwnym; w chwili, kiedy przestał pracować stary Palacki, nie było nikogo, ktoby był zdolny kontynuować jego „Dzieje".

Palacki kréślił obraz przeszłości Czech, jako „Ojciec ojczyzny", z przejęciem się i miłością.

Wyższe duchy dziejopisarskie twierdzą, że bezstronność jest wysoko podnoszona tylko w przedmowach, wymagają więc tylko od historyka, aby wszelkie źródła wyzyskał i brzmieniu tekstów, bez najgruntowniejszego uzasadnienia ile możności innemi wiarogodniejszemi źródłami, nie sprzeciwiał się, bo wiedzą, że w konstrukcyi i przedstawieniu wypadków nie można się oderwać od własnych przekonań. Otwarcie téż orzec musimy, że hasłem jego „*Dějin*" wogóle jest: „*pro populo bohemico*", pojedyńcze zaś części są apologią pewnych prądów i osób. Wiele ustępów, a zwłaszcza tom pierwszy jest przestarzały, najważniejszą część dzieła, dzieje XV-go wieku, co do wielu szczegółów sprostował Tomek na podstawie obszerniejszych źródeł; jest to naturalny skutek postępu w dziejopisarstwie i nic nie ujmuje autorowi. Całego dzieła rozbiérać nie możemy, podniesiemy tylko partye doskonalsze i ważniejsze. Szósta księga, obejmująca czasy Przemysława Ottokara II, jest obroną tego znakomitego króla słowiańskiego a zarazem popisem Palackiego w przedmiocie krytyki i artystycznego przedstawienia, podobnie pełnego dodatnich stron nabiéra postać cesarza Karola IV-go, naszkicowana jego piórem. Doba husycka jest u niego najważniejszą w historyi czeskiéj, gdyż miała znaczenie powszechnodziejowe, widział on w niéj pierwsze starcie się katolicyzmu z protestantyzmem. Husytom przypadło zadanie przedsięwziąć pierwszą walną próbę reformacyi chrześciaństwa na podstawie rozumowego wykładu Pisma świętego, przedsięwzięcie się atoli nie udało, bo ducha inicyatywy i postępu, który był z początku, wkrótce brakło.

Główną treść i znaczenie dziejów czeskich upatrywał Palacki w stosunkach i walkach Słowiańszczyzny z Rzymem i Niemcami, ale ponieważ z Rzymem Czechy nie stykały się bezpośrednio, ale tylko przez Niemcy, więc właściwie tylko zetknięcia z tymi ostatnimi stanowią niejako osnowę dziejów czeskich. Niemcy, Czesi i Polacy należą, zdaniem Palackiego, do téj saméj sfery kultury, która wynikła z syntezy chrześciaństwa, helenizmu i politycznych instytucyi rzymskich, więc przeciwieństwo Słowian i Niemców nie opiéra się na podstawie różnic kulturalnych, ale wynika ze sprzeczności charakterów narodowych (u Niemców: wojowniczość, silna organizacya, arystokracya

i poddaństwo; u Słowian: pokojowe rolnictwo, luźna wolność, demokracya i równość). Zaznaczyć tu musimy, że Palacki pod wpływem teoryi prawa natury i dzieł Rousseau'a wyrobił sobie bardzo idyliczne wyobrażenie o pierwotnych stosunkach u Słowian, podobnie jak i Lelewel i wielu innych, i wyobrażał sobie, że współczesny mu rozwój stosunków społeczno-politycznych w zachodniéj Europie jest właśnie powrotem całego świata cywilizowanego do prasłowiańskiéj idyli, czyli inaczéj urzeczywistnianie postulatów postawionych przez filozofię XVIII-go wieku i rewolucyę francuską uważał za słowiańszczenie się Europy.

Oczywiście, że oprócz zatargu tych trzech potęg na ziemi czeskiéj musiały miéć miejsce i wzajemne wpływy. Zwłaszcza Słowiańszczyzna, jeżeli nie chciała zginąć w nierównéj walce, musiała zaczerpnąć wiele z pożytecznych dla siebie elementów obcych. Dosadnie wyraża się prof. Goll, że „w częściowéj germanizacyi widział Palacki obronę przeciw zupełnemu zniemczeniu”, a więc wpływy te grały rolę szczepienia ospy. Słowianie przez długie czasy byli prawie wyłącznie bierni, dopiéro husytyzm był objawem ich czynnego odporu. Była to walka słowiańskiego ducha demokratycznego z niemiecką zasadą społeczną, arystokracyą,—bój swobody i niezależności pod względem umysłowym właściwéj Słowianom przeciw dogmatycznemu autorytetowi germańsko-rzymskiemu,—pogrom chrześciańsko-feudalnego kosmopolityzmu średniowiecznego przez zasadę narodowości żyjącą wówczas najsilniejszém życiem wśród Słowian. Wojny husyckie, budząc miłość ojczyzny i dumę narodową we wszystkich warstwach narodu czeskiego, przybrały od razu charakter boju plemiennego na śmierć i życie między Niemcami a Czechami.

Jak w dziejach ogólnych stał Palacki po stronie protestantyzmu, tak znowu w historyi husytyzmu sympatyzował ze stronnictwem najradykalniejszém, z Taborytami, a to dlatego, że oni mieli zasady i twardo przy nich stali. W dalszym ciągu swego przedstawienia brał on w obronę Jerzego z Podjebradu; uważał tego jedynego króla-husytę za ideał monarchy, za najmilszego sobie bohatéra, bo był on mimo wiedzy i woli przedstawicielem nowoczesności. Narzucenie ludowi sielskiemu więzów niewolnictwa *(porobienie)* za rządów „króla-dobrze”. Władysława Jagiellończyka, uważał on za najfatalniejszy błąd zwyrodniałéj szlachty feudalnéj. Skutki tego pognębienia młodszéj braci były straszne i nastąpiły wkrótce. Naród, który wydał w XV-ym wieku takie mnóstwo znakomitych wodzów i bohatérskich wojsk, że cała Europa drżała przed nim i stała im otworem, nie miał dość sił dla obrony własnéj, dla ratowania swego życia w krytycznych dniach sejmu krwawe-

go (1547) i bitwy białogórskiéj (1620); była to kara boża za wyparcie się ideałów słowiańskich przez szlachtę.

Jeszcze słów parę o stanowisku urzędowego historyografa Czech w ich dziejopisarstwie. Jest ono niesłychanie doniosłe, bo był to talent historyczny pierwszéj wody. Dość wspomniéć, że prof. Goll wykazał, iż prawie wszystkie ważniejsze wydawnictwa źródłowe i prace konstrukcyjne, które powstały w Czechach mniéj więcéj od piątego dziesiątka lat wieku bieżącego aż dotąd, nie przekroczyły jego programu pracy historycznéj i zawdzięczają swój początek albo bezpośrednio jemu, albo jego inicyatywie, lub przynajmniéj on ich potrzebę i doniosłość odczuwał i oceniał. Stworzył on również czeską szkołę historyczną, która przezeń sięga tradycyi Dobrowskiego. Tomek z jego szkoły wyszedł, ale stoi samodzielnie obok niego, jako drugi wielki historyk czeski.

Na zakończenie pozwolę sobie sparafrazować podniosłe słowa znakomitego historyka kultury czeskiéj, Zygmunta Wintera, poświęcone uczczeniu Palackiego („*Zlata Prahá*”, 10 czerwca 1898 roku): Był „Wielki Czech” jednym z największych, jakiego Czechia miała. W nim były uosobione wszystkie kierunki i ideały pracy narodowéj, które teraz mają zastępy pracowników.

Zaczął od „Krasy”, pisał poezye i zamierzał w świątecznéj szacie natchnionego pieśniarza wiernie służyć u ołtarza Prawdy, Krasy i Cnoty. Choć porzucił poezyę, Krasie wiary dochował, i ona dała mu tę piękność języka, którym przemawiał, i tę plastyczną formę, w którą wléwal swe nieśmiertelne dzieła.

Był filozofem, głosił sprawiedliwość, prawdę i ludzkość. Ojczyzna, wolność i ideał ludzkości były mu trzema przewodniemi gwiazdami, ale najjaśniéj przyświecała mu pierwsza. Duchy podłe lub nikłe wołały doń: Czechy nie mają wielkich dziejów, nie mają bytu, gdzie jest czeska ojczyzna?! Potężnym głosem odpowiedział: Sława narodów nie polega na ich liczebności, ani na ilości krzywd wzajem sobie zadanych. Czesi wiedli wojny za swobodę i tolerancyę przekonań religijnych. Chlubą narodu jest jego duch, który za wielkie idee żyć i umrzéć gotów. Takiego ducha miał naród czeski i dlatego godzien jest żyć w rocznikach ludzkości. I Palacki stał się wielkim historykiem Czech. Z pyłów archiwów wydobył na światło dzienne wspaniały obraz państwa czeskiego — z źródeł zagrzebanych w niepamięci opisał złotém piórem prawdziwe rysy przodków narodu, ich wielkie

czyny i grzechy. Oczyścił wielkie postaci panteonu czeskiego z jadowitej rdzy, którą je pokryły wiekowa nienawiść i ślepota. Udowodnił, że wśród narodów kulturalnych Czechom należy nie ostatnie miejsce, ale jedno z pierwszych.

„Dziejami" swemi budził naród, a gdy ten naród zgłosił się do swych praw, które mu się wobec Boga i świata należą, Palacki stanął na jego czele, ale był wodzem nietylko politycznym, on wiódł naród z wielką, gorącą miłością, podnosił, ostrzegał, pocieszał. Przez to stał się „Ojcem swego narodu".

Fr. Bujak.

ZE WSPÓŁCZESNÉJ POEZYI NIEMIECKIÉJ.

Niema to, jak dawne czasy.

(Rudolf Baumbach).

Bajarze i kronikarze
Przedziwne prawią nam dziwy
O staréj żółtéj landarze,
Jeżdżącéj przez nasze niwy...
Przed każdą karczmą na chwilę
Tłum się wylewał z kolasy...
Dziennie robiono trzy mile —
Niema to jak dawne czasy!

Komu się miejsce udało
Zamówić w stosownéj porze,
Ten żegnał rodzinę całą,
Jakby miał jechać za morze...
Dukaty niepostrzeżenie
Zaszywał w pończochy, w pasy...
Krócice chował w kieszenie —
Niema to, jak dawne czasy.

Gdyś nieraz w zadumie rzewnéj
Śnił w drodze o łóżku miłém,
Zaburczał pocztylion gniewny:
„Do stu piorunów! Zbłądziłem!”
Wyjąc, tuż wilki mkną zgrają...
Niema schronienia! Wkrąg lasy!
Drżąc biédne szkapy parskają —
Niema to, jak dawne czasy!

Inna przyjemność junacka
W téj znów mieściła się grozie,
Kiedy landara znienacka
Z trzaskiem padała w wąwozie...
Nieraz ku wielkiéj radości
Tylko oś pękła kolasy,
Czasem łamano i kości —
Niema to, jak dawne czasy!

Lecz dom leśnika ponury
Był okropności koroną!
Już podejrzane figury
Wyprzęgły czwórkę zmęczoną...
Szykują dla gościa łóżko,
Z podełba patrząc, dryblasy...
Brrrr... z pokrwawioną poduszką —
Niema to, jak dawne czasy!

Bez śladu giną tak goście,
Setka za setką przepada...
Aż ślą siepaczy Ich Moście
Zdziwieni Panowie Rada...
Ci pogrzeb sprawiają społem,
Z leśnika zdzierają pasy,
A potém łamią go kołem —
Niema to, jak dawne czasy!

Tylko, żeś pieśniarz...

(Juliusz Wolff).

Spotkałem dziewczę w krużganków cieniu,
Ściskam, całuję wbrew pozwoleniu,
Lubo się wzdraga, broni przez chwilę,
Lecz wnet już wszystko przyjmuje mile.
„Jedno to powiem ci — rzecze — ty brzydki,
Tylko, żeś pieśniarz — więc... znoszę te zbytki,
Tylko, żeś pieśniarz!"

Dzięki ci za to! O nie zapomnę!..
Miałem o sobie mniemanie skromne:
Lecz wy, dziewczęta, ach! miejcie wszędzie,
W słowach i czynach, cnotę na względzie...
Przed każdym chłopcem więc — strzeżcie swe progi...
Jeśli nie pieśniarz — to schodźcie mu z drogi...
Jeśli nie pieśniarz!

Lecz pieśniarzowi wierzyć możecie,
I na niejedno pozwolić przecie,
I nie odmawiać czegoś koniecznie...
Na wszystko zawsze zgadzać się grzecznie...
Ach! jakżeż cieszę się — przyznam Wam szczerze...
Jako sam pieśniarz — więc pewny w téj mierze...
Jako sam pieśniarz!..."

Przełożył z niemieckiego

Władysław Nawrocki.

SĄD PRZYSIĘGŁYCH. *)

II.

Żadna instytucya, stworzona przez ludzi, nie może stanowić doskonałości bezwzględnéj, wszystko ma swoje słabe strony, każda rzecz na jakimś punkcie szwankuje. Instytucye społeczne, oprócz słabych stron, nieodzownych w każdém dziele ludzkiém, mają jeszcze tę niedogodność, że nie mogą trwać długo bez zmiany. Życie zmienia się bezustannie, jedna chwila nie jest podobna do drugiéj, każda sekunda przynosi nową myśl, nowe pojęcie, nowy pogląd na rzeczy. To, co było dobrém wczoraj, może być złém dziś i odwrotnie. Cały postęp ludzkości polega na tém, że odrzucamy to, co spełniło już swoje zadanie, pozbywamy się rzeczy przestarzałych, a na ich miejsce stawiamy nowe. Ale gruntowne zmiany odbywają się rzadko, po większéj części do rzeczy już istniejącéj dodajemy nowy szczegół — stawiamy podpórki, albo też odejmujemy to, co już przestało być potrzebne — obcinamy zeschłe gałązki. I zdarza się najczęściéj, że to, co w obecnym stanie nie odpowiada wymaganiom współczesnych, po niewielkich zmianach staje na takim poziomie, na jakim chciałyby go widziéć wymagania społeczeństwa. Często jedna tylko drobniutka śrubka wy-

*) Patrz „Ateneum", sierpień r. b., str. 192.

maga naprawy, i cała maszynerya zacznie funkcyonować bez zarzutu. Tak właśnie rzecz się ma z sądem przysięgłych w jego obecnéj formie. W zasadzie, ten rodzaj sądu więcéj, niż każdy inny, nadaje się do spełniania wysokiéj funkcyi wymiaru sprawiedliwości na polu prawa kryminalnego, lepszym jest od wszystkich innych, ale nie idealnym. Czasy, kiedy na sąd przysięgłych patrzono z bezwzględnym zachwytem, minęły już bezpowrotnie: dziś zaczynamy w nim dostrzegać coraz więcéj drobnych niedokładności, które przy pewném staraniu i dobréj woli możeby się dały usunąć w drodze prawodawczéj. Niedokładności tych jest dosyć dużo, a niektóre z nich są tak znaczne, że znaleźli się pisarze, którzy chcieli ukuć z nich broń do zupełnego zwalczenia sądów przysięgłych. Ale szeregi obrońców téj instytucyi są liczne i silne: niejednokrotnie wykazano już przeciwnikom, że zarzuty ich, o ile tyczą się sądu przysięgłych w zasadzie, nie mają racyi bytu, o ile zaś uderzają w pojedyńcze szczegóły, częstokroć są zupełnie słuszne i zasługują na uwagę, ale nie stanowią broni przeciwko saméj instytucyi. Sąd przysięgłych w téj formie, w jakiéj, za przykładem Francyi, przyjęła go Europa kontynentalna, zasługuje na takie cząstkowe zarzuty i wymaga reform. To téż wołają o to wszyscy prawie zwolennicy tego rodzaju sądów. Bardzo szczegółowy i zasługujący na bliższe rozpatrzenie projekt pożądanych zmian w sądzie przysięgłych daje nam cytowany powyżéj artykuł Raula de la Grasserie, p. t. „*Des origines, de l'évolution et de l'avenir du jury*" [1]) w „*Revue internationale de sociologie*" z r. 1897 [2]). Po krótkim wstępie historycznym, autor porównywa sąd przysięgłych angielski, jako prototyp, z francuskim, jako imitacyą, i przychodzi do wniosku, że angielski, jakkolwiek jeszcze nie doskonały, bez porównania wyżéj stoi od jego przeróbki francuskiéj. Znaczną różnicę w organizacyi sądu przysięgłych w Anglii a we Francyi tłómaczy on bardzo słusznie zasadniczą różnicą charakterów narodowych obu krajów. „Kraje anglo-normandskie, anglo-amerykańskie i skandynawskie — podług słów autora — są to kraje indywidualizmu, każdy oddaje tam społeczeństwu tylko cząstkę niezbędną swéj istoty, reszta zaś pozostaje w nietykalném i nienaruszoném posiadaniu jednostki; we Francyi zaś i wogóle w krajach romańskich, a także czysto germańskich (dodajmy od siebie: i słowiańskich), społeczeństwo pochłania jednostkę: bez względu na to, jakim jest układ tego społeczeństwa, monarchiczny, arystokratyczny, czy demokratyczny, jest ono i za-

---

[1]) „O pochodzeniu, rozwoju i przyszłości sądu przysięgłych."

[2]) Str. 497—514, 612—657 i 708—733.

wszc pozostaje kierującém *(autoritaire)"* [1]). Ta różnica w stosunku jednostki do społeczeństwa jest główną przyczyną tego, że angielska forma sądu przysięgłych nie przyjęła się we Francyi, że Francya wprowadziła cały szereg zasadniczych zmian, które w znacznéj części okazały się wadliwemi i w rezultacie zupełnie skaziły pierwotny charakter instytucyi. O ile sąd przysięgłych angielski może funkcyonować, jak się należy, i w zupełności odpowiada potrzebom i wymaganiom narodu angielskiego, o tyle znów francuska przeróbka stała się nienaturalną i na to, żeby spełniać należycie swoje zadanie, wymaga wielu, bardzo wielu zmian. Następnie autor daje cały szereg projektów reformy, projektów, z których jedne są zupełnie słuszne, inne trochę przedwczesne, inne jeszcze zupełnie zbyteczne, albo téż niemożliwe do zastosowania w praktyce. Ponieważ francuski sąd przysięgłych niczém prawie nie różni się od rosyjskiego, więc projekty autora dadzą się zastosować jednakowo do prawodawstw obudwu państw. Rozpatrzmy każdy z nich po kolei: 1) Przedewszystkiém nie podoba się autorowi sposób, w jaki się rekrutują przysięgli. De la Grasserie słusznie wysunął tę kwestyę na pierwszy plan, ponieważ jest ona najważniejszą i może najtrudniejszą do rozstrzygnięcia. Najważniejszą jest dlatego, że działalność każdego sądu zależy przedewszystkiém od ludzi, którzy go składają, a szczególnego znaczenia nabiéra ta kwestya w sądzie przysięgłych, sądzie, rozstrzygającym nie na zasadzie zgóry nakréślonych formułek, lecz tylko podług tego, co mu dyktuje wolne, niczém nie krępowane sumienie. Trzeba więc koniecznie, warunek to *sine qua non*, żeby sumienie to nie było chwiejne, żeby spokojnie można było na niém oprzéć przyszłość podsądnego. Daléj, ażeby spełniać trudne obowiązki sędziego, ażeby umiéć z surowego materyału złożyć całokształt pojęcia o sprawie, ażeby odróżnić treść od szczegółów, fałsz od prawdy, patos i retorykę od poważnych argumentów, przysięgły musi posiadać pewną dozę rozwoju umysłowego, obycia, doświadczenia życiowego, poglądy jego powinny być mniéj więcéj skrystalizowane, ustalone. Chcąc, żeby społeczeństwo miało zaufanie do sądu i wierzyło w słuszność jego wyroków, trzeba żeby na przysięgłych nie ciążyła żadna skaza, którąby mogła podać w podejrzenie ich bezstronność. A znaléść większą ilość ludzi, którzyby odpowiadali powyższym warunkom, nietak łatwo. To téż na żadnym może punkcie nie projektowano tylu reform, żadnego szczegółu nie zmieniano tyle razy, o żadnym nie pisano tak dużo, jak o tym właśnie. Każdy kraj inaczéj normuje sposób

---

[1]) „*Revue*", str. 512.

wybierania przysięgłych, każde prawodawstwo wprowadza inne ograniczenia.

W Anglii do księgi przysięgłych *(juror's book)* zapisują wszystkich obywateli w wieku od lat 21 do 60, umiejących czytać i pisać, nie karanych sądownie i odpowiadających pewnym ściśle określonym wymaganiom majątkowym. Nie mogą być przysięgłymi: parowie, sądownicy, adwokaci, duchowni i służący. Prócz tego, jest kilkanaście kategoryi osób, które mają prawo zrzec się obowiązków przysięgłego, jako to: członkowie izby gmin, wojskowi, niektórzy urzędnicy, lekarze, aptekarze i inni, a także i ci, którzy pełnili już funkcye przysięgłych w tym samym roku. Ze wszystkich imion, mających być zapisanemi do księgi przysięgłych, starsi dozorów kościelnych *(church wardens)* i nadzorcy biednych *(oversers)* układają listy alfabetyczne, które wywieszają się w ciągu trzech tygodni na drzwiach kościoła, a następnie, po zatwierdzeniu i poprawieniu przez małą sesyę sędziów pokoju, zapisują się do księgi. Księga oddaje się szeryfowi, który na każdy okres sesyi sądowych wyznacza z kolei 48 do 72 przysięgłych.

We Francyi przysięgłym może być każdy obywatel, mający 30 lat skończonych, umiejący czytać i pisać po francusku, posiadający wszelkie prawa obywatelskie i polityczne i nie pozbawiony prawa być przysięgłym na mocy wyroku sądowego. Nie mogą być przysięgłymi: deputowani, ministrowie, niektórzy urzędnicy, sędziowie, nauczyciele ludowi, duchowni, wojskowi i służący. Mają prawo nie być przysięgłymi: mający więcéj niż 70 lat życia, ci, którzy byli przysięgłymi w bieżącym lub ubiegłym roku, i ci, którzy się utrzymują z codziennéj pracy rąk. Z osób, ulegających zapisaniu do kategoryi przysięgłych, formują się trzy listy: roczna, kwartalna i sesyjna. Lista roczna, czyli departamentalna, składa się z 400—600 osób (1 na 500 mieszkańców—w departamencie Sekwany — 3,000), mieszkających w danym departamencie. Uformowaniem téj listy zajmują się dwie komisye: kantonalna, składająca się z merów pod przewodnictwem sędziego pokoju, i okręgowa — z sędziów pokoju i członków rady generalnéj pod przewodnictwem prezesa trybunału cywilnego pierwszéj instancyi. Komisya kantonalna układa listy pierwiastkowe w kantonach i przesyła je do komisyi okręgowéj, która formuje listę okręgową i listę przysięgłych zapasowych. Komisya okręgowa ma prawo zamieszczać i te osoby, które zostały opuszczone przez komisyę kantonalną. Listy okręgowe składają w kancelaryi trybunału, który ma sądzić z udziałem przysięgłych. Pierwszy prezes tego trybunału układa z nich ostateczne listy roczne: zasadniczą i zapasową. Z list rocznych prezes sądu z przysię-

głymi na 10 dni przed rozpoczęciem okresu sesyi wyjmuje 40 imion przysięgłych (36 zasadniczych i 4 zapasowych).

W Niemczech przysięgłym może być tylko poddany niemiecki, mający 30 lat skończonych, nie pozbawiony tego prawa przez sąd i nie zostający pod sądem na zasadzie oskarżenia o przestępstwo, które może pociągnąć za sobą pozbawienie praw. Nie mogą być przysięgłymi: służący; osoby, które w ciągu ostatnich trzech lat otrzymały wsparcie z kasy biednych; ci, którzy mieszkali w danéj gminie mniéj niż przez dwa lata; cierpiący na takie choroby umysłowe lub fizyczne, które nie pozwalają im spełniać funkcyi przysięgłych; następnie: ministrowie, członkowie senatu wolnych miast, sędziowie, prokuratorzy, urzędnicy policyi, duchowni, nauczyciele ludowi, wojskowi w armii czynnéj i wszyscy urzędnicy, którzy mogą być podani do dymisyi bez własnéj o to prośby. Uwalniają się od obowiązku być przysięgłymi: członkowie ciał prawodawczych; lekarze; aptekarze, nie mający pomocników; osoby, które pełniły obowiązki przysięgłego lub *schöffen*'a w roku ubiegłym; mający więcéj niż 65 lat i wszyscy ci, którzy udowodnią, że nie mogą ponosić wydatków, połączonych z funkcyą przysięgłego. Z osób, które mogą być przysięgłymi, przedstawiciele gmin układają listy pierwiastkowe (*Urliste)*, ogłaszają je i przyjmują uwagi od wszystkich, a następnie wraz z temi uwagami odsyłają do sędziego powiatowego (*Amtsrichter*), pod którego przewodnictwem zbiera się komisya, złożona z urzędnika, naznaczonego przez rząd, i siedmiu wybieralnych mężów zaufania. Komisya, po przejrzeniu uwag, układa listę kandydatów w liczbie trzy razy większéj, niż potrzeba przysięgłych na dany rok. Listy kandydatów (*Vorschlagsliste)* przesyłają się do prezesa sądu ziemskiego, który je przedstawia sądowi na zebraniu, złożoném z pięciu członków. Zebranie wybiéra odpowiednią liczbę zasadniczych i zapasowych przysięgłych i układa z nich listy roczne. Następnie, najmniéj na tydzień przed sesyą z przysięgłymi, prezes sądu ziemskiego na publiczném posiedzeniu sądu wobec przedstawiciela prokuratury wyjmuje losem 30 imion, z których formuje się lista sesyjna (*Spruchliste*).

W Rosyi przysięgłym może być poddany rosyjski, znający język rosyjski, umiejący czytać po rosyjsku, mający 25 — 70 lat życia, mieszkający w danym powiecie nie mniéj jak dwa lata i odpowiadający wymaganiom majątkowym, określonym przez art. 84, 87 i 88 urządzeń i instytucyi sądowych. Nie mogą być przysięgłymi: pozostający pod sądem, skazani na karę nie mniejszą niż więzienie, wydaleni przez wyrok sądowy z urzędu; pozbawieni stanu duchownego; wydaleni ze społeczności szlacheckich, miejskich lub włościańskich niewypłacalni;

dłużnicy; pozostający pod opieką za rozrzutność; ślepi, głusi, niemi i pozbawieni rozsądku; służba domowa i ci, którzy wpadli w ostateczną nędzę; prócz tego: duchowni, urzędnicy państwowi pierwszych czterech klas; sądownicy oprócz honorowych sędziów pokoju, komisarze sądowi, rejenci, urzędnicy prokuratury, wice-gubernatorzy, urzędnicy policyi, niektórzy inni urzędnicy, wojskowi armii czynnéj, nauczyciele szkół ludowych, parafialnych i początkowych miejskich i urzędnicy zarządów kwarantannowych. Uwalniają się od obowiązków przysięgłego osoby, które spełniały tę funkcyę w bieżącym lub ubiegłym roku, o ile w danéj miejscowości znajdzie się dostateczna ilość przysięgłych. Z wszystkich, którzy mogą być przysięgłymi, w każdym powiecie formują się listy ogólne, układane osobno dla każdéj kategoryi osób, wskazanych przez art. 89 urz. inst. sąd., przez prezesów miejscowych komisyi (*uprawa)* powiatowych ziemskich, prezydentów (*gołowa)* miast, naczelników ziemskich lub koniecznych członków komisyi włościańskiéj i naczelników policyi miejskiéj i ziemskiéj. Ułożone alfabetycznie listy ogólne przed 1 czerwca st. st. każdego roku przesyłają się do prezesa miejscowéj komisyi do układania list kolejnych, który po sprawdzeniu tych list ogłasza je drukiem przed 1 października [1]). Komisye do układania list kolejnych składają się w każdym powiecie pod przewodnictwem powiatowego marszałka szlachty z powiatowego członka sądu okręgowego, naczelników ziemskich, sędziów wiejskich (a gdzie ich niema — z sędziów pokoju, prezesa zjazdu sędziów pokoju i koniecznego członka powiatowéj komisyi włościańskiéj), naczelnika powiatu (*isprawnika*), policmajstra, prezesa powiatowéj komisyi ziemskiéj, prezydenta miasta powiatowego, podprokuratora sądu okręgowego i trzech lub więcéj osób, delegowanych przez powiatowe zebranie ziemskie. Prócz tego, przewodniczący ma prawo wzywać na posiedzenia komisyi miejscowych sędziów śledczych i inspektorów podatkowych z głosem decydującym na równi z innymi członkami komisyi. Tak utworzona komisya układa listy kolejne przysięgłych zasadniczych i zapasowych, wyznacza przysięgłych na każdy okres sesyi i zawiadamia każdego z nich, w jakim miesiącu ma być przygotowanym do stawienia się w charakterze przysięgłego. Na trzy tygodnie przed rozpoczęciem sesyi sądowych, sąd okręgowy na posiedzeniu publicznem przegląda listę osób, mających pełnić funkcye przysięgłych w da-

---

[1]) Na Litwie i Ukrainie prezesi komisyi do układania list kolejnych, przed ogłoszeniem list ogólnych, przesyłają te listy gubernatorom, którzy w ciągu miesiąca mają prawo wykreślić osoby, uznane przez nich za nieodpowiednie do pełnienia funkcyi przysięgłych.

nym okresie i, po wykreśleniu imion nieodpowiednich, wybiéra losem 30 przysięgłych zasadniczych i 3 zapasowych na cały okres sesyi. Jak długo trwa okres sesyi z przysięgłymi, prawodawstwo nie określa; trwa on zwykle mniéj więcéj około dwóch tygodni.

Widzimy więc, że wybór przysięgłych we wszystkich krajach w znacznéj mierze zależy od władzy administracyjnéj. Różnica jest tylko w szczegółach. Nie ulega kwestyi, że urzędnicy administracyjni, czy to będzie *overser* lub szeryf angielski, czy merowie francuscy, czy przedstawiciele gmin niemieccy, czy téż naczelnicy ziemscy lub prezydenci miast rosyjscy — w każdym razie urzędnicy ci wywrą niezaprzeczony wpływ na ogólny skład przysięgłych, wyłączą osoby, z jakichbądź powodów niedogodne dla administracyi, uformują listy z tych jedynie, którzy będą się zgadzali z ich zasadami. „Niezależność przysięgłych, powoływanych przez jakiekolwiek władze, jest zawsze podejrzaną” [1]). A przecież jedną z największych zalet sądu przysięgłych stanowi ta właśnie niezależność od władzy, która w żadném z obecnych państw europejskich nie występuje w zupełnéj czystości. De la Grasserie widzi to, uznaje słabą stronę teraźniejszego systemu i, ażeby zupełnie usunąć wpływ władzy administracyjnéj na wybór przysięgłych, a jednocześnie osiągnąć drugi cel — sądzenie przez równych — proponuje: 1) układać listę roczną z wszystkich wyborców i 2) wybierać z niéj losem komplet przysięgłych na każdą sesyę. Ale spostrzega on w téj chwili, że taki sposób rekrutowania przysięgłych mógłby dać w rezultacie komplety, złożone z samych analfabetów, ludzi o bardzo słabéj inteligencyi, którzy byliby zdolni do rozstrzygania zaledwie najprostszych spraw. Ażeby zapobiedz temu, autor proponuje układać ze wszystkich obywateli, mających prawo głosu na wyborach, nie jedną listę, lecz trzy: do pierwszéj weszłaby arystokracya umysłowa, t. j. ci, którzy otrzymali wykształcenie średnie (*secondaire*), do drugiéj — burżuazya, to jest wszyscy, którzy płacą podatki z nieruchomości lub opłacają patenty, do trzeciéj — proletaryat, t. j. osoby, żyjące z pracy rąk własnych; od każdego z przysięgłych byłoby wymaganém przynajmniéj wykształcenie elementarne (*primaire*). Do kompletu przysięgłych wybieranoby losem równą ilość przysięgłych z każdéj listy. „W ten sposób sąd przysięgłych będzie złożony z jednakowéj ilości przedstawicieli każdéj z klas, z których się składa społeczeństwo; oskarżony znajdzie tam równych sobie, a poszkodowany, co jest także sprawiedliwém, znajdzie tam również swoich.”

---

[1]) „W kwestyi sądów przysięgłych“ przez W. „Gazeta Sądowa“ z roku 1896, nr. 36, str. 567.

Zdaje mi się, że projekt ten nie wytrzymuje żadnéj krytyki. Przedewszystkiém, zkąd autor projektu wziął taki podział społeczeństwa na klasy? Co jest w tym podziale zasadniczym punktem, oddzielającym jedną klasę od drugiéj? Jeśli robimy klasyfikacyę, czy to przedmiotów, czy ludzi, musimy przedewszystkiém obrać jakąś cechę charakterystyczną, która, będąc coraz inną w każdéj klasie, służyłaby nam za zasadę podziału. Możemy dzielić przedmioty na białe, czerwone, niebieskie — wtedy zasadą podziału będzie kolor; na okrągłe, owalne, prostokątne— zasadą podziału będzie kształt; na gorące, ciepłe i zimne — zasadą będzie stopień temperatury; ale coby nam powiedziano, gdybyśmy zechcieli podzielić przedmioty na czerwone, zimne i okrągłe? Powiedzianoby zapewne, że klasyfikacya nasza nie ma racyi bytu, ponieważ jeden i ten sam przedmiot może być jednocześnie czerwonym, zimnym i okrągłym. Ten sam zarzut można postawić autorowi powyższego projektu. Jego klasy nie mają zasady podziału: człowiek, który otrzymał średnie wykształcenie (1 klasa), może jednocześnie płacić podatki z nieruchomości, nie przynoszącéj mu czystego dochodu, np. z niezabudowanego placu (2 klasa), i utrzymywać się z pracy rąk własnych (3 klasa). Na jakiéj liście umieścimy nazwisko takiego człowieka? Przypuśćmy jednak, że podział podług takiéj zasady dałby się uskutecznić—czy wtedy w jednéj klasie znajdą się rzeczywiście ludzie należący do jednéj kategoryi społecznéj? Najwięcéj równości dałaby może pierwsza lista, chociaż i na niéj obok uczonego profesora uniwersytetu moglibyśmy znaleść hreczkosieja, który skończył wprawdzie gimnazyum przed 30 laty, ale dziś, zajęty bezustannie gospodarstwem, nie pamięta już nic z tego, co się wtedy uczył, i od bardzo dawna czytuje tylko pisma brukowe. Ale za to co za olbrzymia odległość mogłaby się znaleźć w drugiéj klasie pomiędzy milionerem, włościaninem i posiadaczem sklepiku z pieczywem w mieście, albo w trzeciéj klasie między artystą malarzem lub literatem, którzy nie mają patentów gimnazyalnych, a robotnikiem fabrycznym! Czy można się zgodzić, że bankier należy do téj saméj klasy społecznéj co włościanin, literat co robotnik, profesor uniwersytetu co hreczkosiéj? Podział na klasy, proponowany przez de la Grasserie, nie da się więc zastosować w praktyce i nie prowadzi do poważnych rezultatów. Z jednéj strony nie osiąga on tego, o co najbardziéj idzie autorowi, t. j. zapewnienia tak oskarżonemu, jak i poszkodowanemu równych im sędziów, z drugiéj strony nie usunie wpływu władzy, bo musi przecie istnieć jakiś urząd, któryby się zajął podziałem obywateli na klasy i ułożeniem list.

Rekrutowanie przysięgłych ze wszystkich bez wyjątku obywateli, odpowiadających zgóry określonym przez prawo warunkom, zawsze

musi prowadzić do pewnego wpływu urzędników, układających listy. Warunki, wskazane przez prawo, muszą być zawsze ogólnikowe, przepisy ustawy, jako układane przez ludzi tylko, nie mogą dać doskonałych i wyczerpujących wskazówek i zawsze będzie można rozmaicie je tłómaczyć, zawsze musi istnieć organ, rozstrzygający wątpliwości, układanie list przysięgłych musi być powierzone jakimś urzędnikom, którzy nie potrafią stanąć na absolutnie objektywnym pukcie widzenia i w każdym razie będą się kierowali swemi osobistemi poglądami. Zdaje mi się, że jedyném rozwiązaniem téj zawiłéj kwestyi byłoby pozostawienie wszystkim obywatelom państwa prawa wybierania przysięgłych, tak samo, jak wybierają deputowanych, prezydentów, wójtów, sędziów gminnych i t. p. Jeżeli społeczeństwa nasze nie wahają się oddać w ręce wybieralnych deputatów najważniéjszéj strony działalności państwowéj—prawodawstwa, jeżeli powierzają im stanowienie niewzruszalnych praw, to dlaczego w téj saméj drodze nie mogliby wybierać przysięgłych? Czuję, że przeciwnicy tego systemu wytoczą przeciwko mnie całą baterye takich argumentów, jak agitacya kandydatów, zależność od wyborców, wpływ wyższych klas społeczeństwa ze szkodą niższych i t. p. i t. p. Zgadzam się, że np. wybory do parlamentu są połączone ze wszystkiemi temi niedogodnościami. Ale w danym wypadku niedogodności usuną się same przez się. Agitacyi kandydatów nie będzie, bo nikomu nie może bardzo zależéć na tém, żeby go wybrano przysięgłym; stanowisko przysięgłego nie daje ani dochodu, ani wpływu, jest to raczéj ciężki obowiązek, niż pożądane prawo. Dla téj saméj przyczyny przysięgli nie będą zależnymi od poglądu swoich wyborców; każdy z nich będzie mógł zupełnie spokojnie sądzić tylko podług swego sumienia, bo przedewszystkiém wyborcy prawie nigdy nie będą wiedzieli, na którą stronę głosował ten lub inny przysięgły, a powtóre, jeżeli poglądy przysięgłego nie podobają się wyborcom, to czém go oni ukarzą? Nie wybiorą go po raz drugi? Tém lepiéj dla niego, bo nie będzie zmuszony do wykonywania trudnéj i odpowiedzialnéj pracy, do straty drogiego czasu. A trudno chyba przypuszczać, że znajdzie się przysięgły, któryby umyślnie źle sądził, żeby nie być wybranym na przyszły rok! Ci zaś, którzy wszelkiemi siłami chcieliby się uchylić od spełniania obowiązków przysięgłych, znajdą na to sposób przy każdym systemie. Wpływ wyższych klas społeczeństwa ze szkodą niższych nie znalazłby tu zastosowania, ponieważ klasy wyższe przy wyborach starają się o przeprowadzenie swoich kandydatów dlatego jedynie, że ci kandydaci po objęciu mandatu będą ewentualnie postępowali zgodnie z życzeniami swoich protektorów, a na przysięgłego te życzenia nie mogą wywierać najmniejszego wpływu. Prawo głosowania na przysię-

głych mogłoby być dane wszystkim obywatelom pełnoletnim, z wyjątkiem pozbawionych tego prawa na mocy wyroku sądowego. Każdy wyborca złożyłby do urny kartkę z kilkoma, np. trzema lub czterema, nazwiskami; pewna, określona ilość nazwisk tych, którzy otrzymali najwyższą ilość głosów, uformowałaby listę przysięgłych na dany okres sesyi sądowych. Ilość przysięgłych ulegających wybraniu mogłaby być zgóry określoną dla każdego okręgu sądowego. Możnaby także określić minimalną ilość głosów, jakie należy otrzymać, ażeby módz być przysięgłym, i, w razie potrzeby, zarządzać wybory dodatkowe. Pewnym kategoryom osób możnaby dać prawo zrzeczenia się mandatu. Na specyalne żądanie wybranego, sędziowie koronni rozstrzygaliby, czy ma on prawo zrzec się obowiązków przysięgłego, i w razie decyzyi twierdzącéj wykreślaliby go z listy, o ile znalazłaby się dostateczna ilość innych przysięgłych do zastąpienia wykreślonych. Przy takim systemie, nie byłyby potrzebne ograniczenia; każdy wyborca mógłby być przysięgłym, o ileby nie został pozbawionym tego prawa na mocy wyroku sądowego, po za tém społeczeństwo samo segregowałoby kandydatów, a gdyby wyborcy złożyli mandaty w złe ręce, to sami by na tém ucierpieli. Tylko przy systemie wyborów można osiągnąć zupełną niezależność od władzy.

2-o Ażeby dać możność obywatelom niezamożnym (zaliczonym do trzeciéj z pomienionych klas) brania udziału w sądzie przysięgłych bez wielkiego uszczerbku pod względem majątkowym, de la Grasserie proponuje płacenie przysięgłym honoraryum za każdy dzień zajęty... „Co dzień, mówi on, słyszymy skargi z téj racyi; udział w sądzie przysięgłych jest zaszczytem, którego każdy stara się uniknąć, ponieważ jest on połączony z wydatkami... Świadek ma prawo do zapłaty, sędzia do pensyi, ekspert do honoraryum, dla czego przysięgły ma być wyjątkiem [1])?" Słusznèm jest żądanie, żeby za każdą pracę otrzymywano odpowiednie wynagrodzenie, ale zdaje mi się, że w danym wypadku urzeczywistnienie tego projektu zmieniłoby zupełnie treść sądu przysięgłych. Przysięgły — to sędzia, do którego wszyscy mają zaufanie, ponieważ nie kieruje się on żadnemi innemi pobudkami, prócz głosu wolnego sumienia, nie zależy od nikogo, nie jest zmuszony dogadzać niczyim zachciankom, nie jest skrępowany żadnemi więzami. Gdyby urząd przysięgłego stał się płatnym, w téj chwili rozpoczęłaby się agitacya, wielu, bardzo wielu ludzi niezamożnych zrobiłoby z tego sposób zarobkowania, udział społeczeństwa w wymiarze sprawiedliwości zmieniłby się w rze-

---

[1]) „*Revue*" str. 631.

miosło, przysięgłymi staraliby się zostać przeważnie ludzie, którzy nie umieją, lub nie chcą w inny sposób zarabiać na swoje utrzymanie, a więc ludzie po większéj części bardzo nizko stojący pod względem umysłowym lub moralnym. Brzęk złota zgrzytnąłby fałszywym akordem w harmonii sprawiedliwości. Ponieważ jednak są ludzie, którzy dużo tracą na tém, że, będąc przysięgłymi, nie mogą przez tenczas pracować na utrzymanie, a muszą za wszystko drogo płacić, szczególniéj jeśli mieszkają nie w tém mieście, gdzie się odbywa sąd, możnaby dawać takim przysięgłym nie pieniądze, lecz mieszkanie i utrzymanie przez czas trwania sesyi na koszt rządu, lub uzyskiwać potrzebną na to sumę z majątku skazanego wraz z innemi kosztami sprawy. Możnaby to rozciągnąć na wszystkich przysięgłych, mieszkających po za obrębem tego miasta, gdzie się odbywa sąd. Przysięgły miałby prawo korzystać z należnego mu mieszkania i utrzymania, lub téż zrzec się tego i utrzymywać się na swój koszt. I jedno i drugie przysięgli otrzymywaliby w naturze, bez prawa zamiany na pieniądze, lub ustępowania swych praw komu innemu. Zapełnie słusznym jest także zwrot kosztów podróży.

3-o Następnie autor uważa, iż należy zmniejszyć liczbę przysięgłych w każdym komplecie. Dwunastu — liczba tradycyjna, nie kwestyonowana prawie przez nikogo — wydaje mu się za dużą. Według jego zdania „obrady idą lepiéj i staranniéj, jeżeli liczba obradujących jest mniejszą. Przy liczbie dwunastu jest wiele prawdopodobieństwa, że przynajmniéj połowa członków, dzięki swéj niższości lub brakowi energii, pozostaje bezczynną i bez osobistego zbadania sprawy zastosuje się do zdania tego, kto najenergiczniéj dowodzi... W sądach, złożonych z trzech członków, każdy oponuje innym z pewnym zapałem i chce, żeby jego zdanie przeważyło, w sądach liczniéjszych — pięciu lub siedmiu — nie każdy już może argumentować. W komplecie, złożonym z dwunastu, bardzo wielu będzie tylko głosowało. Im bardziéj zmniejsza się liczba obradujących, tém obrady są staranniejsze.” [1]) Wszystkie te argumenty możnaby zakwestyonować. Widzieliśmy nieraz bardzo liczne zebrania, gdzie dysputa była bardzo ożywioną i nieliczną, gdzie wszyscy zgadzali się ze zdaniem jednego. Z drugiéj zaś strony zmniejszenie liczby przysięgłych mogłoby źle wpłynąć na wszechstronność ich poglądu na życie; im jest więcéj obradujących, tém więcéj można znaleść sposobów zapatrywania się na sprawę, tém więcéj prawdopodobieństwa zrozumienia oskarżonego, odczucia pobudek, ja-

---

[1]) „*Revue*“ str. 632.

kie kierowały jego czynami. Wobec tego zdaje mi się, że niema poważnego powodu do zmniejszenia tradycyjnéj dwunastki na mniejszą liczbę. Wniosek o zmniejszeniu liczby przysięgłych przechodził pod obrady komisyi do przejrzenia ustaw sądowych i został odrzucony 22 głosami przeciwko 4. [1]) Byłoby może słuszniéj nie wyznaczać do każdéj sprawy przysięgłych zapasowych, oddając sprawę w razie ustąpienia jednego lub dwóch przysięgłych do rozstrzygnięcia pozostałych, w liczbie nie mniejszéj jednak niż dziesięciu.

4-o Daléj autor zatrzymuje się nad kwestyą, kto ma być przewodniczącym w komplecie przysięgłych. Obecnie jest to jeden z przysięgłych, wybierany w jednych krajach losem, w innych przez głosowanie współtowarzyszy. De la Grasserie uznaje oba sposoby za nieracyonalne, ponieważ los jest ślepym i może wybrać najmniéj zdolnego, a głosowanie przysięgłych, którzy po większéj części widzą się po raz pierwszy, nie może również być miarodajném. Ponieważ bardzo często może zachodzić potrzeba udzielenia informacyi prawnych przysięgłym, więc byłoby słuszném, według słów autora, żeby informacyi tych udzielał nie sąd koronny, lecz jeden z przysięgłych, mianowicie przewodniczący. Dla tego téż radzi on powierzać tę funkcyę specyalistom prawnikom, przeważnie adwokatom. Wprowadzenie tego projektu w życie byłoby może pożądaném, gdyby nie to, że w takim razie sąd przysięgłych straciłby swoją cechę charakterystyczną, jako sąd społeczeństwa, sąd obywateli, wyrokujący na zasadzie nie formułek prawnych, lecz wolnego sumienia, zbliżyłby się więcéj do typu sądów mieszanych; prócz tego samo wykonanie byłoby u nas możliwém tylko w większych miastach, na prowincyi zaś, gdzie cały kontyngens prawników danego okręgu sądowego składa się, prócz sędziów, z pięciu lub sześciu adwokatów i tyluż rejentów, po większéj części bardzo słabo znających prawo kryminalne, przewodniczący przysięgłych musieliby się rekrutować ciągle z tych samych kilkunastu osób, które wobec tego wkrótce zmieniłyby się na stałych sędziów. Argument, że przysięgli nie znają się i przez to nie wiedzą, kogo wybrać na przewodniczącego, jest słuszny tylko dla pierwszych spraw danego okresu sesyi, bo późniéj przysięgli poznają się już wzajemnie i wiedzą, kto najwięcéj odpowiada warunkom wymaganym dla przewodniczącego.

5-o Ażeby w zupełności urzeczywistnić ideę sądu przez równych, de la Grasserie proponuje w niektórych sprawach wprowadzić do składu przysięgłych kobiéty. „W pewnych kwestyach — mó-

---

[1]) Patrz Miklaszewski, *loc. cit.* „Gazeta Sądowa“ z 1897, Nr. 32, str. 517.

wi on — niesłusznêm jest, żeby kobiéta była sądzoną przez mężczyznę, tak samo, jak byłoby niesłusznêm, żeby mężczyzna był sądzonym przez kobiétę: idzie tu o przestępstwa nie ściśle płciowe, ale wynikające z namiętności. W pierwszych udział kobiéty w charakterze przysięgłego byłby nietylko nieużytecznym, ale wprost rażącym (*choquant*), a zresztą istnieją wstrętne przestępstwa, jednakowo potępiane przez ludzi obojga płci. Ale zupełnie jest co innego, jeżeli idzie o namiętności, o przestępstwa, których bliższą lub odleglejszą przyczyną jest namiętność, pobudka, wynikająca z różnicy płci. Naprzykład w razie zemsty, dokonanéj przez kobiétę na osobie mężczyzny, który ją uwiódł, opuścił, lub złamał wierność małżeńską. Tak samo w wypadkach zbrodni dzieciobójstwa, którego odległa przyczyna zawsze się kryje w mężczyźnie. Czy w tych sprawach sąd mężczyzn jest sądem równych? Jeżeli nie, to trzeba wprowadzić do tego sądu zupełną równość, pierwszy i nieodzowny warunek sprawiedliwości. Można to zrobić tylko przez wprowadzenie w tych sprawach kobiét do sądu przysięgłych." [1])

Jest to projekt, nad którym warto się zastanowić. Na pierwszy rzut oka wydaje się on jednym z wielu wybryków na polu przesadzonéj emancypacyi kobiét i mimowoli wywołuje uśmiech na ustach, szczególniéj jeżeli (stosując się do poprzednich projektów autora zmniejszenia liczby przysięgłych i wybierania po dwóch z każdéj klasy społecznéj) wyobrazimy sobie komplet przysięgłych, złożony w połowie z mężczyzn w połowie z kobiét, do którego wejdą naprzykład: inżynier i nauczycielka (1 kl.), włościanin, właścicielka domu (2 kl.), szewc i praczka (3 kl.). Ale jeżeli weźmiemy dwunastu przysięgłych wybieralnych, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że kobiéty według tego projektu mają przyjmować udział w sądzeniu niektórych tylko spraw i to takich, w których oskarżona spełniła przestępstwo dlatego właśnie, że jest kobiétą, i że jako taka była postawioną w innych warunkach, niż mężczyzna, to strona humorystyczna zniknie, i zaczniemy się przychylnie zapatrywać na cały projekt. Wszak uznaliśmy, że jedną z najważniejszych zalet sądu przysięgłych jest wszechstronność poglądu na życie, powodująca, iż między przysięgłymi zawsze znajdzie się przynajmniéj jeden, który zrozumie oskarżonego, postawi się w jego położeniu, który zna te okoliczności, w jakich działał oskarżony, odczuwa stan duszy, jaki go popchnął do spełnienia inkryminowanego czynu. A któż lepiéj zrozumie kobiétę, niż kobiéta? Czy mężczyzna potrafi tak dokładnie odzwierciadlić sobie stan duszy matki-dzieciobójczyni w chwili zabójstwa, czy odczuje tę straszną walkę, toczącą się w duszy nieszczęsnéj, walkę, do

---

[1]) „*Revue*“ str. 635 i 636.

któréj staje z jednéj strony instynktowna miłość macierzyńska i wrodzone każdemu człowiekowi uczucie litości, nie pozwalające znęcać się nad maleństwém, tak bardzo niewinném i tak bardzo bezbronném, a z drugiéj strony uczucie wstydu i bezsilności wobec przyszłego losu swego i dziecka, uczucie tak silne, że zwycięża wrodzone instynkta, zwycięża głos sumienia i obawę kary — wszystko razem na tle podrażnienia wywołanego przez chorobę? Mężczyźni znają te uczucia z nazwy, ale czy odczują oni podobną sytuacyę tak silnie, jak kobiéta, która, jeżeli nie była w takiém położeniu, to w każdéj chwili może się w niém znaleźć, kobiéta, która jedna tylko może w swoim umyśle znaleść wytłómaczenie tych czysto kobiécych uczuć. Projekt wprowadzenia kobiét do sądu przysięgłych w niektórych specyalnych sprawach — zasługuje na poparcie. Zarzucić mu można to jedynie, że w naszych warunkach, kiedy kobiéta przyjmuje tak bardzo mały udział w życiu społeczném, kiedy przeważna ilość naszych kobiét składa się z gospodyń, nie widzących nic po za swoim domem i banalnemi stosunkami z podobnemi sobie, z napuszonych sawantek, lub tak zwanych panien na wydaniu, kiedy przeciętna kobiéta z wyższéj klasy pochłonięta jest domem, bezmyślném życiem towarzyskiém i drobnemi ploteczkami, a z niższych klas — gospodarstwem, dziećmi i także drobnemi ploteczkami, kiedy kobiéty z szerszym poglądem na życie stanowią dość rzadki wyjątek i są przywilejem tylko nielicznych większych centrów życia umysłowego — dzisiaj projekt ten wydaje mi się jeszcze przedwczesnym. Może doprowadziłby on do pożądanych skutków we Francyi lub Anglii, ale nie u nas. Pomimo całego uznania dla płci pięknéj, nie powierzyłbym naszym paniom udziału w sądzie przysięgłych.

6-o. Istnieje cały szereg spraw, do rozstrzygnięcia których byłby pożądanym specyalny komplet przysięgłych, złożony z fachowców, z ludzi którzy jedynie dzięki ciągłemu obracaniu się w danéj sferze stosunków potrafią się zoryentować w ogromie materyału, odróżnić doniosłość najdrobniejszych odcieni, uchwycić treść wśród masy nic nieznaczących szczegółów. Są to wyjątkowe sprawy o wielkie oszustwa giełdowe, o nadużycie urzędników, o bankructwa, o fałszowanie dokumentów, o malwersacye w interesach finansowych. „Przysięgli — mówi de la Grasserie — będą oszołomieni masą cyfr, które oskarżyciel i oskarżony wprowadzą w grę przed nimi... Niezbędnym jest tu specyalny skład przysięgłych, znający się na rzeczy, wybranych losem z pomiędzy ludzi, posiadających odpowiednie wiadomości techniczne [1]). Projekt

[1]) „*Revue*“ str. 636.

ten jest zupełnie słusznym i byłoby pożądaném jaknajprędsze wprowadzenie go w życie. Cała trudność polegałaby na tém, jakie sprawy oddać tym specyalnym przysięgłym i w jaki sposób ułożyć odpowiedni komplet specyalistów. Trudność ta dałaby się może usunąć, gdyby powierzyć sądowi określanie w każdym poszczególnym wypadku, czy dana sprawa ulega sądzeniu zwyczajnych przysięgłych, czy téż niezbędnym jest komplet specyalny. Obie strony w procesie — jak oskarżyciel, tak i oskarżony — powinnyby mićć prawo żądania, ażeby ich sprawa była rozstrzyganą przez specyalnych przysięgłych. Co się tyczy samego ułożenia kompletu sądu, to możnaby zarządzić pomiędzy ludźmi danego fachu specyalne wybory do każdéj sprawy; a chcąc usunąć wpływ osób interesowanych przy wyborach, możnaby zarządzić wybór znacznie większéj ilości przysięgłych, np. 36 lub 48 (o ileby się znalazło tylu odpowiednich fachowców), i z téj liczby przed samém rozpoczęciem sesyi wybrać losem dwunastu. Wniosek wprowadzenia specyalnych przysięgłych został przyjęty przez komisyę do przejrzenia ustaw sądowych, która jednomyślnie uznała za pożądane, oprócz powierzenia im spraw wyjątkowych, „wprowadzić specyalnych przysięgłych do rozpoznawania spraw ogólnych w miejscowościach, w których, z powodów politycznych lub innych miejscowych, uznanoby za niemożliwe wprowadzić zwykły sąd przysięgłych.” [1])

7-o. Określiwszy w ten sposób pożądany skład kolegium przysięgłych, de la Grasserie przechodzi do drugiéj części składowéj sądu— do sędziów koronnych — i uznaje, że obecność obok prezydującego dwóch członków sądu jest zupełnie zbyteczna. Na poparcie tego powołuje się on na przykład Anglii, gdzie obok przysięgłych zasiada jeden tylko sędzia — prezydujący, sam rozstrzyga kwestye prawne, sam spełnia te obowiązki, które na kontynencie są powierzone trzem sędziom koronnym. „Jaka jest rola tych dwóch członków? — zapytuje autor. Dopóki werdykt nie zostanie wyrzeczony, jest ona prawie żadną. To prawda, że sąd koronny rozstrzyga kwestye prawne, ale kwestye te zdarzają się rzadko. Po werdykcie członkowie obradują i głosują w kwestyi kary. Określeniem winy nie mają celu nawet się zajmować. W rzeczywistości rola członków sądu jest męcząca z powodu połączonych z nią nudów; uwaga, jaką zwracają oni na przebieg sprawy, jest po większéj części niepotrzebną stratą czasu. Są to praktykanci, którzy wprawiają się do prezydowania w przyszłości, — na tém właściwie kończy się ich rola.” Argumenty powyższe są zupełnie słuszne. Koronni członkowie sądu są w znacznéj większości spraw niepotrzebnym ba-

[1]) Patrz Miklaszewski *loc. cit.* № 30 str. 484.

łastem. Bywają jednak wypadki, kiedy obecność obok prezesa dwóch sędziów koronnych jest nietylko bardzo pożądaną, ale nawet niezbędną, a mianowicie sprawach, w których przed sąd kryminalny wytoczoną zostaje akcya cywilna [1]. Wtedy do rozstrzygnięcia akcyi cywilnéj koniecznym jest udział dwóch członków sądu — cywilistów, którzy wraz z prezydującym decydowaliby w kwestyach z prawa cywilnego. Uniknęłoby się przez to smutnych — a niestety, niezbyt rzadkich — wypadków, kiedy sąd, złożony z kryminalistów, nie ma pojęcia, jak sobie poradzić z zawiłemi kwestyami prawa cywilnego. Zupełne zaś odłączenie akcyi cywilnéj od sprawy kryminalnéj jest prawie zawsze bardzo uciężliwém dla stron i sądu, a często okoliczności sprawy tak się składają, że, gdyby powód cywilny musiał osobno wytaczać akcyę po skończeniu sprawy kryminalnéj, to sąd byłby zmuszony drugi raz powtarzać całą sprawę, badać tych samych świadków, sprowadzać tych samych ekspertów i dowody rzeczowe, co byłoby zbyteczną stratą pracy i czasu. Bez porównania jest praktyczniéj, kiedy ten sam przebieg sprawy rozjaśnia jednocześnie stronę kryminalną i cywilną. Tak więc w sprawach z akcyą cywilną niezbędnym jest udział dwóch członków sądu, cywilistów, którzyby mieli głos tylko w kwestyach z prawa cywilnego. W sprawach bez akcyi cywilnéj udział członków sądu jest zbytecznym. Cały komplet sądu powinien się składać z prezesa i przysięgłych.

8-o. Po określeniu składu sądu, de la Grasserie zadaje pytanie, jakie mają być jego funkcye. W Anglii jest dwa rodzaje przysięgłych: wielkie *jury*, które decyduje o oddaniu pod sąd, i małe *jury* — właściwy sąd przysięgłych — które sądzi. We Francyi i wogóle na lądzie stałym Europy oddanie pod sąd jest powierzone organom koronnym: we Francyi — izbie oskarżeń *(chambre de mises en accusation)*, w Rosyi — prokuraturze i izbie sądowéj [2], a w sprawach z prywatnego oskarżenia — osobie prywatnéj. Otóż system kontynentalny zupełnie się nie zgadza z zapatrywaniami autora. Według jego zdania nie dosyć jest powierzyć przysięgłym ostateczne zdecydowanie o winie lub niewinności oskarżonego; samo oskarżenie i oddanie pod sąd jest krokiem tak ważnym, że nie można go stawiać lekkomyślnie. Podczas sądzenia przez przysięgłych wchodzi w grę życie lub swoboda oskarżonego, a przy oddawaniu pod sąd — jego honor, droższy dla niejednego od życia. Sam fakt znajdowania się pod sądem jest dla bardzo wielu tak

---

[1] To jest, kiedy poszkodowany żąda sądownie od oskarżonego wynagrodzenia za stratę materyalną, spowodowaną przez przestępstwo.

[2] W warszawskiéj izbie sądowéj istnieje w tym celu osobny wydział, zwany izbą oskarżeń.

ciężką karą, że wymierzanie jéj powinno być połączone z takiemi samemi ostrożnościami, jak i wyrokowanie ostateczne. Powierzyć oddawanie pod sąd organom koronnym znaczyłoby skazić (*fausser*) całą procedurę kryminalną: „dawna izba rady, tak samo jak dzisiejsza izba oskarżeń, są to maszynerye, funkcyonujące bez korzyści; jest to tylko kontrola hierarchiczna; rola ich polega jedynie na klasyfikacyi oskarżenia.“ [1] Te same mniéj więcéj poglądy zawiera utarte u nas żartobliwe wyrażenie: „izba oskarżeń—to stempel” [2], które dowodzi, że zatwierdzanie aktów oskarżenia przez izbę jest w większości wypadków czczą formalnością, polegającą na przyłożeniu stempla. Inaczéj spełnialiby obowiązek oddania pod sąd specyalnie do tego wybrani przysięgli, osobne *jury* oskarżenia, złożone według projektu autora z trzech przysięgłych pod przewodnictwem sędziego śledczego, który miałby tylko głos doradczy. Takie *jury* oskarżenia — mówi autor — miałoby jeszcze jedną przewagę, a mianowicie odjęłoby sądowi połowę spraw, nawet tych w których wydawałoby decyzye oskarżające. W procesie angielskim, w razie przyznania się oskarżonego do winy, nie staje on przed przysięgłymi, lecz tylko przed sędzią koronnym, który sam określa karę. Dla czego i na kontynencie przyznanie się nie mogłoby uwalniać oskarżonego od przykrości stawania przed sądem, słuchania całego przebiegu sprawy? „Byłoby to dlań oszczędzenie wstydu, dla państwa oszczędność kosztów, dla wszystkich oszczędność czasu” [3]. W razie przyznania się, *jury* oskarżenia samo określałoby karę, bez potrzeby oddawania sprawy przed właściwy sąd przysięgłych.

Trudno się nie zgodzić w zasadzie z tym projektem. Bywają sprawy, w których przeciw oskarżonemu są bardzo poważne poszlaki, formalnie wina jego jest prawie dowiedzioną, a jednak każdy prawie, kto bliżéj wejrzy w szczegóły sprawy, pomimo wszelkich dowodów winy, przychodzi do przekonania, że oskarżony jest niewinnym. Tymczasem wobec poważnych poszlak ani sędzia śledczy, ani prokurator, ani izba nie mają prawa uwolnić go od stawania przed sądem, Sprawy takie kończą się zwykle uniewinnieniem, ale kto odejmie oskarżonemu przykrość i wstyd publicznego badania, a często nawet zamknięcia w więzieniu śledczém. Jeżeli w kwestyi winy przy ostatecznym sądzeniu

---

[1] *Revue* str 639.

[2] Na akcie oskarżenia, zatwierdzonym przez izbę, powinny być napisane wyrazy: „zatwierdzony przez izbę oskarżeń w dniu ...“ Wyrazy te zwykle odciskają się za pomocą stempla kauczukowego, co dało powód do przytoczonego tu żartu.

[3] *Revue* str. 641.

nie wystarcza formalna teorya dowodów, nie wystarcza sąd płatnego rutynowanego urzędnika, to dlaczego wystarczałoby to w kwestyi oddania pod sąd, które bądź co bądź nakłada, chwilowo przynajmniéj, piętno hańby na oskarżonego i jego rodzinę, odrywa ojca od dzieci, męża od żony, zadaje cierpienie częstokroć zupełnie niesłuszne? Oddanie pod sąd nie ma tak decydującego znaczenia, jak wyrokowanie ostateczne, ale niemniéj przetopociąga za sobą takie poważne następstwa, że powierzenie téj funkcyi niezależnym obywatelom byłoby bardzo pożądane.

Co się tyczy drugiéj części tego projektu — określenia przez *jury* oskarżenia kary w razie przyznania się, to uważałbym za słuszne wprowadzić maleńką poprawkę. Są sprawy, i takich jest bardzo wiele, w których oskarżony, żałując spełnionego czynu, a częściéj jeszcze widząc, że i tak będzie skaranym, przyznaje się poprostu do winy i opowiada otwarcie, jak przestępstwo zostało spełnioném. Ale zdarza się także, że, pomimo przyznania się, wina oskarżonego nie jest jeszcze bardzo pewną; niejeden przyznaje się do winy, któréj nie spełnił, ażeby w ten sposób ukryć inne przestępstwo, uchronić siebie lub innych od większego złego, niż kara, jaka mu grozi. Bywały np. wypadki, że młody człowiek, schwytany w nocy w pokoju kobiety, udawał złodzieja, ażeby uchylić podejrzenie schadzki, albo złoczyńca, schwytany w chwili, kiedy zadawał śmiertelny cios, wymyślał na poczekaniu romantyczne historye o zazdrości, zemście i t. p., ażeby się uchronić od większéj kary za rozbój. Są i takie sprawy, w których oskarżony przyznaje się do spełnienia zarzucanego mu czynu, ale obstawia go takiemi warunkami, które zupełnie zmieniają doniosłość przestępstwa. We wszystkich tych sprawach przyznanie się oskarżonego nie może być wystarczającém trzeba zebrać wszystkie możliwe dane, wyświetlić prawdę z całą bezstronnością, zbadać okoliczności łagodzące i obciążające i wtedy dopiéro wyrokować. Określenie kary przez *jury* oskarżenia na zasadzie prostego przyznania się do winy mogłoby i powinno znaleźć zastosowanie w sprawach najprostszych, w których przyznanie się dostatecznie wyjaśnia sprawę, a dalsze badania nie prowadziłyby do niczego. Ale w kwestyach więcéj skomplikowanych, pomimo przyznania się, sprawa powinna iść przed właściwy sąd przysięgłych. Cała trudność polega pozornie na tém, jak przeprowadzić granicę pomiędzy sprawami najprostszemi i więcéj skomplikowanemi. Granicy téj nie może określić prawo, wskazać ją można tylko w każdym konkretnym wypadku. Zdaje mi się, że byłoby najsłuszniéj, gdyby prawo określiło, jako regułę, ostateczne wyrokowanie *jury* oskarżenia we wszystkich wypadkach przyznania się, z tém jednak zastrzeżeniem, żeby, jak samemu *jury*, tak i ka-

żdéj ze stron (oskarżycielowi i oskarżonemu) przyznane było prawo żądać oddania sprawy do właściwego sądu przysięgłych i żeby żądaniu takiemu, wygłoszonemu przed wydaniem wyroku przez *jury*, nie wolno było odmówić. W ten sposób oszczędziłoby się dużo pracy sądom, a z drugiéj strony wszystkie sprawy, rzeczywiście wymagające rozstrzygania przez sąd przysięgłych, byłyby mu oddawane.

9-o. Przechodząc następnie do sposobu prowadzenia sprawy, de la Grasserie proponuje, wobec poprzedniego badania oskarżonego przez *jury* oskarżenia, nie badać go już w sądzie i wprost przejść do badania świadków. Świadków ma badać nie prezes sądu, jak jest obecnie, lecz strony, prezes zaś miałby tylko prawo zadawać pytania dodatkowe.

Dlaczego sąd nie ma badać oskarżonego? „To już nie czas szukać przyznania się — mówi autor —, o ile oskarżony miał się przyznać, to powinien był to uczynić przed *jury* oskarżenia" [1]). Tak więc autor nie przypuszcza możliwości zniesienia przez oskarżonego taktyki postępowania? nie przypuszcza, że oskarżony, który, czując się winnym, nie przyznał się dla jakichbądź powodów przed *jury* oskarżenia, może po dłuższym namyśle zechcieć się przyznać, co najczęściéj znakomicie dopomoże do wyświetlenia prawdy. Dlaczego, jeżeli winny zechce się przyznać, sąd ma mu zabronić mówić? Prócz tego ogólnie wiadomo, że przysięgli często kierują się nie tyle zeznaniami świadków, ile têm, co mówi oskarżony, jak się tłómaczy, czy nie plącze się w odpowiedziach, czy na każdą poszlakę winy znajduje logiczne i prawdopodobne wyjaśnienie, częstokroć tylko zestawienie odpowiedzi oskarżonego ze zeznaniami świadków może dać odpewiedni materyał do wyrokowania. „Teoretycy — mówi Ł. Fatiejew — chcieli zredukować do zera znaczenie zeznań oskarżonego w sądzie, ale życie sprzeciwia się teoryi; przy każdém przestępstwie społeczeństwo przedewszystkiém zadaje pytanie: jak sam oskarżony tłómaczy swój czyn? Słucha ono tego tłómaczenia z całą uwagą i wiadomo przecie, że często się zdarzają wypadki zupełnego uniewinnienia oskarżonego, który przyznał się do spełnienia przestępstwa, ale przytoczył takie poważne motywy uniewinniające, że wobec nich sumienie sędziów oburzyłoby się na wyrok skazujący. Społeczeństwo wymaga i ma prawo wymagać od swego członka, który spełnił przestępstwo, odpowiedzi i objaśnień o pobudkach i celu przestępstwa; ma prawo żądać od niego sprawozdania z jego czynów, i żądanie to zostaje wywołaném przez dążenie nie tyle do wyszukania i ukarania winowajcy, ile do wykrycia prawdy, któréj nikt nie może tak dobrze wyświetlić, jak ten, czyj czyn pogwałcił spokój społeczeństwa." [2]) Badanie

---

[1]) „*Revue*" str. 641.

[2]) Ł. Fatiejew. „*K woprosu o zakluczitielnoj rieczi predsiedatiela*". *Żurnal Grażdanskawo i ugołownawo prawa.* Maj 1885, str. 78.

oskarżonego to jeden ze sposobów wyświetlenia prawdy, a sposobów tych nigdy nie jest za wiele; sąd nie powinien żadnego z nich odrzucać.

Kwestya, kto ma zadawać pytania świadkom — strony czy prezydujący, należy do zasadniczych reguł procedury wogóle i tyczy się tak samo sądów przysięgłych, jak i wszystkich innych. Rozstrzyganie jéj leży po za obrębem niniejszéj pracy. Zwrócę tu tylko uwagę, że przy nizkim wogóle poziomie wykształcenia sfery, z któréj się przeważnie rekrutują u nas podsądni i oskarżyciele prywatni, badanie świadków przez strony byłoby możliwém tylko w tych sprawach, w którychby ze strony oskarżenia stawał prokurator lub adwokat, a ze strony oskarżonego wykwalifikowany obrońca. Tymczasem w naszych sądach we wszystkich prawie sprawach z prywatnego oskarżenia oskarżyciel nie ma adwokata, a oskarżony bardzo często również obchodzi się bez obrońcy. Strony w takich wypadkach nie umieją badać świadków i badanie mogłoby się zmienić w czczą gadaninę, nie mającą nic wspólnego ze sprawą.

Tak samo ogólnéj treści jest słuszna zresztą uwaga autora, że procedura obecnie jest zbyt skomplikowana, zanadto najeżona formalnościami, których niezachowanie prowadzi do bezcelowego częstokroć uchylania wyroków w drodze kasacyi.

10-o. Najważniejszym punktem, treścią całego postępowania przed sądem przysięgłych—jest stawianie pytań, na które mają odpowiedzieć przysięgli. System angielski i kontynentalny zasadniczo różnią się od siebie pod tym względem. Pierwszy zupełnie odrzuca stawianie przysięgłym pytań, drugi przyjmuje je do nieskończoności. De la Grasserie tak opisuje system kontynentalny: „Każdy fakt jest przedmiotem osobnego pytania. Przypuściwszy, że podsądny jest oskarżony o spełnienie stu kradzieży—będzie sto pytań. Następnie osobne pytanie się stawia, co do każdéj okoliczności obciążającéj, o tém, czy oskarżony małoletni działał ze zrozumieniem i t. d... Jeżeli w toku rozpraw istota przestępstwa się zmienia, należy postawić pytanie dodatkowe co do nowego przestępstwa. Jeżeli każdy czyn został spełniony przez kilku wspólników, o każdym z nich należy postawić osobne pytanie. Widać z tego, do jakiéj olbrzymiéj cyfry może dojść ilość pytań, jaka subtelna analiza jest konieczną, ażeby je ułożyć, jak bardzo przysięgli muszą wysilać umysł, żeby się nie zgubić w chaosie.“ [1]) W systemie angielskim tego wszystkiego niéma. Przysięgli odpowiadają tylko „*winien*“ lub „*nie winien.*“ Przyczyną téj różnicy jest fałszywy podział na sędziów

---

[1]) „*Revue*“ str. 642.

faktu i sędziów prawa, wzięty przez Francyę z sądów pretorskich w Rzymie i sztucznie zaszczepiony na angielskiéj płonce. Że podział ten nie ma racyi bytu, zdaje się, nie ulega już dziś wątpliwości. Co w sprawie kryminalnéj jest kwestyą faktu, a co kwestyą prawa? Czy prawo jednego narodu nie określa tego, co u innego jest uważaném za kwestyę faktu, i odwrotnie? Czy wszystkie kodeksy nie wkraczają w kwestyę faktu, określając takie rzeczy, jak włamanie przy kradzieży, podział ran na lekkie i ciężkie, jak usiłowanie, przygotowanie, wspólnictwo, ukrywanie i t. p. i t. p.? Wszystko to są bardzo zawiłe kwestye prawne, a jednak w każdym konkretnym wypadku rozstrzygają je przysięgli, jako kwestye faktu. Zachodzą wprawdzie pytania czysto formalne, których rozstrzyganie wszyscy jednomyślnie powierzają sędziom koronnym bez udziału przysięgłych, ale to nie są kwestye prawa w tém znaczeniu, jak je rozumié podział francuski, są to drobne, często bardzo słuszne formalności, które prawo określa i które mogą być rozstrzygane tylko przez specyalistów prawników, kwestye czysto proceduralne, tyczące się strony, że tak powiem, zewnętrznéj, formalnéj, nie mające bezpośredniego związku z treścią sprawy, nie należące do prawnéj, ani do faktycznéj strony. W takich kwestyach powinni decydować sędziowie koronni, ale nie widzę przyczyny, dla któréj wszystkie inne nie miałyby być oddane do rozstrzygnięcia przysięgłym. Byłoby daleko prościéj i logiczniéj, zamiast mydlić oczy przysięgłym setką różnorodnych pytań o niezrozumiałych subtelnych odcieniach, dać im możność wytworzenia sobie całokształtu pojęcia o sprawie i odpowiedzenia krótko a węzłowato: „winien” lub „nie winien”. Za podstawę werdyktu przysięgli mogliby wziąć akt oskarżenia i wyrzec, czy oskarżony jest winien tego, o co go oskarżają, czy téż może jest winien czego innego. Obok odpowiedzi „winien” lub „nie winien”, przysięgli powinni miéć prawo wyrokowania całemi zdaniami: „winien, że... i t. d.” Uniknęłoby się przez to masy nieporozumień i trudności, a że taki werdykt nie wpłynąłby ujemnie na określenie kary, zobaczymy poniżéj.

11. Ze sposobem stawiania pytań i redagowania werdyktu nierozłącznie wiążą się kwestye, czy i w jakim stopniu przysięgli mają przyjmować udział w określaniu kary i czy wogóle kwestya kary ma być poruszana wobec przysięgłych przed wygłoszeniem przez nich werdyktu.

Trzeba przedewszystkiém odpowiedziéć na ostatnie pytanie: czy kwestya kary ma być poruszaną wobec przysięgłych przed wygłoszeniem werdyktu. Zdawałoby się, że może być jedna tylko odpowiedź: tak. A jednak prawie wszystkie prawodawstwa zabraniają stronom

i prezesowi nawet wspominać o karze podczas debatów i zakaz ten do ostatnich czasów był tak stanowczym, że przekroczenie go pociągało za sobą bezwarunkową kasacyę wyroku. Prawodawstwa wychodzą z téj zasady, że gdyby pozwolić stronom mówić o karze, to niejeden obrońca starałby się wzruszyć niedoświadczonych przysięgłych, malując przed ich oczami przesadzone obrazy o strasznych cierpieniach, jakie czekają podsądnego w razie skazującego wyroku, o zimném ostrzu gilotyny lub zimniejszych jeszcze przestrzeniach Syberyi, o ciężkiéj pracy w kopalniach rtęci, zatruwającéj organizm i wyniszczającéj siły, o samobójstwach i obłąkaniach w więzieniu i t. p. i t. p. I wtedy przysięgli wobec całéj grozy przyszłego położenia nieszczęsnego, mogliby się zawahać przed skazaniem nawet zdeklarowanego przestępcy, mogliby uznać, że kara jest za surową i uchylić ją przez werdykt uniewinniający. „A i tak mamy zadużo uniewinnień!" — wołają zwolennicy téj zasady, nie spostrzegając jednak, że walczą bronią obosieczną, która coraz bardziéj zaczyna się zwracać przeciwko nim. Ukrywanie przed przysięgłymi kary, jaka grozi podsądnemu, nietylko nie zmniejsza liczby wyroków uniewinniających, ale może ją nawet powiększyć. „Praktyka — mówi Koni—wskazuje wypadki, kiedy podsądny, oskarżony o spełnienie przestępstwa, niezbyt zwykłego, chociaż pociągającego za sobą bardzo niewielką karę, pomimo wyraźnych dowodów i nawet własnego przyznania się do winy, ze źdźiwieniem wysłuchiwał wyroku uniewinniającego, opartego jedynie na mylném przekonaniu przysięgłych, że za dany czyn, zamiast umiarkowanéj kary poprawczéj, grozi ciężka kara główna, przekonaniu, którego przewidzieć i uprzedzić nie mógł nawet prezes, również pozbawiony prawa mówienia o karze... W zwykłych sprawach przysięgli dowiedzą się o karze na samym początku sesyi, po wysłuchaniu paru wyroków, a w sprawach względnie rzadkich zostają wprowadzeni w błąd albo przez niespodziane i nieokréślone uwagi stron o „tundrach północy", „lodowéj nocy syberyjskiéj", „długoletnich ciężkich robotach" i t. p. — uwagi, chowane na sam koniec, przyczém, w razie przerwania mowy przez prezesa, mówca odpowiada: „skończyłem", — albo też przez mylne wskazówki samozwańczych znawców kodeksu, należących wypadkiem do kompletu przysięgłych" [1]).

Czy nie byłoby daleko słuszniéj otwarcie powiedzieć przysięgłym, jaka kara grozi oskarżonemu? Niepewność co do kary nie powstrzymywałaby ich od wydawania wyroków skazujących, a z drugiéj strony w sprawach, gdzie grozi większa kara, przysięgli wobec niéj staranniéj-

---

[1]) Koni, *loc. cit.*. str. 38 i 39.

by słuchali debatów, więcéj, niż zwykle, skupialiby uwagę; ci nawet, którzy przeciętnie mogliby lekkomyślnie zapatrywać się na swoje obowiązki, wobec grozy cięższéj kary poważniéjby się brali do rzeczy. Sędziowie koronni i przysięgli powinni wszelkiemi siłami dopomagać sobie wzajemnie, współdziałać w trudnéj pracy wykrycia prawdy, a każde współdziałanie ogromnie się utrudnia, jeżeli jeden z współdziałających musi coś ukrywać przed drugim. „Czy można—zapytuje Łozina-Łozinskij — wymagać od przysięgłych zupełnie szczeréj odpowiedzi na pytanie, czy ukarać człowieka, ukrywając przed nimi, jaka kara mu grozi, t. j. dowodząc względem nich braku szczerości?... Sumienie przysięgłych nie godzi się z tém niedomówieniem; szukają oni odpowiedzi na pytanie o wielkości kary i czasem znajdują tę odpowiedź pomiędzy sobą, czasem biorą ją z poprzednich wyroków, czasem formują sobie o niéj przesadzone pojęcie, ale w znacznéj większości wypadków boją się jéj, jak czegoś nieznanego, tajemniczego. Zagadka — to najgorszy przewodnik przy wymierzaniu sprawiedliwości" [1]. To téż i teorya i praktyka przechylają się powoli na stronę, przeciwną dotychczasowym poglądom: wskazywanie przysięgłym kary, jaka grozi oskarżonemu, zostało obecnie prawie jednomyślnie uznaném za słuszne. Ogólne zebranie starszych prezesów i prokuratorów izb sądowych rosyjskich z d. 29—31 grudnia st. st. 1894 r. dziewiętnastu głosami przeciwko jednemu wyrzekło, iż należy pozwolić stronom i prezesowi mówić przysięgłym o karze [2]. Komisya do przejrzenia ustaw sądowych przyjęła tę zasadę jednomyślnie [3].

12. Na pytanie, czy przysięgli mają przyjmować udział w określaniu kary, de la Grasserie nietylko odpowiada twierdząco, ale nawet pragnie powierzyć to określanie wyłącznie przysięgłym bez udziału sędziów koronnych. „Dlaczego — zapytuje on — przysięgli, którzy mogą wyrzec, że oskarżony jest winnym, że wina jego jest ciężką, lekką, lub bardzo lekką, nie mogliby określić stopnia wielkości téj winy?" [4]. Przysięgli, którym prawo pozwala, oprócz uznania samego faktu winy, wskazywać także okoliczności łagodzące i obciążające, powinni, według zdania autora, ściśle określić stopień winy oskarżonego i zastosować odpowiednią karę. Ale skąd przysięgli mają brać skalę do mierzenia, jaka kara odpowiada danemu stopniowi winy? Można i nawet

---

[1] M. Łozina-Łozinskij. „*Reforma suda prisiażnych*". „*Żurn. Min. Just.*", październik, 1896, str. 109 i 110.

[2] Koni, *loc. cit.*, str. 54.

[3] Miklaszewski, *loc. cit.*, Nr. 31, str. 498.

[4] „*Revue*", str. 646.

trzeba określić podług głosu sumienia, czy oskarżony jest winien, czy nie, ale co do wymiaru kary sąd musi koniecznie trzymać się zasad kodeksu. W przeciwnym razie za spełnienie tego samego przestępstwa jeden oskarżony mógłby być skazany na śmierć, a inny na zapłacenie rubla kary! A przecie przysięgli kodeksu nie znają. Niewiele im pomoże wskazanie kary podczas debatów, bo jeżeli przysięgli odrzucą ten lub inny szczegół w całokształcie spełnionego czynu, kara może się bardzo zmienić. Inna kara grozi za zabójstwo obmyślane i nieobmyślane, za kradzież z włamaniem i bez włamania, za podpalenie domu mieszkalnego i niemieszkalnego, za zadanie rany ciężkiéj i lekkiéj. Dopiéro po wygłoszeniu werdyktu można wskazać normalną karę, jaką prawo stanowi za dany czyn, a zrobić to może tylko sąd koronny, jako znający się na przepisach kodeksu. A kiedy sąd koronny określi już normalną karę, przysięgli powinni miéć prawo wyrzec, czy uznają tę karę za słuszną, czy téż nie. Jeżeliby przysięgli uznali, że kara, określona przed sąd, jest zbyt małą, to sąd wskazałby im oznaczone przez dany artykuł kodeksu *maximum* kary, i w granicach tego *maximum* przysięgli określiliby ostateczną karę. W razie zaś uznania kary za zbyt surową, co zdarzałoby się bez porównania częściéj, przysięgli mieliby również prawo zmniejszać karę w granicach prawnych, a w razie, gdyby *minimum* wydało się im jeszcze zbyt surowém, podać wyrok do łaski monarszéj. Projekt ten, podany przez Łozina-Łozinskiego [1]), bardziéj, niż wszystkie inne, trafia mi do przekonania. Przy takim systemie przysięgli, wydając werdykt, nie będą się krępowali wielkością kary, ponieważ będą mogli zmniejszać ją lub powiększać dowolnie. Uniknie się kolizyi pomiędzy sądem koronnym i przysięgłymi, kolizyi, zdarzającéj się bardzo często w takich wypadkach, kiedy np. przysięgli uznają, że wina oskarżonego jest lekką, a sąd zastosuje karę zbliżoną do *maximum*, lub odwrotnie. Uniknie się zupełnéj samowoli przysięgłych, jakaby panowała, gdyby tylko oni określali karę, ponieważ sąd koronny będzie się zawsze trzymał w granicach kodeksu. Uniknie się demoralizacyi, jaką rozsiewają wyroki, uniewinniające zdeklarowanych przestępców dlatego jedynie, że przysięgli obawiali się narazić oskarżonych na zbyt surową karę. Z przysięgłych zostanie zdjęty „ciężar, który każe im poświęcać sprawiedliwość w imię miłosierdzia" [2]). Nie należy zapominać, że z punktu widzenia polityki kryminalnéj da-

---

[1]) *loc. cit.*, str. 112. Autor proponuje dać przysięgłym tylko możność zmniejszania kary. Zdaje mi się, że w niektórych, rzadkich zresztą, wypadkach należałoby im pozwolić na powiększenie kary do prawnego *maximum*.

[2]) Łozina-Łozinskij, *loc. cit.*, str. 112.

leko ważniejszém jest **s k a z a n i e** przestępcy, niż **z a d a n i e m u c i e r p i e ń** przez karę. Celem sądownictwa kryminalnego jest wykrycie i potępienie jaknajwiększéj ilości przestępców, nie zaś surowe ich ukaranie. Lepiéj ukarać słabo wszystkich, którzy na to zasługują, niż zastosować surowe kary do niewielu, a innych puścić bezkarnie. Idzie przedewszystkiém o to, żeby każdy zły czyn został napiętnowany, jako taki, przez sumienie społeczne. Mniéj lub więcéj surowa kara to rzecz drugorzędna dla celów ogółu. A praktyka dowodzi, że im mniéj surowemi są kary, tém prędzéj podnosi się stan moralny społeczeństwa. „Im więcéj miłosierdzia i pobłażania dla przestępcy, tém lepiéj i dla niego i dla społeczeństwa, którego on jest członkiem—mówi Łozina-Łozinskij.—Dlatego też, jeżeliby skutkiem rozszerzenia prawa przysięgłych na złagodzenie kary było nietylko zmniejszenie ilości wyroków uniewinniających, ale i zniżenie kar wogóle, to powitalibyśmy ten skutek z radością w imię wymiaru sprawiedliwości na zasadach prawdy i miłosierdzia i z punktu widzenia rozsądnéj polityki kryminalnéj” [1]).

13. Debaty skończono, werdykt wygłoszono, karę wskazano, wyrok odczytano oskarżonemu. Zachodzi pytanie, czy wyrok ten ma być prawomocnym? Podług zasady przyjętéj na całym świecie przez praktykę i teoryę, wyrok sądu przysięgłych staje się prawomocnym z chwilą odczytania go podsądnemu i nie ulega zaskarżeniu w drodze apelacyi. Można go uchylić w drodze kasacyi, jeżeli sąd kasacyjny uzna, że zostało pogwałconém prawo, albo ważna forma procedury. Uchylony wyrok uważanym jest za niebyły, nowy komplet sądu przysięgłych rozpatruje sprawę od początku. Przepis taki jest koniecznym dlatego, że mogą się zdarzyć wypadki, kiedy, nie mówiąc już o wyraźném pogwałceniu prawa, nawet niezachowanie formalności proceduralnéj może wywrzéć tak stanowczy wpływ na przebieg sprawy, że bez tego wyrok byłby zupełnie innym. Naprzykład, badano świadków bez przysięgi, albo nie zawiadomiono obrońcy oskarżonego o terminie sprawy, albo nie przyjęto od oskarżonego dokumentu, stwierdzającego ważne dla sprawy fakty. W takich razach wyrok musi być uchylonym, sprawiedliwość wymaga żeby sąd powtórnie rozpatrywał sprawę. Niestety, słuszny ten przepis prawa dał powód do ogromnéj ilości nadużyć: niejeden oskarżony podaje skargę kasacyjną dlatego jedynie, że spodziéwa się łagodniejszego wyroku przy powtórném sądzeniu, a czasem idzie mu tylko o odroczenie terminu kary. Kasowanie wyroków stało się w ostatnich czasach bardzo częstém, dzięki mnóstwu formalności, jakiemi jest najeżona dzisiejsza procedura. Wpływa to ujemnie na wy-

---

[1]) Łozina-Łozinskij, *loc. cit.*, str. 115.

miar sprawiedliwości, społeczeństwo traci zaufanie do sądu, którego wyroki często zostają uchylane; przestępca przestaje obawiać się kary, wiedząc, że dzięki kasacyi będzie mógł na długi przeciąg czasu odroczyć jéj wykonanie; obrońcy, widząc że sprawa przyjmuje zły obrót, starają się umyślnie o niezachowanie formalności, ażeby późniéj miéć powód do kasacyi; sami nawet przysięgli mniéj starannie spełniają swe obowiązki, nie będąc pewni, czy wyrok ich uzyska moc obowiązującą. To téż w najnowszéj teoryi wyraźnie daje się spostrzedz dążenie do pewnego ograniczenia kasacyi. De la Grasserie proponuje cały szereg zmian, mających na celu zmniejszenie ilości wyroków kasowanych. Przedewszystkiém proponuje on szczegółowe określenie przez prawo, jakie formalności są tak ważne, że niezachowanie ich pociąga za sobą kasacyę wyroku. Projekt ten jest niewykonalny z dwóch powodów: przedewszystkiém, wszelkie wyliczenie jest zawsze niezupełném, trudno przewidzieć, jaka formalność będzie w danym wypadku ważną, a jaka nie, a powtóre, gdyby prawo wyrzekło, że niezachowanie pewnych formalności nie może pociągać kasacyi wyroku, to tém samém upoważniłoby sąd i strony do niezachowywania ich wcale: formalności są zwykle uciążliwemi, wymagają pracy i straty czasu,—jeżeli można się ich pozbyć, tém lepiéj, a przecie prawo nie na to ustanawia formalności, żeby je można było omijać. Każda forma kryje w sobie jakąś treść, niezachowanie jéj może źle wpłynąć na przebieg sprawy. A jeżeli bez danéj formalności może się obejść, to czy nie lepiéj odrzucić ją zupełnie?

Daléj autor radzi, żeby prezes sam poprawiał te błędy, które zostaną zauważone podczas debatów. Uwaga to zupełnie słuszna, ale nie rozwiązująca kwestyi. Prezesi w obecnych sądach także poprawiają zauważone niedokładności, ale to nie przeszkadza bynajmniéj oskarżycielowi lub oskarżonemu żądać kasacyi na zasadzie takich błędów prawnych lub proceduralnych, o których nie było nawet mowy podczas debatów.

Następnie, ażeby zmniejszyć ilość skarg kasacyjnych, uniknąć zwłoki i przeciągania spraw, nadać wyrokom moc więcéj bezwzględnie obowiązującą, autor proponuje... wprowadzić do sądów przysięgłych apelacyę (!). I we Francyi i w Rosyi, w razie werdyktu skazującego, sędziowie koronni, jeśli mniemają, że oskarżony jest stanowczo niewinnym, mają prawo odesłać sprawę do innego kompletu przysięgłych, — wyrok powtórny ma już moc obowiązującą. Otóż de la Grasserie nietylko radzi to prawo sądu odsyłania do innego kompletu rozszerzyć i na wypadek werdyktu uniewinniającego, jeżeli sąd koronny uzna, że oskarżony jest winnym, lecz nawet chciałby prawo takiego odsyłania

dać stronom w drodze zwykłéj skargi apelacyjnéj. Główną zasadą apelacyi w sądach koronnych jest to, że w wyższéj instancyi sądzą urzędnicy starsi, poważniejsi, lepiéj znający się na rzeczy, mogący poprawić błędy, popełnione przez mniéj doświadczonych sędziów niższéj instancyi. Autor uznaje tę zasadę i widzi doskonale, że w sądzie przysięgłych traci ona zastosowanie: drugi komplet przysięgłych pod żadnym względem nie przewyższa pierwszego i niema zasady uchylania wyroków, wydanych przez pierwszy. Ażeby się uchronić od tego zarzutu, proponuje on system następujący. Od pierwszego wyroku prezes i strony mieliby prawo założyć apelacyę do innego składu sądu przysięgłych, z tym jednak warunkiem, że w razie wyroku skazującego, oskarżony mógłby żądać tylko zupełnego uniewinnienia, a nie złagodzenia kary, z wyjątkiem wyroków, skazujących na śmierć lub na dożywotnie ciężkie roboty. Jeżeliby drugi komplet wydał wyrok zgodny z pierwszym, wyrok taki byłby ostatecznym i nie mógłby być uchylonym nawet w drodze kasacyi. W razie zaś niezgodności drugiego wyroku z pierwszym, sprawę rozstrzygałby ostatecznie trzeci komplet sądu przysięgłych. Widzimy więc, że projektowany system jest bez porównania więcéj skomplikowanym niż dzisiejszy, jedna i ta sama sprawa przechodziłaby przez kilka sądów, bo nic przecie nie powstrzymywałoby skazanego od apelacyi. A nuż drugi komplet uniewinni! Autor spostrzega tę słabą stronę i, ażeby usunąć lekkomyślne, nieuzasadnione apelacye, radzi powiększać o jedną czwartą termin kary dla tych, którzy podadzą apelacyę i zostaną skazani wyrokiem drugiego sądu. Sprawdza się tu przysłowie, że lepsze jest nieprzyjacielem dobrego — kto chce się poprawić, ten zawsze brnie jeszcze daléj: autor daje skazanemu prawo apelacyi i za skorzystanie z tego prawa grozi ciężkiemi karami! Skazany na 20 lat ciężkich robót za zbrodnię podania apelacyi zostałby skazany jeszcze na pięć lat! Skazany wyrokiem pierwszego sądu, który, uważając się za niewinnego, chce korzystać z prawnéj drogi ratunku, miałby za to być karany cięźéj, niż za sfałszowanie podpisu lub kradzież z włamaniem!

Już same te warunki, jakiemi autor próbuje obstawić prawo podawania apelacyi, wyraźnie przemawiają przeciwko projektowi. Dziś, kiedy cały świat dąży do możliwego skrócenia procedury i ułatwienia wymiaru sprawiedliwości, wprowadzenie do sądu przysięgłych apelacyi, powodującéj zwłokę i komplikującéj postępowanie sądowe, musiałoby doprowadzić do ruiny całą instytucyę przysięgłych. A przecie autor radzi wprowadzić apelacyę dlatego właśnie, żeby uniknąć zwłoki, powodowanéj przez uchylanie wyroków w drodze kasacyi!

14. Ostatni projekt, któremu de la Grasserie poświęca najwięcéj miejsca i zapału, ma na celu rozszerzenie kompetencyi sądu przysięglych. Że sądowi temu należy oddać wszystkie sprawy kryminalne z wyjątkiem czysto formalnych wykroczeń policyjnych, to zdaje się, nie ulega kwestyi. Mówiliśmy o tém powyżéj. Ale autor chciałby powierzyć przysięgłym rozstrzyganie wszystkich spraw, nietylko kryminalnych, lecz także administracyjnych i cywilnych. Nie miejsce tu dowodzić, że sądownictwo administracyjne i cywilne niczém się nie różnią od siebie, że podział ten jest sztuczny, wytworzony dopiéro w bieżącém stuleciu przez francuską władzę wykonawczą, która czuła się zbyt potężną, ażeby módz stawać narówni ze zwykłymi śmiertelnikami przed sądem cywilnym. Starałem się dowiéść tego obszernie w innem miejscu. Wspominam o tém jedynie dlatego, ażeby módz nie mówić osobno o sądownictwie administracyjném i odpowiedziéć tylko na pytanie, czy przysięgłym należy powierzyć rozstrzyganie spraw cywilnych. Co powiem tu o sądownictwie cywilném, to samo da się całkowicie zastosować i do administracyjnego.

Chociaż sądownictwo cywilne i kryminalne mają na celu jedno i to samo — wymiar sprawiedliwości, chociaż i jedno i drugie w teraźniejszych czasach jest w znacznéj części powierzone jednym organom sądowym, chociaż procedura cywilna ma wiele wspólnych cech z kryminalną, to jednak zachodzi pomiędzy niemi zasadnicza różnica. Sądownictwo cywilne ma na celu załagodzenie kolizyi pomiędzy jednostkami, sąd zaczyna działać wtedy dopiéro, kiedy się wszczął spór, kiedy do jednego prawa roszczą pretensyę dwie osoby, kiedy jednostka nie otrzymuje od innéj tego, co jéj się z prawa należy. W sprawie cywilnéj przed sądem stają dwie strony i każda z nich dowodzi swoich praw; czyje dowody są lepsze, czyje położenie więcéj odpowiada przepisom kodeksu, ten wygrywa. I choćby sędziowie byli najmocniéj przekonani, że np. weksel został oddawna zapłacony, jeżeli wierzyciel podaje weksel do sądu, a wystawca nie zaprzecza długu, sąd musi nakazać uiszczenie waluty. W sądownictwie cywilném prawda formalna ma i musi mieć przewagę nad materyalną. Zadanie sędziego polega na zbadaniu argumentów stron, na ocenieniu siły dowodowéj aktów, na określeniu, czy dokumenty odpowiadają przepisanéj przez prawo formie, czy dane wyrażenie w akcie odpowiada danemu wyrażeniu w kodeksie. W sądzie kryminalnym przed sędziami staje dusza ludzka, badanie odtwarza żywy czyn żywego człowieka, sędziowie porównywają nie martwe litery, lecz czyny danéj jednostki z czynami innych ludzi. Społeczeństwo żąda od sądu kryminalnego nie wyliczenia, czyje dowody przeważają, lecz oceny postępków podsądnego, uznania czynu za godny

uczciwego człowieka, lub napiętnowania go, jako zły i szkodliwy. Tutaj w grę wchodzą nie cyfry, nie forma aktu, nie formułki prawne, lecz samo życie danego osobnika, jego charakter, pokusy, na jakie wystawił go kaprys losu, i czyn, jako odźwierciadlenie tego wszystkiego. Prawo cywilne — to matematyka, prawo kryminalne — to psychologia. Na to, żeby być dobrym psychologiem, trzeba tylko znać życie, rozumiéć, jakie pobudki pchają ludzi do czynu, odczuwać cudze uczucia i cierpienia. Żeby być dobrym matematykiem, trzeba przedewszystkiém poznać zasady matematyki, zyskać wprawę w używaniu cyfr i znaków, umiéć wykonywać zawiłe działania. Od psychologa-kryminalisty żądamy serca i znajomości ludzi, od matematyka-cywilisty — wyrobionego umysłu i znajomości prawa. Przysięgli, jako sędziowie niefachowcy, mogą określić wartość danego czynu, pobudki, jakie kierowały podsądnym, mogą wyrzec swoje przekonanie o tém, czy oskarżony spełnił przestępstwo, — i zrobią to lepiéj, niż sędziowie koronni; ale na to, żeby wykonać matematyczne działanie nad artykułami kodeksu cywilnego, niezbędni są wykwalifikowani i rutynowani prawnicy. Chcąc oddać sprawy cywilne sądom przysięgłych, trzebaby przedtém nauczyć przysięgłych prawa cywilnego ze wszystkiemi jego zawiłościami. De la Grasserie czuje, że zwykli przysięgli nie podołaliby tu swoim obowiązkom i radzi wybiérać do sądów cywilnych — tylko tych przysięgłych, którzy otrzymali wykształcenie średnie, przyczém w zakładach naukowych średnich należałoby wprowadzić obowiązkowy wykład początków prawa. Ponieważ i takie elementarne wykształcenie prawne nie wystarczałoby jeszcze do rozstrzygania zawiłych kwestyi prawa cywilnego, autor proponuje drobną zmianę: tylko doprowadzić prawo do większéj prostoty [1]) i nic więcéj! A zatém projektowany „sąd przysięgłych” składałby się tylko z wykształconych prawników i jeszcze dla nich trzebaby zmieniać prawo obowiązujące. *Sic!*

Ażeby lepiéj poprzéć swoją kruchą argumentacyę, autor powołuje się na to, że już w Rzymie istniały sądy przysięgłych do spraw cywilnych i nietylko funkcyonowały dobrze, ale nawet bardzo się przyczyniły do rozwoju prawa cywilnego. Argument ten byłby poważnym, gdyby nie to, że sądy cywilne rzymskie nie miały, niestety, nic wspólnego z sądem przysięgłych. Autor sam tak opisuje skład sądu rzymskiego: „Każdy powinien był sam sobie obrać sędziego. Wymagane były tylko dwa warunki, żeby sędzia wybrany został przyjęty przez stronę przeciwną i żeby był zdolny do pełnienia tych obowiązków; jeżeli strony

[1]) „*Revue*“, str. 717.

nie mogły się zgodzić na jednych i tych samych sędziów, to po pewnéj ilości prób, albo ten, kto odmawiał bez powodu, był uważany za niema jącego słuszności, albo téż ciągnięto losy... Co rok układano listę obywateli, z których strony mogły wybiérać sędziów, każdy miał jednak prawo wybrać sędziego i po za listą" [1]). A więc były to zwyczajne sądy polubowne, ogólnie znane, ale nie roszczące nawet pretensyi do nazwy sądów przysięgłych. Sądy te miały jedyną wspólną cechę z dzisiejszemi sądami przysięgłych, mianowicie podział na kwestyę faktu i prawa — sędziowie wybrani rozstrzygali kwestye faktu, o stronie prawnéj decydował pretor. A przecie autor sam poprzednio dowodził, że podział ten nie ma racyi bytu.

Również nie wytrzymuje krytyki i powoływanie się autora na to, że we Francyi istnieje już rodzaj sądu przysięgłych do spraw administracyjnych: mianowicie w kwestyi wywłaszczenia decyduje tak zwane *jury d'expropriation*, złożone z dwunastu właścicieli ziemskich pod przewodnictwem sędziego pokoju lub członka trybunału cywilnego. Członków tego *jury* wybiéra trybunał cywilny, z listy ułożonéj przez radę generalną. Tak utworzone *jury* orzeka bez apelacyi, czy dane grunta mają uledz wywłaszczeniu i jaką cenę należy za nie zapłacić. Widzimy, że to *jury* jest tylko najzwyczajniejszą komisyą z obywateli danéj miejscowości, którzy, znając miejscowe warunki i ceny ziemi, najlepiéj mogą decydować w kwestyi wywłaszczenia. Z sądem przysięgłych to *jury* ma tylko wspólną nazwę.

Co się zaś tyczy istnienia sądów przysięgłych do spraw cywilnych w Anglii, to przedewszystkiém i tam oddawna już daje się spostrzedz wyraźna tendencya do ograniczenia udziału przysięgłych w sprawach cywilnych: w razie żądania któréjkolwiek ze stron, sprawę rozstrzyga sąd koronny bez udziału przysięgłych; a powtóre, sam fakt istnienia danéj instytucyi w jednym kraju wcale jeszcze nie dowodzi potrzeby wprowadzenia jéj w innych, szczególniéj wobec całego szeregu przeciwnych argumentów.

15. Oprócz wymienionych powyżéj, de la Grasserie podaje cały szereg innych projektów, tyczących się rozmaitych dziedzin prawa. Projektuje on zupełny rozdział pomiędzy sądownictwem cywilném i kryminalném, zniesienie prawa władzy najwyższéj na ułaskawienie przestępców, usunięcie wielu formalności z procedury, niektóre zmiany w sposobie robienia ekspertyz lekarskich nad podsądnymi zdradzającymi pewne objawy obłędu, proponuje nawet pewne zmiany w zakresie

---

[1]) „*Revue*", str. 500.

szkolnictwa i t. p. Wszystkie te projekty, z których bardzo wiele jest słusznych, nie mają bezpośredniego związku z sądem przysięgłych.

Streszczając w paru słowach to, cośmy dotychczas powiedzieli, możemy postawić następujące tezy:

1) Sąd przysięgłych jest najlepszym ze znanych obecnie rodzai sądów kryminalnych.

2) Należy mu powierzyć tylko sprawy kryminalne i przytém wszystkie, z wyjątkiem czysto formalnych wykroczeń policyjnych.

3) Sąd przysięgłych w téj formie, w jakiéj istnieje w Rosyi, w zasadzie odpowiada wymaganiom teoryi.

4) Byłoby pożądaném wprowadzić doń niektóre zmiany w szczegółach, a mianowicie: rekrutować przysięgłych za pomocą wyborów; dać przysięgłym, nie mieszkającym w tém mieście, gdzie się odbywa sąd, mieszkanie i utrzymanie, na koszt rządu lub oskarżonego, przez cały czas trwania sesyi; do niektórych spraw wprowadzić specyalnych przysięgłych; usunąć dwóch członków sądu, zasiadających obok prezesa, a w sprawach z akcyą cywilną dołączyć do prezesa dwóch członków sądu cywilistów z głosem decydującym w kwestyach z prawa cywilnego; powierzyć oddawanie pod sąd specyalnemu *jury* oskarżenia, któreby samo określało karę w niektórych wypadkach przyznania się podsądnego do winy; nie stawiać przysięgłym osobnych pytań, lecz pozostawić im prawo wyrokowania całemi zdaniami na zasadzie aktu oskarżenia; znieść zakaz wskazywania przysięgłym kary podczas debatów; pozwolić przysięgłym zmniejszać lub powiększać normalną karę, określoną przez sąd koronny na zasadzie ich werdyktu, a w razach wyjątkowych projektować zupełne lub częściowe ułaskawienie skazanego.

Aleksander Mogilnicki.

Z literatury filozoficznéj amerykańskiéj.[1]

Ktokolwiek przybywa do Stanów Zjednoczonych z Europy, spostrzega natychmiast pewną różnicę w życiu umysłowém i typie myślenia tych warstw, które zwykle zaliczamy do inteligencyi. Różnica ta, jak pokazuje bliższa obserwacya, polega na stosunkowo rozległym wpływie religii i bardzo ograniczonéj, rzec można, prawie żadnéj roli filozofii w wytwarzaniu poglądu na świat i zasad postępowania.

Przeciętny amerykanin inteligentny zadawalnia zwykle potrzeby w tych dwóch kierunkach przy pomocy presbyteryaństwa, metodyzmu, baptyzmu, kongregacyonalizmu, lub innego, z pomiędzy niezliczonych wyznań protestanckich, których cechą zasadniczą jest to, iż nie oddzielają zupełnie starego testamentu od nowego, uważając oba za jedną nierozerwalną i harmonizującą z sobą całość, wskutek czego wysoka i czysta etyka chrześciańs̈twa zostaje nieco skażona przez domieszkę pojęć starohebrajskich, wytwarzając niekiedy takie dziwolągi, jak wielożeństwo Mormonów, prześladowanie

---

[1] Przy układaniu niniejszego przeglądu posługiwaliśmy się cennemi wskazówkami, zawartemi w artykule Josiah Royce, p. t. „*Systematic Phylosophy in America during 1894, 1895 and 1896*“, umieszczonym w „*Archiv für Philosophie*“, 1897 r., t. 22.

najniewinniejszych zabaw, np. gry w piłkę w niedzielę (którą tu nazywają „*sabbathem*") i t. p. Ci, którzy doreśli do potrzeby jakiéjś filozofii niezależnéj i mają ją do użytku swego, należą do rzadkich stosunkowo wyjątków, a filozofii katedr naukowych i do dziś dnia daleko do tego, żeby była wolną od wpływów protestancko-purytańskich. Ten to typ umysłowości amerykańskiéj, obok wybujałego industryalizmu, mówiąc nawiasem, czynił kraj ten tak mało sympatycznym dla natur artystycznych, dla duchów wolnych, jak John Ruskin lub William Morris.

Ostatnie dwa lat dziesiątki zaprowadziły wszakże pod tym względem znaczne zmiany. Ogół czytający wprawdzie również mało, jak i przedtém, potrzebuje filozofii: za dowód tego służy zupełny niemal brak popularniejszych wydawnictw peryodycznych filozoficznych i brak artykułów filozoficznych w czasopismach ogólnéj treści. Wiele natomiast uzyskano pod względem wolności słowa na katedrach filozoficznych i wyzwolenia ich z pod wpływu teologii, z którą uprzednio były często połączone w osobie jednego profesora.

Walka o wolność myśli filozoficznéj w téj sferze nie była hałaśliwa i skończyła się zwycięstwem filozofii, a trzeba oddać pod tym względem słuszność protestantyzmowi amerykańskiemu, że chociaż pragnie, o ile może, wycisnąć swoje piętno w zakresie życia praktycznego, nie krępuje wszakże myśli teoretycznéj i — dziś przynajmniéj — z milczącym szacunkiem ustępuje miejsca uczonym w decydowaniu o rzeczach naukowych, a nawet sam zapożycza się od nich. Nierzadko słyszymy w kościołach — zwłaszcza bliżéj ku zachodowi — mowę o ewolucyonizmie i wprowadzanie jego zasad do pojęć religijnych lub o zastosowaniu zasad kantyzmu do teologii; w wykładach teologii i krytyki biblijnéj profesorowie starają się pogodzić stanowisko swoje z najnowszemi wymaganiami wiedzy i t. p.

Dzięki téj taktowności, walka, o któréj wspominałem, nie przybrała tu charakteru hałaśliwego i publicznego, jaki miały wystąpienia materyalizmu wobec religii w Niemczech na początku drugiéj połowy bieżącego stulecia. Prawo swobody przekonań filozoficznych zostało uznane po krótkim, gdzieniegdzie może zaciętym oporze, który wszakże nie wykroczył po za ściany zakładów naukowych, a dziś, pomimo przeważnie religijnego tonu życia i charakteru uniwersytetów, nikt nie myśli o wykluczaniu Darwinów lub Millów, Lewisów lub Spencerów i t. p. pisarzy z czytelni publicz-

nych, ani téż darwinizmu, ewolucyonizmu lub pozytywizmu z przedmiotów wykładów naukowych.

Ważnym czynnikiem w tém przeobrażeniu był rozwój wielu dawnych kolegiów, t. j. zakładów naukowych wyższych, obejmujących tylko jeden, dwa lub trzy wydziały o kierunku praktycznym (przeważnie prawo, medycynę, teologię), lub téż nawpół średnich szkół ogólnie kształcących (*undergraduate schools*) w uniwersytety, obejmujące *quadrivium* europejskie, a więc wciągające w swój zakres filologię, historyę, filozofię i wiedzę przyrodniczą.

Umiejętności te, o interesie przeważnie teoretycznym, prawdziwe „*humaniora*", budzą zamiłowanie do badań, nie mających na celu innych widoków prócz poznania prawdy, i stopniowo wyrabiają potrzebę harmonii i jedności w poglądzie na świat, z któréj wykwita filozofia. Owoce wszakże tego rozwoju wyższych zakładów naukowych należą do przyszłości; dziś bowiem, jak to nadmieniłem, dają się dostrzedz tylko w jednostkach wyjątkowych: ogólny typ całego życia amerykańskiego i charakter umysłu yankesa zostają w rażącéj sprzeczności z każdém badaniem teoretyczném; uderza to przybysza odrazu w odpowiedziach i zwrotach praktycznych, które nadaje Amerykanin jego płynącym z ciekawości zapytaniom czysto teoretycznego charakteru. Pytacie się o jakąś miejscowość— odpowiadają wam jak się do niéj dostać; o jakiś przedmiot użytku— słyszycie zapytanie wzajemne: czy pan chce kupić, czy sprzedać; o gmach lub inny okaz sztuki — odpowiadają wam, ile kosztował. Umysł Amerykanina jest wogóle przeciwnym biegunem owego Hellena starożytnego, który szczyt rozwoju duchowości widział w podziwianiu harmonii przyrody i badaniu jéj tajemnic.

Obok tych wpływów ogólnéj natury, jakie wynikły ze zdobycia niezależności myśli filozoficznéj i wzrostu wykształcenia teoretycznego, na rozwój dziziejszéj filozofii amerykańskiéj oddziaływały téż bezpośrednie wpływy literatury angielskiéj i niemieckiéj.

Z pierwszéj najbardziéj popularnym tu kierunkiem jest ewolucyonizm i to — jak wogóle w krajach o słabym rozwoju myśli filozoficznéj — w formie raczéj spencerowskiéj, niż ściśle filozoficznéj. Spencer jest dosyć czytywany i cytowany, jako powaga w literaturze amerykańskiéj: „Amerykanie byliby się bardzo zdziwili, pisze jeden z profesorów uniwersytetu chicagoskiego [1]), gdyby dowiedzieli się, jaką znikającą wielkością stał się dziś Spencer w Anglii."

[1]) Zuebelin w „*Journal of Sociology*", 1897.

Z wpływów niemieckich najmocniéj odbił się hegelianizm. Amerykanie odrzucili Hegla — dogmatyka, budującego systemat, ale przyjęli jego krytycyzm, jego pracę analityczną, gotującą materyał do syntezy.

Zupełny brak przedstawicieli nowokantyzmu w filozofii amerykańskiéj jest bardzo zrozumiały. Kierunek ten wymaga subtelnego wyrobienia myśli, na które nie było jeszcze czasu w tym kraju, zaczynającym dopiéro filozofować i wkraczającym na tę drożynę, którą Europa zaczęła już od dwóch dziesiątków lat opuszczać.

Z pisarzy amerykańskich w dziedzinie filozofii tylko psychologowie, jak James [1]), Ladd, znani są w Europie.

Literatura peryodyczna filozofii w Ameryce ma kilku poważnych przedstawicieli. Piewsze miejsce zajmuje wśród nich dwumiesięcznik, wychodzący przy *Cornell University* (w mieście Itaca, stanu New-York), p. t. „*Philosophical Revue*“, pod redakcyą d-ra Creighton. Jest to pismo przeważnie akademickie.

Kwartalnik „*The Monist*", wychodzący w Chicago pod redakcyą P. Carusa, reprezentuje przeważnie filozofię niemiecką i francuską i nie ma ścisłego związku z piśmiennictwem krajowém, ani téż, zdaje się, wpływu na nie. Większa część artykułów nadchodzi z Europy w obcych językach i tłómaczy się w redakcyi. Piszący więc nie zna zupełnie swoich czytelników, ani zagadnień, które ich obchodzić mogą. Poziom jego jest przystępniejszy, więcéj zbliżony do popularnego. Nie jest on w związku z żadném ciałem naukowém, będąc wydawnictwem ściśle prywatném.

Dwa czasopisma, poświęcone psychologii, umieszczają także artykuły, dotyczące teoryi poznania i inne zostające w ścisłym związku z filozofią teoretyczną; są to: „*American Journal of Psychology*", wydawnictwo *Clark University*, redaktorem jego jest prezydent tego uniwersytetu, C. Stanley Hall i „*Psychological Revue*“, wydawane przez prof. Baldwina z Princeton N. J. (jeden ze słynnych uniwersytetów) oraz prof. Cattel z *Columbia University* w N. Yorku. — Wreszcie zagadnieniom etyki poświęcony jest kwartalnik „*International Journal of Ethics*", wydawany w Filadelfii pod redakcyą główną Burnsa Westona, umieszczający także artykuły europejskich pisarzy.

---

[1]) Pisał o nim p. Wł. Dawid w „Przegl. Pedagogicznym“. Obacz także „*Année Philosophique*“ za r. 1890—7.

Pionierem wydawnictw filozoficznych niezależnych w tym kraju był „*Journal of speculativ Philosophy*", obecnie zawieszony. Prócz tego umieszczają artykuły filozoficzne pisma pedagogiczne: „*The Educational Review*" w N. Yorku pod redakcyą prof. Butlera i „*The New World*" — organ liberalnéj szkoły teologicznéj w Bostonie.

Rozejrzmy się teraz w kilku wybitniejszych dziełach z ostatnich lat kilku.

„Filozofia Umysłu" [1]) Ladd'a nie jest prostym wykładem psychologii, lecz próbą jéj filozofii. Przedewszystkiém autor ustala realność istoty umysłu *(mind)* i jéj niezależność od realności ciała, nie wpadając przytém w dawną substancyonalizacyę dualistyczną ducha i ciała.

„Istota realna" duszy objawia się nam:

1) przez jedność świadomości w każdym momencie;

2) przez trwałość pamięci i wyrażającą się w niéj metafizycznie realną tożsamość;

3) przez skuteczną samo-czynność (*effective self-activity)* istoty świadoméj.

Nie są to fakta oddzielne od procesu świadomości. *Ego* (jaźń), czyli świadomość, stanowi ową istotę realną ducha, któréj nie należy szukać po za nią. Nie należy wszakże utożsamiać owéj jaźni, czyli *ego*, z jego stanami poszczególnemi. Jedność pamięci oraz czynność dają prawo określać ducha, jako źródło owéj czynności, jako istotę trwałą w czasie, coś więcéj nad proste stawanie się lub „sposób zapatrywania się", lub wreszcie pewną grupę treści.

Ladd skłonny jest prędzéj zbliżać niż oddalać od siebie i przeciwstawiać (jak to czyni np. Wundt) substancyę materyalną od istoty rzeczywistéj duszy. Odrzucając dawne wyobrażenie o jakiémś substancyalném podścielisku (*substratum)* zjawisk duchowych, stara się Ladd tak uogólnić pojęcie rzeczywistéj istoty ducha, ażeby mogło objąć sobą również i świat zewnętrzny.

Pod względem poglądu na całość świata oraz stosunek ducha do ciała nie przyjmnje Ladd żadnego z istniejących w filozofii stanowisk. Filozofia umiejętna, zdaniem jego, musi być oparta na dualizmie, gdyż umysł jest przynajmniéj liczebnie czémś inném niż istoty fizyczne. Pogląd jego można nazwać teizmem monistycznym, który różni się bardzo od kursującego dziś monizmu *à double aspect*. Umysł jest realnością odmienną od ciała, które uważać na-

---

[1]) „*The Philosophy of Mind*".

leży raczéj za systemat realności; lecz związek ich z sobą jest dla nas stracony w niedostępnéj jego komplikacyi. Oba typy, pod którémi przedstawia nam się świat, różnią się od siebie tém, że gdy wiemy bezpośrednio przez świadomość, czém jest umysł, nic nie wiemy o wewnętrznéj istocie (*inside)* materyi.

Stosunek pomiędzy duszą a ciałem znany nam jest, jako ściśle przyczynowy w obu kierunkach; lecz jak wewnętrza istność umysłu, tak i charakter przyczynowości lepiéj znany jest nam przez samoczynny umysł, niż przez doświadczenie fizyczne. Ladd występuje przeciwko teoryi równoległości zjawisk cielesnych i duchowych z całą znajomością argumentacyi przeciwników i poddaje obszernéj i wyczerpującéj krytyce poglądy Höffdinga, dotyczące tego przedmiotu [1]). Z drugiéj strony niepodobna odrzucić wpływu warunków cielesnych na działalność umysłową; sam autor traktował ten przedmiot w innych dziełach [2]); jedyną więc teoryą, która może przezwyciężyć te trudności, jest dualizm, uznający oddzielność obu istności, lecz zarazem i skomplikowaną zależność ich przyczynową.

„Należy zauważyć, powiada Ladd, że kursujący monizm psychologiczny staje się agnostycyzmem dogmatycznym w tym punkcie, w którym prawdziwy monizm filozoficzny zaczyna ujmować termina swego zadania. Wkrótce wykażemy, iż teorya ta bezużyteczną jest dla nauki psychologicznéj w tych właśnie punktach, gdzie nauka ta najwięcéj potrzebuje pomocy, oraz że jéj metafizyka opiéra się na niedostatecznéj refleksyi. Przeciwnie, przyjęcie immanencyi umysłu absolutnego w tym świecie przyrody, do którego należą zarówno ciało, jak i dusza ludzka, jest jedynym wymagalnikiem, który może nadać trwałą podstawę całemu królestwu wiedzy psycho-fizycznéj" [3]).

W ostatnim rozdziale tego dzieła, pod charakterystycznym tytułem „Stanowisko umysłu ludzkiego w przyrodzie", czytamy:

„Istota świata, którego wszelkie poszczególne istoty są tylko częściami, powinna być tak pomyślana, aby była przyczyną wszystkich związanych wzajemną zależnością egzystencyi i czynności" [4]). Jest to „przyczyna wszechświata" (*the World-Graund*), któréj istotę,

---

[1]) *l. c.*, str. 319—333.

[2]) Zwłaszcza w „*Psycology descriptive and explanatory*", N. Y., 1894 i „*Physiological Psycology*".

[3]) *l. c.*, str. 318—319.

[4]) *l. c.*, str. 411—412.

jako umysłu i jako *ens realissimum*, obiecuje traktować w osobnym tomie [1]).

„*The First Steps in Philosophy*" Saltera poświęcona jest analizie dwóch najważniejszych pojęć z filozofii teoretycznéj i praktycznéj: pojęć materyi i obowiązku.

Co do pierwszéj, autor zachowuje stanowisko idealizmu. „Materya nie jest przyczyną naszych wrażeń, ani téż metafizycznem podścieliskiem po za niemi, lecz jest nazwą ogólną wrażeń, uważanych ze strony przedmiotowéj."

„Siła nie jest istnością tajemniczą po za zjawiskami materyalnemi, lecz jest temiż zjawiskami, rozważanemi w pewnych ich stosunkach do siebie."

„Wyjawicielem i prawdziwym nieprzyjacielem iluzyi nie jest żadna tak zwana rzeczywistość zewnętrzna i niezależna od nas, lecz samo doświadczenie."

Pozostawiając na późniéj zbadanie doktryny o rzeczywistości transcendentalnéj, bezwzględnéj, autor dodaje do tego idealizmu fizycznego czyli zmysłowego, jako współwzględnik, realizm metafizyczny, czyli nadzmysłowy, w duchu Kanta w dziedzinie praktycznéj.

Druga połowa tomu, p. t. „*Duty*" (obowiązek), roztrząsa źródło poczucia obowiązku moralnego. Obowiązek jest żądaniem samourzeczywistnienia. „Prawdziwa cnota nie jest pojedyńczym, lub specyalnym skończonym aktem, lub nawyknieniem, lecz dobrowolném naszéj istoty oddaniem się całkowitéj idei."

Salter jest także autorem dzieła, p. t. „Religia etyczna" [2]).

„*Noel Winter*" jest zdaje się tylko pseudonimem autora książeczki, pod tytułem „*Pan-Gnosticism*" [3]). Jest to raczéj zbiór aforyzmów filozoficznych dotyczących, poznawalności świata. Wyjmujemy z niego kilka myśli głównych:

„Niepoznawalność (*Inscrutability*) jest złudzeniem".

„Możliwe jest poznanie każdéj rzeczy, co do któréj możliwą jest niewiedza."

---

[1]) Inne filozoficzne i psychologiczne dzieła tego autora są: „*Psychology descriptive and explanatory*", N. Y. 1894. „*Introduction to Philosophy, being an inquiry after a rational system of scientific principles in their relation to ultimate reality*", 1891. „*Outlines of physiological Psychology*" i „*Elements of physiological Psychology*".

[2]) „*Ethical Religion*", Chicago, 1892.

[3]) „*Transantlantic Co*", N. Y., 1895.

„Nie możemy wykroczyć po za świadomość zjawiskową, lecz wynik jéj, przeciwstawność zjawiskowa „rzeczy“ i „wiedzy o rzeczach“ ma swoją ewolucyę; śledząc tę ewolucyę, przychodzimy do przekonania, że ani idealistyczne sprowadzenie rzeczy zjawiskowych do spraw podmiotowych (umysłu), ani bezwzględne odróżnienie rzeczy, jako „niepoznawalnych“, od poznania, jako przedmiotowego, nie daje się obronić.“

Autor ustanawia pojęcie „świadomości przedzjawiskowéj", t. j. stanu świadomości, poprzedzającego rozdwojenie poznania na wewnętrzne i zewnętrzne — stanu, którego bliższą i mniéj spekulacyjną charakterystykę mógłby znaleźć w pierwszych krokach myśli filozoficznéj w jéj dziejowym rozwoju. Wogóle w wynikach swoich autor zbliża się do realizmu typu Avenariusa.

Dziedzina historyi filozofii wogóle najmniéj jest przedmiotem badań samodzielnych w Ameryce, chociaż istnieje tu koło wielbicieli Platona, wydające pismo, bardzo zresztą mało komu znane, a poświęcone wyłącznie jego filozofii [1]) Natomiast przekłady kilku z najlepszych wykładów niemieckich historyi filozofii wykonane i wydane były w Ameryce; między innemi także znane czytelnikom polskim „Dzieje filozofii Nowożytnéj“ Falkenberga [2]), wydane prawie jednocześnie z przekładem polskim i rosyjskim; przekład Erdmanna [3]) i inne.

Zanim przejdziemy do filozofii praktycznéj oraz filozofii poszczególnych gałęzi wiedzy, kilka słów poświęcić wypada dziełku, które, zostając pozornie w styczności z pedagogią, w rzeczywistości zdaje się, że jest wstępem do dalszych spekulacyi kosmologicznych. Mam na myśli „Rozwój umysłowy dziecka i rasy“ [4]) Baldwina (profesora w Princeton). Są to spekulacye o ewolucyi przyzwyczajenia, a zwłaszcza o utworzeniu nowych nawyknień pod wpływem przystosowania się. Autor kładzie wielki nacisk na wpływ naśladownictwa w rozwoju umysłowości — czynnik, który już Tarde wyzyskał w swojéj teoryi socyologiczno-prawnéj. Z filozofii biologicznéj [5])

---

[1]) „*Bibliotheca Platonica*“, wydawana przez T. M. Gohnsona w Osceola, Missouri (St.-Clair Co), od r. 1889. Dwumiesięcznik.

[2]) Przez Armstronga N. Y. 1893.

[3]) Przez W. S. Hough, prof. uniwersytetu stanu Minnesota, 1892.

[4]) „*Mental Development in the Child and the Race*“. Mc. Millan. N. Y. 1895.

[5]) Licznym próbom amerykańskiéj filozofii biologicznéj w duchu naukowego transformizmu poświęcimy osobny artykuł.

udzielamy tu miejsce dziełu dr. Goulda, p. t. „*Meaning and Method of Live. A search for Religion in Biology*“, 1893. Świat fizyczny jest królestwem czystego mechanizmu. Wieczność atomów przyjęta jest za pewnik. „Świat nie mógł powstać, gdyż w takim razie usprawiedliwiona byłaby obawa jego zagłady.“ Świat organiczny wszakże celowością swoją zmusza do przyjęcia istnienia rozumu kierowniczego, który zwykle nazywają Bogiem. Niedorzeczném wszakże jest uważać go za byt bezwzględny oraz za twórcę. Autor nazywa go „*Biologos*“. „*Biologos*, powiada autor, jest istotą skończoną, która pragnie życia i walczy o nie, gdzie tylko wydarzy się sposobność ku temu, pośród wrogiego mu mechaniczno-fizycznego porządku i z tym porządkiem, aby wywołać jak najdoskonalsze formy życia. Metoda jego jest stopniowa, podobnie jak i nasza, gdy staramy się opanować przyrodę. Dla tego téż nie jest ona stwarzaniem, lecz ewolucyą. Główną trudność w téj walce z wrogim życiu porządkiem fizycznym stanowi niezupełnie dotąd przez *Biologos* rozwiązane zadanie odżywiania. Na téj trudności polega powolność ewolucyi. Złe wszelkiego stopnia — są to „koszta sprawy“ (*expences of the process*), wymuszone od *Biologos* przez wrogi mu porządek mechaniczny. Śmierć nie jest jego celem, lecz koniecznością, wymuszoną przez zagadnienie odżywiania, Autor ilustruje swoje poglądy przykładami na wzór Schopenhauera i Hartmanna, z którego to ostatniego „Nieświadomém“ ma pewne pokrewieństwo *Biologos*. Pomimo fetyszystycznéj formy, w którą wciela się idea ewolucyi („*biologos*“), poglądy autora nie są w tak rażącéj sprzeczności ze współczesnemi dążnościami transformizmu naukowego, jakby się wydawać mogło. Zrezygnowanie mianowicie z nadziei czysto mechanicznego wyjaśnienia powstawania form organicznych, ukryte w przeniesieniu czynników rozwoju do elementarnych, obdarzonych „zdolnością do doskonalenia się“ pierwiastków protoplazmy, które znajdujemy w teoryach Nägelego i Weissmanna, jest tu podniesione do zasady i wyrażone w sposób jaskrawy, jako walka życia ze światem mechanicznym; czysto fizyologiczna zaś zagadka śmierci, którą Weissmanna, Götte i inni usiłują połączyć z biologiczną teoryą rozwoju, jest i tu z nią ściśle związana.

Ewolucyonizm amerykański przybiera odmienne kształty i usiłuje on raczéj konstatować fakty, niż je tłómaczyć mechanicznie i rozwija się drogą wytkniętą przez Lamarka, t. j. kładąc szczególny nacisk na oddziaływanie czynników zewnętrznych i szukając ogólnych formuł, wyrażających te oddziaływania. Do przedstawicieli

jego należą: Cope, Osborn, Paekard, Hyatt, Brooks, Ryden, Dall, Orr i inni. Przedmiot to wszakże zbyt obszerny, abyśmy mu mogli udzielić miejsca w tym krótkim przeglądzie literatury filozoficznéj.

Dzieło Goulda, będące próbą wytworzenia religii biologicznéj, jest wyrazem zaznaczonego na początku stanu umysłów tego kraju, odpowiadającego fazie, w któréj filozofia jeszcze się nie oddzieliła od religii i rozwiązanie zagadnień filozoficznych przybiéra formy religijne. Objawem téj saméj dążności jest „Towarzystwo Kultury Etycznéj" — próba wytworzenia religii, opartéj na zasadach etycznych, wyższych i bardziéj społecznych niż dotychczasowy indywidualizm. Towarzystwo to miéwa odczyty w rozmaitych miastach i szerzy swoje wydawnictwa. Do tegoż rodzaju przedsięwzięć należy wydawnictwo miesięczne, p.t. „*Open Court*" w Chicago. Skład redakcyi jest ten sam, co i w „*Monist*". Zadaniem wydawnictwa jest szerzenie zasad „Religii Wiedzy."

Czém jest Religia Wiedzy? O tém poucza nas książeczka pod tym samym tytułem, napisana przez redaktora „*Open Court*", któréj drugie wydanie opuściło prasę w zeszłym roku [1]) Mówiąc krótko, jest to złocona pigułka, mająca ułatwić Amerykanom przełknięcie gorzkawych wyników materyalistycznego monizmu niemieckiego. Ponieważ wydawnictwo to istnieje już od lat wielu, a połączone jest z wydawnictwem całego szeregu bardzo dobrych książek popularnonaukowych [2]), pozwolimy więc sobie udzielić nieco więcéj miejsca rozbiorowi zasad „Religii Wiedzy."

Dążeniem wszelkiéj religii jest wyrobienie przekonań, które przewodniczyć by mogły w życiu człowieka, dać pociechę w smutku i uświęcić cele życia. Zadaniem wiedzy — metodyczne dążenie do prawdy.

Religia Wiedzy uznaje za prawdę tylko to, co jest naukowo dowiedzione. Zasad religii wiedzy jest pięć, które zresztą wszystkie wynikają z jednéj: 1) szukać prawdy, 2) przyjąć prawdę, 3) odrzucić to, co nie jest prawdą, 4) ufać w prawdę, 5) żyć w prawdzie.

---

[1]) P. Carus. „*Religion of science. Second edition, revised and enlarged.*" Chicago, 1896.

[2]) Przekłady popularnych dzieł Maxa Müllera, Ribota, Macha, Freytaga, Bineta, Noiré'go oraz oryginalne utwory Romanes'a, Cope'a i innych wchodzą w skład „*Religion of Science Library.*"

Nie ma różnicy w prawdzie religii a wiedzy, prawda jest jedna. Wiedza jest otoczona świętością, jéj prawda jest prawdą świętą. Religia wiedzy nie ma dogmatów, t. j. twierdzeń, któreby mogły się ostać wbrew wynikom wiedzy, ale ma wiarę, to jest zaufanie w prawdzie, czyli przekonanie, że prawdę można znaleźć i że prawda jest jedynym odkupicielem.

Nauki Religii Wiedzy są wynikami doświadczenia nie jednostki, lecz rasy: muszą one być dowiedzione i zawsze podlegają krytyce. Religia Wiedzy nie przywiązuje wewnętrznéj wartości do symbolów samych przez się, lecz tylko do ich znaczenia. Nie oponuje przeciwko obrządkom, lecz nie przepisuje żadnych specyalnych form, jako właściwych téj religii i niezbędnych do zbawienia.

Oto jest treść jéj nauk: 1-o Każdy czyn ma nieuniknione następstwa dobre lub złe; 2-o Przepisy moralne, na które zgadzają się prawie wszystkie istniejące religie, są poprawne; 3-o Co jest dobre, a co złe, powinno być wykryte drogą naukową; 4-o Religia Wiedzy przyjmuje wyroki nauki.

Uczeni, jako poszukujący prawdy, są prorokami Religii Wiedzy; lecz powaga ich polega jedynie na znalezionéj prawdzie, nie na ich osobie. Prawdę powinniśmy przyjmować, jaką jest, gdyż nie od nas zależy jéj ukształtowanie.

Jaka jest najwyższa powaga Religii Wiedzy? „To, co wiecznie-trwałe w istnieniu, jest ostateczną powagą dla naszego postępowania i, jako takie, w języku religii nazywa się Bogiem". Owém, wiecznietrwałém jest prawo natury, którego niejako częściowym objawem jest prawo moralne. Przepisy religii są to formuły, uczące człowieka postępować zgodnie z owém prawem. „Wiedza, chociaż nie mówi o Bogu, uczy o Nim, gdyż każde prawo natury jest częścią istoty boskiéj."

Etyką Religii Wiedzy jest etyka obowiązku. Obowiązek wymaga, abyśmy szli drogą postępu, chociaż przytém ilość szczęścia nie wzrasta, lecz raczéj ubywa.

„Natura nie uwzględnia naszych teoryi. Nasze teorye powinny się stosować do natury. Powinniśmy rozwijać się i postępować, a szczęście nasze jest tylko przypadkowym rysem w losach naszego życia. Rozważając obowiązki życia nie powinniśmy i nie możemy pytać, czy posłuszeństwo zwiększy czy zmniejszy nasze szczęście." Etyka Religii Wiedzy streszcza się w tych 3-ch punktach: 1-o Poznaj siebie i prawa twego bytu. 2-o Naucz się obowiązków, które z tych praw wynikają. 3-o Spełniaj te obowiązki bez zachwiania.

Żadna religia dotąd nie obeszła się bez nauki o duszy i nieśmiertelności. Nie brak téż jéj i w Religii Wiedzy. Łatwo się domyśléć, że jéj psychologia jest nawskroś sensualistyczna. Dusza jest tylko zbiorem stanów psychicznych — myśli, uczuć i chęci. Skoro więc niéma indywidualnéj duszy, jak pojmować jéj nieśmiertelność?

Nieśmiertelność polega na dziedziczności zasobów, zdobytych przez poprzednie pokolenia, a wchodzących jako składniki do naszych myśli i przekonań.

Taką jest w ogólnych zarysach Religia Wiedzy; widzimy tu pełno reminiscencyi z filozofii XVIII w. i dzisiejszych odłamów materyalizmu. Przyrodzone prawo moralne przypomina zasadniczą myśl kołłątajowskiego „Porządku fizyczno-moralnego", pisanego przed stu laty; myśl pojednania religii z wiedzą—Pierwsze Zasady" Spencera, a życie wieczne w całości — „nieśmiertelność podmiotową" Comte'a, który ją jednak bardziéj po ludzku pojmuje. Jest tu i zabarwienie pesymistyczne w duchu Hartmanna. Nie mało téż i sprzeczności w téj nauce. Autor nie dostrzega, że nibyto odrzucając „niedowiedzione" dogmata, buduje cały gmach swój na wierze w poznawalność prawdy, która jest nietylko niedowiedzioném twierdzeniem dogmatyczném, ale i przez wielu zaprzeczaném. Uznanie *consensus omnium* (zgody powszechnéj) za probierz w ocenie zasad moralnych (nauka 2) jest również niefilozoficznym eklektyzmem jak i sprzeczném z twierdzeniem, iż moralność ma być opartą na wiedzy. To zaś ostatnie (nauka 3) jest i dogmatyczne i błędne. Wiedza daje nam środki przewidziéć następstwa pewnych faktów, lecz nie oceny ich. Wiedza uczy nas, że dawka trucizny sprowadza śmierć, lecz nie mówi, czy złem, czy dobrem jest zadawanie śmierci. Nie sądzimy też, aby Religia Wiedzy mogła zadość uczynić wymaganiom, jakie sam autor postawił dla religii, t. j. pocieszenia w utrapieniu i uświęcenia celów życiowych. Jest ona tylko sformułowaniem t. zw. „poglądu na świat naukowego", którego nie przerobią na religię takie frazesy, jak np., że „prawda otoczona jest świętością", lub nazywanie praw przyrody „nadosobowym (*superpersonal)* Bogiem". Pogląd zaś ten zawiera bardzo mało pierwiastków pociechy. Fryderyk II, złamany niepowodzeniami, daremnie szukał pociechy w poemacie Lukrecyusza „O naturze rzeczy". „Znalazłem tam tylko konieczność złego i brak lekarstwa na nie", pisał po odczytaniu 2-ej pieśni. Również wątpliwém jest, aby myśl o dziedziczności zasobów psychicznych mogła była pocieszyć Kochanowskiego po stracie Urszuli.

Z tém wszystkiém jest pewne świeże tchnienie w téj książce, a tchnienie to zawdzięcza podniesieniu dwóch zasad, które od czasów Kopernika stają się coraz bardziéj charakterystycznemi cechami myśli nowożytnéj, a można rzec, że streszczają w sobie główne hasła oświaty. Są niemi — żądanie, abyśmy prawdę przyjmowali taką, jaka jest, nie cofając się przed niemiłemi dla nas następstwami, i obowiązek postępu, t. j. doskonalenia się, niezależnie, a nawet wbrew myśli o szczęściu własném.

W. M. Kozłowski.

FINIS

GIACOMO LEOPARDI.

(W setną rocznicę urodzin poety).

Życie hr. Jakóba Leopardiego, największego włoskiego poety nowożytnych czasów, jest zbiorem wszelkich nieszczęść, jakie człowieka nawiedzić mogą. Pochodził ze znakomitego rodu, a ograniczone środki materyalne, jakiemi rozporządzał, nie mogły go przed nędzą ochronić; z dziwakiem ojcem, opanowanym wpływami Jezuitów, żył w ciągłém rozdwojeniu; od dzieciństwa słabowity, z rachitycznie ukształtowanym szkieletem, nie znał ni szczęśliwéj młodości, ni zdrowia; uzbrojony w erudycyę, która wzbudzała podziw w rodakach i cudzoziemcach, jeden z najgłębszych znawców starożytnego świata, nigdy nie mógł wywalczyć sobie stanowiska, odpowiadającego jego nauce i zdolnościom; powołany do najświetniejszych, jakie poezya dać może, laurów, wskutek cierpień potęgujących się z każdym rokiem, wpadł w przygnębienie i skończył na zupełnéj sprzeczności z prądami, ożywiającemi współczesnych; obdarowany przez naturę gorącém sercem i namiętném pragnieniem miłości, mniemał, że ma dokoła siebie wystygłe dusze i że mu pozostaje tylko jeden „z tego morza cierpień" ratunek — śmierć. Ją to, jak lubego, dawno wyglądanego przyjaciela, w wierszu „Miłość i śmierć" temi wita słowy:

„Nigdy nadzieja próżna, która krzepi
Świat ten i świata tego trwożne dzieci,

Pocieszać mię nie zleci,
Ni się mi głupia hardéj myśli czepi,
Ciebie jednéj i owéj
Pory czekam majowéj,
Gdy mi dasz głowę pochylić uśpioną
Na twe dziewicze łono“ [1]).

Wreszcie przychodzi doń upragniona śmierć, w dali od miejsc rodzinnych i wyrywa go z ramion wiernego przyjaciela, który przez siedm ostatnich lat życia pielęgnował go i pocieszał, a potém zamknął mu oczy, pogrzebał go, postawił mu pomnik, opisał żywot, wreszcie zebrał i wydał jego pisma.

Giacomo Leopardi urodził się w d. 29 czerwca 1798 r. w Recanati, mieście Marchii ankońskiéj, w pobliżu Loreto, sławnego miejsca pielgrzymek. Ojcem jego był hrabia Monaldo Leopardi, znany w swym czasie z chybionych spekulacyi ekonomicznych i rozmaitych pism treści politycznéj, stanowiących rażące przeciwieństwo z poglądami syna. Matką poety była margrabina Adelaida Antici, która — twierdzimy to na zasadzie listów przez nią i do niéj pisanych — zajmowała w rodzinie podrzędne stanowisko i w żadnym kierunku najmniejszego wpływu na syna nie wywierała. Pierwszymi domowymi nauczycielami młodego Jakóba byli dwaj duchowni. Od czternastego roku życia, zostawiony samemu sobie, uzupełnił swe wykształcenie, prowadząc dalsze studya w bogatéj bibliotece ojcowskiéj, przechowanéj do dnia dzisiejszego w domu Leopardich w Recanati, wraz z napisem umieszczonym przez ojca poety nad wejściem do niéj: „*Filiis. amicis, civibus Monaldus de Leopardis bibliothecam a. MDCCCXII.*“ Księgozbiór ten stał się źródłem niezmiernéj jego wiedzy. Tam młody samotnik poznał bez pomocy nauczyciela języki: grecki i hebrajski, z nowych zaś: francuski, hiszpański i angielski. Z największém zamiłowaniem studyował greczyznę. W dzieciństwie niejedną noc bezsennie przepędził, pracując nad ulubionymi autorami. Oto co mówi brat poety, Carlo, w liście pisanym do wydawcy „*Epistolario di Giacomo Leopardi*“, t. I, str. 12: „Zapewne, że nikt nie może dać lepszego świadectwa jego pracowitości odemnie, ponieważ w czasach tych zawsze z nim sypiałem w jednym pokoju. Kiedym się późno w nocy obudził, nieraz widziałem go, pracującego na klęczkach przy biurku, by módz korzystać z dogasającéj świécy do ostatniéj chwili.“ Kto inny znów, przyjaciel młodości,

---

[1]) Wszystkie cytowane przez nas urywki wzięte zostały z przekładów E. Porębowicza („Wybór pism G. Leopardiego“. Warszawa, 1887, „Bibl. naj. utw. lit. europ.“).

poety, Pietro Giordani, w przedmowie do zbioru filologicznych studyów Leopardiego „*Firenze Le Monnier*", str. 14) pisze co następuje: „Przyswoił on sobie nietylko wszystko to co znane było starożytnym, mianowicie zaś Grekom, lecz poznał również najbardziéj drobiazgowe szczegóły tyczące się ich obyczajów myśli i uczuć, tak że wydawał nam się jednym z nich, i to jednym z największych. Nieraz mi to na myśl przychodziło, że gdybyśmy mogli jeszcze snuć marzenia platońskie, powiedziałbym wtedy, że była to jedna z dusz, przeznaczonych od natury do wcielenia się w Grecyi, w czasach Periklesa i Anaksagorasa, nie wiem z powodu jakich błędnych zarządzeń z zejściem na ziemię opóźniona i to w dniach tak smutnych dla naszéj ojczyzny." Pierwsze prace Leopardiego, zajmujące się starożytnościami greckiemi i literaturą grecką, ukazały się w r. 1816, w Medyolanie, w piśmie „*Spettatore italiano e straniero*", które wydawał F. A. Stella. Wielkie wrażenie wywarły dwa greckie wiersze, napisane i ogłoszone przez Leopardiego w ośmnastym roku życia. Nastrojone na nutę Anakreona, uchodziły za oryginały tego poety, dopóki Leopardi nie wyjaśnił uczonym, że sam jest ich twórcą. Jeden z tych wierszy zwrócony jest do miłości, drugi zaś do księżyca. Jednocześnie z niemi wydrukowany został „przekład świéżo odkrytego" „Hymnu do Neptuna" wraz z „oryginalnym" tekstem greckim, zaopatrzonym w konjektury i uwagi hermeneutyczne, których uczoność wprawiła w podziw nawet tych, co domyślali się mistyfikacyi. W następnym (1818) roku ukazały się w Rzymie dwie pierwsze *Canzony* Leopardiego: „Do Włoch" i „Do Dantego". W obu skarży się poeta na polityczny upadek ojczyzny. Italia wydaje mu się piękną niewiastą, lecz, mówi on:

. . . . dzisiaj rozstrojoną
Z lauru skroń nosisz i odkryte łono.
Ha! Jakiż widok krwawy.
Ile łez, potu!... Tak-że, piękna pani.
Tak że cię widzę? W niebo ręce wznoszę,
Ziemi pytając proszę:
Kto ją ku temu przywiódł? I to boli,
Że łańcuchami ma skute ramiona...

Tak bez zasłony, z włosy rozdartemi,
W mdłém opuszczeniu usiadła na ziemi,
Skłoniła na kolana
Twarz swą i płacze...
Płacz, bo masz czego, Italio, przez losy
Na zwycięstwa wskazana
Czyli cię pieszczą, czy zadają ciosy.

Drugą strofę kończy poeta temi słowy:

Nikt-że nie pomści cię, nikt nie osłoni
Z pośród twych dzieci?... Hej! broni tu, [broni.
Sam ja bój stoczę, sam nadstawię ciała.
Dajcie niebiosa, proszę, by krew moja
Zniczem dla piersi italskich się stała.

Następnie skarży się, że synowie Italii w obcych ziemiach za obcą walczyli sprawę i wspomina najpiękniejsze czasy starożytnéj Hellady,

kiedy jéj dzieci wspólnemi siłami zwycięsko odparli najazd perski. Wreszcie wprowadza poetę Simonidesa, który, podług świadectwa Diodora, przy zwycięskim obchodzie na polu bitwy pod Termopilami, opiewał czyny bohatérów padłych za ojczyznę:

Prędzéj wydarte z nieba, wpadłszy w morze,
Zasyczą gwiazdy gasnące w głębinie,
Niżeli zaszczyt wieczny
I pamięć o was zginie.
Grób wasz ołtarzem będzie: tu niewiasty
Przychodząc, dzieciom będą ukazować
Ślady krwi waszéj; tu ja się położę
O, moi święci, i będę całować
Ten oto głaz, murawę,
Co od krańca do krańca
Ziemi przywodzi w pamięć waszą sławę.
Gdybym tam z wami był! gdyby i moją
Krwią święta matka ziemia zwilgotniała!
Lecz skoro wzbrania mi losów zesłanie,
Abym za Grecyą zemdlałe powieki
Zamknął gdzieś na majdanie,
Niechaj z bożéj opieki
Przetrwa czcigodnéj sławy panowanie
Krainy waszéj wieszcza
Na przyszłe wieki; póki waszéj stanie.

Druga *Canzona* „Do Dantego" została napisaną z powodu zawiązania się we Florencyi związku, mającego na celu postawienie w mieście tém pomnika dla największego poety włoskiego. Leopardi maluje upadek ojczyzny od czasów Dantego, uderza w haniebne dla Włoch rządy Napoleona, kiedy synowie Italii ginęli tłumnie w śniegach Rosyi, a sztuki włoskiéj arcydzieła bywały za Alpy wywożone.

Po dwu latach (1820) ogłoszoną została trzecia *Canzona* do Angela Mai, jednego z najznakomitszych filologów włoskich, który odkrył liczne fragmenta z dzieł starożytnych pisarzy i umiał je odczytać z palimpsestów, który przywrócił Euzebiusza, — który wszakże najbardziéj wsławił się odnalezieniem i wydaniem ksiąg Cycerona *de Republica*. *Canzona* ta, zdaniem wielu, najpiękniejsza z pośród poezyi Leopardiego, jest skargą na upadek piśmienniczéj potęgi Włoch. Poeta przeprowadza przéd naszemi oczyma Dantego, Petrarkę, Tassa; a z nowszych Alfieriego i gorzko nad tém ubolewa, że współczesność nie zna wielkich duchów i że wszystkich nęci spokojna przystań mierności. W końcu zwraca się do wielkiego uczonego i życzy mu szczęśliwego uwieńczenia trudów. „Budź umarłych — mówi do niego — podczas, gdy śpią ży-

wi, martwym ustom dawnych bohatérów powróć ich mowę, ażeby ten haniebny wiek powstał do szlachetnego trudu.

Poezye te wymierzone z młodzieńczym zapałem przeciw współczesnemu nastrojowi Włoch, a odznaczające się krzepkim językiem i skończoną doskonałością formy, wywarły wielkie w całym kraju wrażenie. Z ciekawością dowiadywano się, kto to jest, ten dotychczas nieznany młodzieniec, który, w smutnych czasach restauracyi, pod uciskiem księży i obcego panowania, umiał rozpłomienić poczucie narodowe, wskazać Włochom ich samych i dawną ich wielkość, nawiązując słowa swe do politycznych *Canzon* Petrarki: „*O aspettata in ciel*”, „*Spirto gentil*” i „*Italia mia*”.

A sam poeta, którego sława rosła z dniem każdym, przebywał jeszcze podówczas w ojcowskim domu w Recanati, skąd nie wydalał się do 24-go roku życia, w istnéj katowni stosunków rodzinnych, otoczony nie rozumiejącymi go karłami, nie domagając na zdrowiu z powodu zbyt surowego, jak mniemał, dla Włoch klimatu, narażony na brak wszystkiego tego, czego pragnął, zwłaszcza zaś na brak środków pieniężnych, niezbędnych dla porzucenia domu rodzicielskiego. Już w kwietniu 1817 r. pisze do Giordani'ego („*Epistolario*”, t. I, str. 33), broniącego przed nim Recanati: „Łatwo ci mówić: Plutarch i Alfieri kochali swą Cheroneję i swe Asti. Kochali je, nie mieszkając w nich. W ten sposób i ja kochać będę rodzinne gniazdo moje, będąc zdala odeń; teraz je nienawidzę, gdyż w niém mieszkam; ponieważ to nędzne miasto, wyłączając rodzinę moją, żadnego mi dobrodziejstwa nie wyświadczyło.” Mówiąc daléj o duchowéj fizyognomii grodu rodzinnego, tak ją charakteryzuje: „Wszystko tu jest głupstwem i martwotą. O literaturze nikt nie słyszał. Do nazwisk: Pariniego, Alfierego, Montiego, Tassa, Ariosta i wszystkich innych trzeba objaśniający komentarz dodawać. Niema tu nikogo, coby sobie zadawał trud zostania czémś, nikogo, coby się czuł nieprzyjemnie dotkniętym mianem nieuka.” A nieco niżéj: „Bóg stworzył świat tak pięknym, ludzie niejednéj pięknéj rzeczy dokonali, jest tak wielu ludzi, których każdy nie pozbawiony rozsądku poznać pragnie; ziemia pełna jest cudów; a ja, w ośmnastym roku życia, powiedzieć muszę: mam żyć w téj dziurze i mam umiérać, gdziem się urodził? Powietrze w mieście tém jest wysoce zmienne, wilgotne, dla nerwów szkodliwe i trudne wprost do zniesienia dla pewnych organizmów. Dodaj jeszcze do tego ową upartą straszliwą melancholię, która mnie trawi i pożera, żywi się pracą i wzrasta bez pracy. Wiem wprawdzie, czém jest owa luba melancholia, to źródło piękna; jest ona słodszą od rozkoszy i radości; znałem i ją, lecz teraz już jéj nie znam wcale.”

Podobne skargi znajdujemy w wielu jego listach. Oto w jaki sposób postępowano z nim w domu rodzicielskim („*Epistolario*”, t. I, str. 86): „Jestem młokosem i jako taki jestem traktowany, nietylko w domu, gdzie mnie uważają za dzieciaka, lecz i po za domem. Jeżeli kto odbierze list odemnie, a potém ujrzy tego nieznanego mu Jakóba, uważa mnie albo za ducha zmarłego przed trzydziestu pięciu laty dziadka, mego imiennika, albo téż za lalę domową i sądzi, że mi zaszczyt osobliwy czyni, jeżeli on, osoba dorosła, odpisuje młokosowi; załatwia więc sprawę w dwu wierszach, z których jeden zawiéra ukłony dla mojego ojca. W Recanati obchodzą się ze mną jak z młodzieniaszkiem, darząc mnie nadomiar przezwiskami: arcy-mędrka, filozofa, pedanta, pustelnika i Bóg wié jakiemi jeszcze.” Daléj znów pisze: „Czy wiécie, że bajoka nawet wydać nie mogę. Lecz ojciec zaopatruje mnie we wszystko o co poproszę i chce, żebym go prosił o wszystko. Ja zaś, mając do wyboru proszenie i nieposiadanie, wybieram to ostatnie, chyba że potrzeba lub gorące pożądanie jakiéj książki, zbyt mi doskwiera. Powiadam: pożądanie jakiéj książki; gdyż nigdy niczego innego prócz książki nie pożądałem, wyjąwszy chęci rozporządzania od czasu do czasu parą koni powozowych, któréj dotychczas ojciec mój nie zaspokoił, gdyż wmówił w siebie to, czego ja dotychczas w siebie wmówić nie mogę, że w domu powinienem odgrywać rolę popychadła.” Do tego wszystkiego dołączył się zły stan zdrowia, podkopanego chorobą zdawna nurtującą w organizmie, obecnie zaś nadwyrężonego gorączkową pracą. Już w r. 1817 często pisuje o tém do Giordaniego („*Epistolario*”, t. I, str. 61): „Nieszczęśliwym mnie czyni przedewszystkiém brak zdrowia; pomijając już bowiem to, iż nie jestem jednym z owych filozofów, którzy nie dbają o życie, widzę się zmuszanym trzymać się zdala od miłości mojéj, moich studyów. Co myślisz o tém, drogi Giordani, w jaki sposób czas przepędzam? Wstaję dość późno, ponieważ obecnie chętniéj śpię niż czuwam. A potém błądzę tu i owdzie, aż do obiadu, nie otwiérając ust do nikogo, ani do książek nie zaglądając. Po obiedzie błąkam się w podobny sposób, aż do kolacyi. Po posileniu się, jeżeli coś jem wogóle, czytam przez godzinę, i to z częstemi odpoczynkami. Jest to obecny mój tryb życia, trwający już od sześciu miesięcy. Drugą rzeczą, która mnie nieszczęśliwym czyni, jest myślenie. Sądzę że wiész, lecz mam nadzieję, żeś się sam nie przekonał, do jakiego stopnia myśl może być męczarnią dla tego, co myśli nieco odmiennie niż inni, — jeżeli ma nad nim moc — jeżeli, sądzę, człowiek taki niema nic, coby go zajęło lub rozerwało, za wyłączeniem studyów, które, ponieważ ducha na uwięzi trzymają, więcéj szkody przynoszą niż pożytku. Dla mnie myśl oddawna stała się przyczyną

takich cierpień, zawsze mnie bowiem jak i obecnie, tak doszczętnie opanowywa, że dzieje się to z wielką dla mnie szkodą i zabije mnie, jeżeli stosunki moje się nie zmienią. Samotność nie jest dla tych, co się sami w sobie trawią." W innym znów liście (t. I, str. 66) powiada: „Myśl zawsze była dla mnie katem i zniweczy mnie, jeżeli w téj samotności w mocy jéj pozostanę." Najgorszém było to, iż do jego cierpień dołączyła się jeszcze choroba oczu, która na cały rok 1819 uniemożliwiła mu pracę. Pisze o tém: „Przez długi czas wierzyłem w to niezłomnie, iż umrę w przeciągu paru lat. Wszakże odkąd przekroczyłem rok dwudziesty, mogłem się przekonać (nie mówię: mogłem sobie pochlebić, ponieważ nie widzę do tego powodu), że nie zagraża mi konieczność tak wczesnéj śmierci, i że przy zachowaniu ciągłéj pieczołowitości żyć jeszcze mogę, — wprawdzie życie to z wielką biédą wlec trzeba będzie i tego życia, które zwykle ludzie wiodą, ani połowy nie będzie ono warte, wobec ciągłego wystrzegania się najdrobniejszych przypadków i najbardziéj błahych ostrożności, któreby mogły zaszkodzić mi lub mnie zabić. Gdyż w przeciągu siedmiu lat gorączkowéj, desperackiéj pracy, w wieku, w którym budowa mego ciała powinna była wykształcić się i wzmocnić, do szczętu się zniszczyłem. Zniszczyłem się nieszczęśliwie na całe życie, doprowadziłem wygląd mój do zupełnego wynędznienia i zniweczyłem w sobie ową całą istotną część człowieka, zwracającą na siebie uwagę tłumu, z którym na tym świecie obcować trzeba. I to nietylko samego tłumu, lecz każdego tego, który życzy sobie, by wewnętrzne obdarowanie nie ujmowało całéj zewnętrznéj ozdoby i który smuci się, znajdując je nagiém i nieprzybraném, potęgując zaś jeszcze moc naturalnego prawa, o które cała, tak nazywana, mądrość bezsilnie się rozbija, ledwie się zdobyć może na odwagę kochania tego, w którym nic pięknego niema prócz duszy. Temi i tym podobnemi nieszczęściami obdarowała natura moją istotę, zostawiając mi dość rozsądku na to, bym jasno widział i wiedział, czém i jak się stałem oraz dość serca dla przeświadczenia się, że radość nie dla niéj jest przeznaczoną, że przybrać musi żałobę, a melancholią wziąć za niedostępną towarzyszkę. Wiem tedy i widzę, że życie moje tylko nędzném być może; lecz mnie zwątpienie jeszcze nie ogarnia. Niechby to życie choć jakąkolwiek wartość miało, a ja bez tchórzostwa będę usiłował przedrzéć się przez jego szlaki. Dożyłem tak bolesnych czasów, iż mi się wydaje, że oczekują mnie jeszcze gorsze. Właśnie jednak dlatego nie wątpię, iż zniosę i te gorsze. Świata jeszcze nie widziałem; wszakże, kiedy go zobaczę i poznam ludzi, dopiéro wtedy napewno, pełen goryczy, będę się musiał zamknąć sam w sobie, nie ze względu na nieszczę-

ście, któreby mnie spotkać mogło i przeciw któremu spodziéwam się uzbroić w niezłomny upór, ni téż ze względu na liczne okazye, które ranić będą moją miłość własną, ponieważ jestem zdecydowany nie korzyć się przed nikim i ponieważ moje życie pogardą za pogardę, szyderstwem za szyderstwo płacić będzie—lecz dla tych rzeczy, które serce moje ranić będą, a które nie każą długo czekać na siebie."

Ten nastrój duchowy nieszczęśliwego poety stawał się z każdym dniem bardziéj posępnym i gorzkim, aż wreszcie przeszedł w rozpacz. W marcu 1820 r. pisze do Giordani'ego: „I ja wzdycham z gorącą tęsknotą do pięknéj wiosny, od któréj spodziéwam się przynajmniéj, że będzie mi lekarstwem na wyczerpanie mego ducha. Parę wieczorów temu, zanim udałem się na spoczynek, otworzyłem okno w moim pokoju: ujrzalem jasne niebo, czarowny blask księżycowy, owiał mnie ciepły powiew wietrzyka, usłyszałem dalekie szczekanie psów — wtedy zbudziły się we mnie dawne obrazy i zdało mi się, że czuję poruszenie w sercu, tak iż krzyczéć począłem, jak obłąkany: o zmiłowanie się nademną błagałem przyrodę, któréj głos zdało mi się, że słyszę po tak długim czasie. I kiedy rzuciłem wzrok na dawny stan mojéj duszy, w którym istotnie się znajdowałem i gdy mi na myśl przyszło, że oto na chwilę znowu weń zapadam, wtedy osłupiałem ze zgrozy, nie mogąc zrozumiéć, jak można znosić życie bez złudzeń, bez żywych uczuć, bez fantazyi i zapału, które jeszcze przed rokiem je wypełniały, uszczęśliwiając mnie bez względu na moje cierpienia. Teraz jestem zwarzony, jak sucha trzcina i żadna namiętność nie znajdzie już dostępu do mojego biédnego serca, nawet wiekuista i wszechpotężna moc miłości została we mnie w młodzieńczym wieku zniweczoną." Myśl o samobójstwie często powraca w listach jego i poezyach. Tak np. w liście z kwietnia 1820 r., pisanym do przyjaciela, adwokata bolońskiego, P. Brighenti'ego, który zajmował się drukiem i wydaniem pierwszych kanzon poety („*Epistolario*", t. I, str. 185): „Myśl jeszcze o mnie jedynie, jako o najbardziéj zrozpaczonym człowieku na ziemi, którego włos tylko przedziela od wyzwolenia się na zawsze z nędzy obciążonego przekleństwami żywota." Ojciec sprzeciwiał się drukowi kanzon, o których była mowa, opiérał się również życzeniu syna, pragnącego opuścić dom rodzicielski, a przynajmniéj nie chciał mu tego ułatwić udzieleniem jakichkolwiek środków, i tak jęczał nieszczęśliwy poeta pod rodzicielską opieką, pod uciskiem duchowego osamotnienia i strasznych cierpień fizycznych, aż do listopada 1822 r. Nareszcie ojciec zaaprobował wyjazd syna do Rzymu, jak się zdaje, w nadziei, że da on się tam prędzéj nakłonić do obrania stanu duchownego, w którym rokowano mu świetne na przyszłość widoki, dotychczas bowiem każdą w téj

materyi propozycyę bez namysłu odrzucał, co zresztą z niesłabnącą energią powtarzało się i późniéj, bez względu na fatalne jego położenie.

Spotykamy więc poetę w listopadzie 1822 r. w Rzymie, gdzie przebywał do maja roku następnego. Z pobytu w mieście tém sam niezupełnie był zadowolony. Potęga starożytnego świata, którego ruiny tu go powitały, nie wywarła, zdaje się, wielkiego na nim wrażenia, nie znajdujemy przynajmniéj śladów tego ni w jego listach, ni w poezyach. Potęga starożytnego świata rozpościérała się dlań w dziełach dawnych pisarzy, a nie w ruinach wiecznego miasta. Badacze starożytności drobiazgowością swą i pogardą dla każdego innego kierunku w literaturze i filologii, obmierzili mu wrażenie, podobnież jak to czynią ze wszystkimi wstępującymi po raz pierwszy do świętego miasta. Tém silniejsze wrażenie wywarł na nim grób Tassa, odszukany przezeń w klasztorze St. Onofrio. Pisze o tém do swego brata Karola („*Epistolario*", t. I, str. 292): „W piątek d. 15 lutego 1823 r. odwiedziłem grób Tassa i płakałem nad nim. Jest to pierwsza i jedyna przyjemność, jakiéj doznałem w Rzymie. Droga jest daleką i idzie się tam tylko dlatego, by grób zobaczyć. Czyżby wszakże nie można było przyjść i z Ameryki, dla zaznania rozkoszy łez, choćby tylko przez dwie minuty? Wielu doznaje niemiłego uczucia, odnajdując popioły Tassa w kącie nędznego kościołka, przykryte i zaznaczone jedynie płytą kamienną, długą i szeroką około półtoréj piędzi. Ja pod żadnym warunkiem nie chciałbym szukać tych popiołów pod grobowcem. Pojmujesz, jakie mnóstwo wrażeń wywołuje przeciwieństwo pomiędzy wielkością Tassa i nędzą jego grobu. Lecz nie możesz mieć najmniejszego wyobrażenia o innym kontraście, jakiego mianowicie doznaje oko przyzwyczajone do niezwykłego przepychu i wspaniałości rzymskich pomników przy ich zestawieniu z małością i nagością tego grobu. Czuje się posępną i wstrząsającą pociechę na myśl, że jednak to ubóstwo wystarcza do zajęcia i rozpłomienienia potomności, w tém miejscu, gdzie najpyszniejsze mauzolea, jakie Rzym zawiéra, ogląda się z zupełną obojętnością względem osób, dla których zostały wzniesione, o których imię nawet nikt nie pyta, jeżeli zaś to czyni, to wyłącznie dla samych pomników, z któremi imię to ściśle nieraz jest związane." Czy Leopardi, pisząc to, odczuwał podobieństwo, zachodzące pomiędzy jego losem a losem Tassa, z większą nawet dla jego cierpień przewagą? Giordani w następujących słowach zestawia los obu poetów (*Proemio* do „*Studi filologici*", str. 23): „Nieszczęścia Tassa sławne są na świat cały. Był on wielkim we współczesnym mu wielkich wieku, a olbrzymem w porównaniu z karłami XIX-go stulecia, niemniéj wszakże Leo-

pardi jest wyższym od niego i jako poeta i jako filozof. Z Tassem obelżywie obeszli się ludzie, Leopardiego okrutnie sponiewierała natura; stąd liczne skargi Tassa przeciw ludziom wymierzone, a bezustanne żale Leopardiego na naturę; pierwszy od trzydziestego roku aż do śmierci ubogim był i chorym. Życie Tassa zostało opanowane przez fantazyę, która mu rozsądek odebrała; przeciwnie zaś Leopardi posiadający o wiele potężniejszą i bardziéj płodną fantazyę, obwarował się rozsądkiem i nigdy nie wyszedł po za jego granice. I właśnie rozsądek ten był dlań katuszą, odbiérając mu pociechę, którą inni ze swych złudzeń czerpali. Wielki epik przeciwstawił dumnemu tyranowi i prześladującéj go zawiści dworaków, poczucie własnéj wyższości, użyte przez prześladowców, jako świadectwo przeciwko niemu; poeta-filozof czuł odrazę i rozgoryczenie, spowodowane mrokiem, w jakim żył i uważał go może za jedyną swego bezpieczeństwa przyczynę. Tassa tak bolało własne nieszczęście, że o powszechném nie myślał; serce Leopardiego zostało śmiertelnie ugodzone ostrym pociskiem natury, która w stosunku do poety, jak zresztą i do całego rodzaju ludzkiego była rozrzutną w rozsiewaniu zwodniczych nadziei."

Nowożytni Rzymianie i Rzymianki również nie nazbyt Leopardiemu imponowali. Ciągle się uskarżał na ich nieuctwo, bezmyślne rozrywki, na zawiść i próżność tamtejszych literatów, wyrażając się natomiast z zupełném uznaniem o cudzoziemcach, zwłaszcza zaś o Niemcach, których w mieście tém poznał; jaknajpochlebniéj odzywał się również o stosunkach panujących w domu holenderskiego posła, Reinholda. Z Niemców, z którymi Leopardi poznał się w Rzymie, przedewszystkiém wymienić należy Niebuhra, ówczesnego posła dworu berlińskiego przy Watykanie. On to mianowicie polecił poetę sekretarzowi stanu, kardynałowi Consalviemu, na posadę, któréj obsadzenie mogło nastąpić natychmiast po przyjęciu przezeń święceń duchownych. Ponieważ jednak Leopardi nie chciał się na to zgodzić, musiał się więc wyrzec wszelkich na nią widoków. Niebuhr starał się następnie o wyrobienie mu profesury filologii starożytnéj w Berlinie, lecz starania te nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Niemiecki uczony opuścił Rzym, nazawsze wszakże zachował serdeczną życzliwość dla wielkiego poety i wybitnego filologa.

Niebawem nadesłał mu przez Bunsena egzemplarz opracowanego przez się wydania Flawiusza Merobauda. W przedmowie dołączonéj do drugiéj edycyi, nader zaszczytnie wyraża się o młodym swym przyjacielu [1]).

---

[1]) Wiele szczegółów, tyczących się pobytu Leopardiego w Rzymie i jego stosunków z Niebuhrem i Bunsenem, znaléść można w dziełku: Christian Karl

Leopardi najwięcéj pracował w Rzymie po bibliotekach, sporządził katalog rękopisów greckich, znajdujących się w Barberinie i wydrukował w dziennikach rzymskich parę artykułów treści filologicznéj. Jego zamiar wyjazdu zagranicę z jaką znakomitością angielską, niemiecką lub téż rosyjską i poszukiwania szczęścia na obcéj ziemi spełznął na niczém i poeta w maju 1823 r. powrócił do Recanati, wzbogacony jedynie rozwianemi złudzeniami. Melancholijny nastrój jego nie zmniejszył się bynajmniéj, czego dowodzą liczne skargi, rozsiane w listach do brata, Karola. Co pod tym względem zawdzięcza Rzymowi, dowiadujemy się ze słów następujących („*Epistolario*", t. I, str. 285): „Jakkolwiekbądź do radowania się nie jestem zdolny, a zdolność tę utraciłem na zawsze, niemniéj wszakże Rzym tę mi przynajmniéj korzyść przyniósł, że udoskonalił nieczułość moją w stosunku do mnie samego, tak iż obecnie patrzę na moje życie, szczęście i nieszczęście, jak na życie, szczęście i nieszczęście każdego innego człowieka."

Powróciwszy do ojcowskiego domu w Recanati, poeta znowu dwa lata w cierpieniach i samotności przepędził.

Na ten czas przypada wydanie pierwszego zbioru jego poezyi („*Canzoni*", Bologna, 1824), dokonane z Recanati. Zawiéra ono dziesięć utworów wraz z dedykacyami, oraz uwagi w przeważnéj części natury językowéj. Nie będę się tu rozwodził nad treścią tych poezyi, chcę tylko podnieść to, iż, pomijając ogłoszone już dawniéj utwory, we wszystkich pozostałych jaknajwyraźniéj przebija się ów rozpaczliwy nastrój, ów pesymizm i owa zupełna współczesności pogarda, które poznaliśmy dostatecznie z listów poety. W formie panuje surowa petrarkijska kanzona, kiedy w języku dostrzegamy wyraźny wpływ studyów klasycznych, tak np. składnia i liczne zwroty są na łacinie wzorowane. Ukryty pod pseudonimem sam Leopardi napisał krytyczną recenzyę tego zbioru poezyi, chłoszcząc w zjadliwych wyrazach ignorancyę rodaków („*Nuovo Ricoglitore*", Medyolan, 1825 r.): „Oto dziesięć kanzon i więcéj niż dziesięć wybryków. Po pierwsze: Między dziesięcioma kanzonami żadnéj miłosnéj. Powtóre: Nie wszystkie i nie zupełnie pisane w stylu Petrarki. Po trzecie: Styl w nich nie arkadyjski; nie znajdziesz w nich ani stylu Chiabrery, ani Testiego, ani Filicai, ani Guidi'ego, ani Manfrediego, ani Pariniego, ani Montiego; słowem, nie podobne są do żadnéj lirycznéj poezyi włoskiéj. Po czwarte: Nikt nie odgadnie ich treści z tytułów; często nawet od pierwszego wiersza

---

Josias Frhr. v. Bunsen. *Aus seinen Briefen und nach eigener Erinnerung geschildert von seiner Witwe*, t. I, Lipsk, 1868, str. 224.

przybiéra poeta kierunek, któregoby się czytelnik najmniéj spodziéwał. Naprzykład oda na ślub, ani o łożu małżeńskim, ani o pasku, ani o Afrodycie, ani nie mówi o hymenie. Canzona do Angela Mai mówi o wszystkiém, tylko nie o manuskryptach. Oda do zwycięzcy w turnieju nie jest naśladowaniem Pindara; inna do wiosny nie opisuje ani łąk, ani krzaczków, ani kwiatów, ani gazonów, ani liści. Po piąte: Motywy opracowane w nich nie mniéj są nadzwyczajne. Jedna nosi tytuł: „Ostatni śpiew Safony", ma odmalować nieszczęścia duszy subtelnéj, czułéj, szlachetnéj i kochającéj, umieszczonéj w ciele zarazem brzydkiém i młodém; przedmiot takie nastręczający trudności, że nie przypominam sobie sławnego autora w starożytnych lub naszych czasach, któryby się zużytkować go ośmielił, z wyjątkiem pani Staël, która traktuje go we wstępie do Delfiny, ale w odmienny sposób. Inna kanzona, zatytułowana: „Hymn do patryarchów", zawiéra panegiryk obyczajów Kalifornii i twierdzi, że wiek złoty nie jest bajką. Po szóste: Wszystkie pełne są lamentu i melancholii, jakby świat i ludzie byli czémś smutném i jakby życie ludzkie było nieszczęśliwe. Po siódme: Nie czytając ich z uwagą, nie rozumié się nic; tak, jak gdyby Włosi czytali z uwagą. Po ósme: Zda się, jakoby poeta pisząc je, postawił sobie za zadanie zmusić czytelników do myślenia, — tak, jak gdyby powinno coś zostać w głowie, gdy się włoską książkę czyta, lub téż jak gdyby to już był czas do zbiérania myśli, zanim się pisać rozpocznie. Po dziewiąte: tyle tam znajduje się dziwactw, ile sądów np. że po odkryciu Ameryki ziemia wydaje się nam mniejszą niż przedtém; że przyroda przemawiała do starożytnych, inaczéj powiedziawszy, umiała ich natchnąć, nie odsłaniając przed nimi swych tajników; że im więcéj odkryć czyni się w naukach przyrodniczych, tém bardziéj wzrasta w wyobraźni naszéj pojęcie o nicości wszechświata; że wszystko na téj ziemi jest czczością, oprócz cierpienia; że cierpienie lepszém jest od nudy; że nasze życie tylko uczucie pogardy wzbudzić może; że wobec istnienia złego, téj egzystencyi koniecznością pocieszają się duchy pospolite, nie zaś wielkie, że wszystko we wszechświecie jest tajemnicą, oprócz naszego nieszczęścia. Po dziesiąte, po jedenaste, po dwunaste i t. d."

O swém ówczesném życiu, o swéj beznadziejności, o zupełnym braku możności wyrwania się z pęt tego życia, pisze poeta w maju 1825 r. do Giordani'ego („*Epistolario*", t. I, str. 352 i 353): „Pracuję dniem i nocą, o ile zdrowie moje mi pozwala. Gdy mi odmawia pozwolenia, przechadzam się w przeciągu miesiąca po pokoju, tam i napowrót; potém znowu powracam do pracy; oto jest moje życie. Co się zaś tyczy rodzaju moich studyów, to uległy one zmianie, ponieważ i ja

zmieniłem się. Wszystko co trąci czułością i patetycznością nudzi mię, wydaje mi się żartem i śmiesznem dzieciństwem. Ja potrzebuję tylko prawdy, którą wcześniéj tak nienawidziłem i do któréj taki wstręt czułem. Z prawdziwą rozkoszą sięgam coraz to głębiéj w nędzę ludzi i rzeczy, dotykam jéj i zimny dreszcz czuję, zgłębiając tę nieszczęsną straszną tajemnicę życia. Dostrzegam wprawdzie, że odkąd namiętności zgasły we mnie, nie znajduję w studyach żadnego innego źródła zadowolenia, oprócz czczéj ciekawości, któréj zaspokojenie również jest rozkoszne, czego dotychczas pojąć nie mogłem, dopóki mi w sercu ostatnia tlała iskierka. Wiodę tu żywot beznadziejny. Chętnie rzuciłbym się w ramiona przypadkowi, któryby mi pozwolił zarobić w jakiém wielkiém mieście piórem na kawałek chleba; lecz nie widzę żadnéj drogi do zdobycia tego, co by mi pozwoliło nie umrzéć z głodu, nazajutrz po opuszczeniu domu. To téż obecnie nic robić i niczego spodziewać się nie mogę."

Udając się następnie w Lipcu 1825 r. przez Bolonię do Medyolanu, na wezwanie księgarza Stelli, w sprawie wydania i przekładu Cycerona, Leopardi spodziewał się ujść ze szponów śmierci. Już wszakże w początkach Października znajdujemy go znowu w Bolonii, po odrzuceniu téj nieodpowiadającéj jego zapatrywaniom wydawniczéj propozycyi. W Bolonii żył z lekcyi oraz z dziesięciu skudów miesięcznéj zaliczki, wypłacanych mu przez Stellę na poczet dzieł, które po napisaniu miały się ukazać nakładem tego wydawcy.

Z miasta owego wydalił się Leopardi tylko nakrótko dla odwiedzenia Rawenny; bawił w niéj do Listopada następnego roku, dokonawszy przez ten czas przekładu męczeństwa świętych ojców z góry Sinai, na język włoski XIV wieku, naśladując tak doskonale styl i formy językowe, że praca ta uchodziła za dzieło z epoki Dantego. Po za tém opracował nowe wydanie Petrarki i zaopatrzył je objaśnieniami, które przez swą zwięzłość i trafność sądu wyrobiły mu opinię wytrawnego znawcy języka ojczystego, co poprzednio, przy innych jego pracach, miało miejsce z językami starożytnymi. To wydanie Petrarki ukazało się następnie nakładem księgarskiéj firmy Le Monnier we Florencyi i należy do najbardziéj rozpowszechnionych. Na ten czas wreszcie przypada nowy zbiór poezyi i przekładów Leopardiego, wydany 1826 r., w którym znajduje się piękny wiersz do Carla Pepoli'ego i wiele drobnych prozaicznych pism, drukowanych poprzednio częścią we Florenckiéj „Antologia", częścią zaś w Medyolańskiem piśmie „Raccoglitore."

Podczas tego pobytu w Bolonii poznał Leopardi hrabinę Malvezzi, kobietę wielkiego wykształcenia, a przytem niepospolitego ducha, studyującą z zamiłowaniem łacińskich pisarzy, czego pięknym dowodem jest

dokonany przez nią przekład *„Somnium Scipionis"* Cycerona. Leopardi często się z nią spotykał, przy czem rozpłomieniało się łatwo zapalające się serce nieszczęśliwego poety; swój stosunek do niéj sam najlepiej maluje w liście do brata Karola (*„Epistolario"* T. I, str. 456): „Poznałem kobietę, która teraz większą część życia mi wypełnia. Nie jest ona młodą, lecz posiada wdzięk i piękną duszę, które młodość zastępują, czasowych złudzeń stając się powodem. (Wierz mi, ponieważ tego poprzednio nie uważałem za możliwe). W pierwszych dniach po jéj poznaniu opanował mnie pewnego rodzaju szał i gorączka. Mówiliśmy ciągle w żartach o miłości, łączyła nas wszakże tylko tkliwa, pełna łagodnego uczucia przyjaźń, związana z zobopólném zaciekawieniem i wzajemnem oddaniem się, co zdaje się być miłością, pozbawioną niepokoju. Ceni mnie ona wysoko; kiedy jéj co z utworów mych przeczytam, nieraz płacze serdecznie, lecz bez affektacyi; wszelkie pochwały są mi obojętne, te jednak co z jéj ust pochodzą, burzą mi krew i zniewalają duszę. Miłuje filozofię oraz umiejętności wyzwolone i jest znawczynią w ich zakresie; nigdy nie brak nam przedmiotu do rozmowy, prawie co wieczora bawię u niéj odkąd zadzwonią na Anioł Pański aż do północy i czas ten chwilą mi się wydaje. Zwierzamy sobie wszystkie nasze tajemnice, karcimy się wzajemnie, zwracamy sobie uwagę na błędy nasze. Jedném słowem znajomość ta stanowi godną uwagi epokę w mojém życiu, strzegąc mnie od zbłądzenia i przekonywując, że są jeszcze na tym świecie uciechy, które za niemożliwe uważałem, oraz że jestem jeszcze zdolny do dłuższych złudzeń, sprzeciwiających się poznaniu i zakorzenionym we mnie odmiennym przyzwyczajeniom. Ona obudziła serce moje ze snu, a właściwie z zupełnéj martwoty, w któréj od tylu lat spoczywało".

Pomimo to zobopólna skłonność nie posunęła się daléj. Nic się przynajmniéj o tém nie dowiadujemy ni z listów poety, ni z jego biografii, skréślonéj przez Ranieri'ego. Zdaje się wszakże, iż kobiecie spragnionéj rozgłosu w sferach literackich, w których obracał się Leopardi, pochlebiało to uwielbienie, bynajmniéj przez poetę nie ukrywane; nie darzyła jednak wzajemnością schorowanego wielbiciela, który przez długi czas łudził się, że ją posiądzie, a gdy mu się oczy otworzyły, rozczarowanie swe srodze przebolał.

Zimę 1826/27 r. przepędził Leopardi w Becana; z nadejściem wiosny spotykamy go na drodze do Florencyi. Po krótkim pobycie w Bolonii, w czerwcu przybywa do stolicy Toskańskiéj na czas dłuższy — tu jednak dotkliwe cierpienie oczu męczyło go przez całe lato, nie pozwalając opuszczać domu, ani téż pracować. Tylko odwiedziny rozmaitych wybitnych osób, Włochów i cudzoziemców, bawiących we

Florencyi, jak np. Niccoliniego, Gino Capponi'ego, Frulani'ego, Giordani'ego, Colletty, Manzoni'ego który tu przybył z Medyolanu, wreszcie Bunsena, co w przejeździe do Rzymu dowiadywał się czy odniosły skutek starania się jego o posadę — osładzały samotność i cierpienia Leopardiego, oddalając od niego czarne duchy melancholii, napastującéj poetę podczas téj przymusowéj bezczynności. Zimę 1827/28 roku przepędził w Pizie, znęcony łagodnym klimatem tego miasta. Nieźle mu się tu wiodło i we wszystkich listach chwalił doskonałe powietrze, ciepły blask słoneczny, piękność miasta i uprzejmość jego mieszkańców. Napisał tu parę drobiazgów prozą, najwięcéj zaś czasu poświęcił ułożeniu wypisów włoskich, które w dwu tomach wyszły w tymże roku, nakładem Stelli w Medyolanie. Lato 1828 r. znowu przebył we Florencyi, szczęśliwiéj niż przed rokiem, skarżąc się wszakże niemal w każdym liście na lichy stan zdrowia. Spotkał tu znowu starych przyjaciół, zbierających się przeważnie w czytelni wydawcy „Antologii", księgarza Viesseux. W kole tém położono podwaliny pod odrodzenie Włoch, dążąc drogą studyowania umiejętności historycznych i prawnych do wykształcenia narodowéj partyi liberalnéj, która odrzucając tajemne związki i spiskowanie, domagała się prawa swobodnego rozwoju, liberalnych instytucyi oraz usunięcia obcych wpływów—i wszystko to ostatecznie zdobyła. Leopardi obracał się w tém kole, zachowując się jednak chłodno w obec jego dążeń, nie dla tego by miał hołdować absolutyzmowi (jak się tego dowieść starają Witte[1]) i Rath), lecz ponieważ na zasadzie swych pesymistycznych poglądów filozoficznych na naturę człowieka i społeczeństwa, nie wierzył w taką doskonałość ni wogóle ni też w jednostkach. O dążeniach owego koła pisze poeta do Giordani'ego (E p i s t o l a r i o, T. II str. 98): „Widuję się tylko z Viesseux'm i jego towarzyszami; w ich zaś nieobecności, co się często zdarza, czuję się tu jak w pustyni. Zresztą poczyna mnie już irytować wyniosła pogarda dla piękna i literatury, z którą tu się każdy otwarcie nosi, zwłaszcza, iż mi się w głowie pomieścić nie może, by korona ludzkich umiejętności miała tkwić na szczycie polityki lub statystyki. Co więcéj, ta namiętność do liczb, owe polityczne i prawodawcze urojenia rozśmieszają mnie poniekąd, przywodząc mi na pamięć filozoficzne rozważania szeregu prób, czynionych, poczynając od Sofoklesa aż do dni naszych, a zmierzających do ulepszenia ustroju

---

[1]) Witte, który w kole tém poznał Leopardiego, i pisząc w parę lat potém recenzyę o niemieckich przekładach Kannegiessera z tego poety, opowiada o swoich z nim stosunkach, pomieszał polityczne pisma Leopardich ojca i syna, ztąd chaos i nieporozumienie.

państwowego i zapewnienia ludom szczęścia — prób, których zupełną nieużyteczność właśnie te rozmyślania mi wykazały, i pokornie zapytuję; czy można zapewnić szczęście ludom, nie dając go jednostkom. Są one przez samą przyrodę skazane na niedolę, nie zaś przez człowieka, ni przez przypadek. I jako pociecha w tak nieuchronném nieszczęściu zdaje mi się posiadać pewną wartość zagłębianie się w istotę piękna, namiętność, fantazya i szereg rozmaitych złudzeń. Sądzę więc, że to co zachwyca, jest rzeczą najpożyteczniejszą z pożytecznych, więc i literatura w istocie jest pożyteczniejszą niż wszystkie te w najwyższym stopniu suche umiejętności, które choćby i osiągnęły swój cel, nie wiele przyłożyłyby się do rzeczywistego szczęścia ludzi, będących przecie jednostkami a nie ludami. Lecz kiedy one swój cel osiągną? Chciałbym, ażeby mi to rozjaśnił który z naszych profesorów „umiejętności historycznych”.

Zdanie swe o tym kierunku jeszcze obszerniéj i wyraźniéj wypowiada poeta w wierszu zwróconym do Gino Capponi'ego. Wyśmiewa tam mrówczą pracę statystów, dziennikarską zmienność zapatrywań politycznych, przemowy o wolności i braterstwie, postęp w przemyśle i wogóle rodzaje przepisów na poprawę świata.

Pogląd ten na beznadziejność panujących wówczas na świecie stosunków jest następstwem oddziaływania na poetę jego cierpień osobistych i obejdzie się bez komentarzy, kiedy wspomnimy, że rozwinął się w czasach restauracyi, w takim kraju, jak Włochy, które jęczały pod uciskiem systemu Metternicha, kiedy sam naród ciemiężony na poczekaniu z pośród siebie potrzebne do sprawowania rządów niecne dostarczał kreatury. Nie godzi się wszakże piętnować Leopardiego mianem wrogo usposobionego dla wolności. Błędem z jego strony było tylko to, że w owéj sprawie zajął absolutne niepraktyczne stanowisko, z którego nie mógł wprost dojrzéć celu, zakreślonego przez obcujące z nim koło, a mogącego, jak przyszłość pokazała, być osiągniętym.

W lecie 1827 r. zakończył życie młodszy brat poety, Luigi. Zgon jego, stanowcze żądanie rodziny, która po długiéj rozłące pragnęła mieć Giacoma przy sobie, głównie atoli brak środków, pozwalających prowadzić byt samoistny w dali od Recanati, zniewoliły go do powrócenia w jesieni do domu. Czego się tam spodziewał, wypowiada w liście do przyjaciółki w tych paru słowach: „Oczekuje mię w Recanati straszna noc”. (E p i s t o l a r i o, T. II str. 91).

I rzeczywiście: przeczucie nie zawiodło go; bawił w rodzinném mieście od Listopada 1828 r. do Maja 1830; wyjechawszy wtedy, nigdy już do Recanati nie powrócił.

Czas ten należy do najposępniejszych okresów jego życia; nie był w możności tworzyć, a myśli trawiły go; w listach nazywa Recanati swém więzieniem, piekłem, a życie w niém — męką czyscową; dalej znów mówi: „Skonałbym ze złości, obrzydzenia i melancholii, gdyby się z tego umiérało". Szuka rozmaitych sposobów dla wyrwania się z domu, lecz w wielkiéj jego ojczyźnie, nie było dlań miejsca. Nareszcie ofiarowano mu w Parmie, jakby na szyderstwo — profesurę nauk przyrodniczych. Najgorszą była dla poety zima 1829/30 r., mroźna i niezwykle długa. Wtedy to właśnie powstał wiersz „*Le ricordanze*" (Wspomnienia), w którym w gorzkich wyrazach skarży się na ojczyznę i zmarnowane życie. Sądził, że w wierszu tym wyśpiewał sam sobie pieśń grobową; lecz powracająca wiosna znów go ożywiła, dobywając mu z piersi prześliczną pieśń przebudzenia (*Il risorgimento*).

Zapewne nowemi siłami natchnęła go i na duchu podniosła nadzieja wydobycia się po ośmnastomiesięcznym pobycie z owego rekanateńskiego więzienia. Nieszczęśliwi zawsze szukają po za sobą źródła swych cierpień i sądzą, że wyzwolą się z pod ich władzy, zmieniając miejsce pobytu, porzucił więc Leopardi po raz ostatni ojczyste miasto i rodzinę, by już nigdy ich nie ujrzéć. W Maju 1830 r. przez Bolonię udał się do Florencyi.

I znowu rozpoczęło się dawne życie i stosunki z przyjaciółmi, trwające do 1 października 1831 r. Ponieważ Leopardi się przekonał, że nie jest już w możności pracować, mianowicie zaś nie poczuwał się do sił, potrzebnych do opracowania i uporządkowania mnóstwa filologicznych manuskryptów, powierzył je więc przyjacielowi, filologowi szwajcarskiemu, Ludwikowi von Sinner, który uczynił pomiędzy nimi wybór i ogłosił go drukiem p. t. *Excerpta ex schedis criticis Jacobi Leopardii, comitis. Bonnae*, 1834. Sposobność korzystania z rękopisów filologicznych Leopardiego mieli również redaktorowie nowego wydania Didot'a dzieła Henryka Stephanusa: *Thesaurus, lingue graecae.* Po śmierci Sinnera rękopisy te złożono we Florencyi w Biblioteca Magliabecchiana, gdzie się dotychczas znajdują.

Podczas pobytu we Florencyi Leopardi wydał nowy zbiór swych poezyi (*Canti del Conte Giacomo Leopardi, Firenze, per Guglielmo Piatti*, 1831), złożony z dwudziestu trzech utworów, pomiędzy któremi znajdowało się wiele nowych, powstałych po wydaniu edycyi bolońskich (r. 1824 i 1826). Poświęcił go swym przyjaciołom florenckim, żegnając się w tém poświęceniu z ulubionemi studyami w następujących wyrazach. „Spodziewałem się, że ukochane przezemnie studya byłyby mi w moim wieku podporą i sądziłem, że po utracie wszystkich innych uciech oraz przyjemności, związanych z dzieciństwem i młodocianemi

laty, znajdę w nich skarb, którego mi ni przemoc, ni los zawistny, nigdy odebrać nie będą mogły. Już wszakże w dwudziestym roku życia jedyne to dobro zostało mi do połowy zmniejszone wskutek słabości oczu i całego organizmu, która mi wprawdzie nie odebrała życia, lecz i nie dała nadziei rychłego zgonu — obecnie zaś zaledwie w dwudziestym ósmym roku, dobro to w zupełności i, o ile sądzić mogę, już na zawsze zostało mi odebrane. Nie wolno mi się skarżyć, drodzy moi przyjaciele, przeświadczenie o wielkości mojego nieszczęścia nie pozwala mi na to. Wszystko postradałem; jestem suchym pniem, który wszakże czuje jeszcze i cierpi. Was tylko pozyskałem w tym czasie, i wasze towarzystwo, zastępujące mi pracę i wszelkie inne uciechy, ukołysałoby prawie doszczętnie moje cierpienia, gdyby właśnie te moje cierpienia pozwoliły mi tak się niém cieszyć, jakbym tego pragnął i gdybym nie wiedział, że los pozbawi mnie i téj jedynéj rozkoszy, zniewalając mię do przepędzenia pozostających mi lat żywota, zdala od wszelkiéj uciechy, jaką towarzystwo podobnych wam ludzi dać może w takiém miejscu, gdzie umarli lepiéj od żywych się czują. Lecz pozostanie mi miłość wasza i trwać będzie może jeszcze wtedy, kiedy to martwe już ciało, w popioły się rozsypie".

Z owych przyjaciół, pomijając Ranieri'ego, o którym również tu mowa będzie, duchowo najbliższymi byli mu Giordani i Colletta. Dla scharakteryzowania całego koła i samego poety oraz dla ocenienia przynajmniéj jednego, przez obu reprezentowanego, kierunku literackiego o mężach tych nieco obszerniej pomówić należy. Usprawiedliwi to zresztą i znaczna ilość ich listów, pisanych do Leopardiego, podobnież jak i liczne jego odpowiedzi. Naturalnie, iż cała wymiana listów pomiędzy poetą, a témi, tak wybitne stanowisko w literaturze włoskiéj zajmującemi osobistościami, została dawno drukiem ogłoszoną.

Pietro Giordani liczył już 43 lat, wiele przeżył i posiadał znane już w ojczyznie swéj nazwisko, kiedy ośmnastoletni Leopardi listownie z Recanati doń się zwrócił, przesyłając mu parę pierwszych swych prac filogicznych, za pośrednictwem Stelli, księgarza z Medyolanu, gdzie przemieszkiwał Monti, wybitny naówczas poeta, Mai, najznakomitszy z włoskich filologów i gdzie przebywał również Giordani, biorący udział w wydawnictwie *Biblioteca Italiana*, poświęconém literaturze, sztuce i nauce. Giordani mial już natenczas czynną przeszłość za sobą. Urodzony w początkach 1774 r. w Piacenzy, uczęszczał do miejscowego kolegium św. Piotra, gdzie go wyróżniała gorliwość i znajomość starożytnych języków. W dalszym ciągu prowadził studya na uniwersytecie parmeńskim; tamże się doktoryzował i otrzymał dyplom adwokacki. Dla uniknięcia wywieranego nań przez matkę, a ograni-

czającego horyzont jego myśli, wpływu, wstąpił do klasztoru i został Benedyktynem w r. 1797. Po zwycięstwie Francuzów pod Marengo i przejściu północnych Włoch pod panowanie Napoleona, porzuciwszy klasztor, udał się do Medyolanu, gdzie został mianowany sekretarzem organizującego się w mieście tém rządu tymczasowego. Na tém stanowisku odznaczył się, jako pożyteczny pracownik i awansując po szczeblach administracyi doszedł w r. 1802 do jeneralnego sekretarstwa prefektury niższego okręgu rzeki Po. Lecz przemiana porządku rzeczy, zaszła we Włoszech, a z taką początkowo radością powitana przez wszystkich zwolenników postępu i nowożytnych idei, pod nową władzą coraz to większą poczęła wszystkich poić goryczą — co, w połączeniu z dążeniem młodego uczonego do pracy naukowéj, zniewoliło go do porzucenia swego stanowiska i poszukiwania innego, bardziéj odpowiadającego jego pragnieniom i zdolnościom. Ofiarowano mu katedrę nauk przyrodniczych w liceum w Como, któréj naturalnie przyjąć nie mógł, poczém w r. 1803 r. sprawował zastępczo obowiązki profesora wymowy łacińskiéj i włoskiéj na uniwersytecie bolońskim, będąc jednocześnie koadjutorem przy miejscowéj bibliotece. Skromna pensya zniewalała go do uzupełniania środków na życie przepisywaniem, z którego to zródła jeszcze więcéj dochodu czerpać był zmuszony, gdy mu jedno z zajmowanych miejsc odjęto pod pozorem, że pełnienie dwu obowiązków przez jednę i tę samą osobę sprzeciwia się regułom administracyjnym. W 1803 r. otrzymał z Rzymu zwolnienie od ślubów zakonnych, wkrótce poczém opuściwszy Bolonię, nie bacząc na szczupłe środki, przedsięwziął wędrówkę po kraju, dla obeznania się z jego stanem. Już w r. 1802 rozpoczęła się piśmiennicza jego działalność, dopiéro wszakże wypowiedziana w d. 16 Sierpnia 1807 r. w Cesena pochwalna mowa, któréj przedmiotem był Napoleon, pozyskała mu wielki rozgłos. Wszakże bynajmniéj nie oddziałało to korzystnie na jego losy, ponieważ przed potężnym władcą w służalczych pochlebstwach się nie płaszczył, co naówczas niezbędne było do zrobienia karyery.

Poczynając od maja 1808 roku, aż do sierpnia 1815 r., był Giordani podsekretarzem w akademii bolońskiéj; wtedy to powstawały doskonałe jego rozprawy, śród których wyróżnić należy pochwalną mowę na Canovę. Po upadku Napoleona rząd papieski wydalił Giordaniego z Bolonii, pod pozorem, że nie zrodził się w państwie papieskiém, właściwym jednak owego wydalenia powodem, była mowa, którą wypowiedział w mieście tem podczas uroczystego obejmowania władzy papieskiéj przez delegata stolicy apostolskiéj, ks. Giustinianiego. To zmusiło go do przesiedlenia się do Medyolanu, kędy go nawiedziły

pierwsze listy Leopardiego. Niebawem wszakże miasto to opuścił, udając się do Parmy, gdzie mu ofiarowano katedrę języka i literatury greckiéj, oraz urząd sekretarza uniwersytetu i zkąd dopiero po śmierci ojca, umożliwiającej mu, dzięki odziedziczonemu majątkowi niezależną egzystencyę, przeniósł się w r. 1817 do Piacenzy. Odtąd przebywał na przemiany w Wenecyi, Bolonii, Szwajcaryi i Rawennie; w r. 1822 bawiąc w Turynie, dowiedział się, że, jako podejrzanemu o udział w spisku Carbonarów, wzbroniono mu powrotu do Lombardyi, po dwu latach zakaz ten objął i Parmę. Udał się tedy do Toskanii, która naówczas dawała schronienie tylu innym wygnańcom i zajął się we Florencyi gorliwie współpracownictwem w wydawanéj przez Viesseux'a „Antologii", o któréj nieraz już powyżéj wspominaliśmy. Ztąd to zwiastował on światu w gorących wyrazach imię i wielkość Leopardiego, tu też w r. 1827 dzień w dzień z nim, jako przyjaciel, w kole powyżéj wymienionych mężów obcował. W listopadzie 1830 r. wydalono Giordaniego i z Florencyi, że jednak przez ten czas zniesiono zakaz pobytu w Parmie, udał się więc do tego miasta. Tu wreszcie, złamany na ciele i duchu, w d. 1 Września 1848 r. życie zakończył.

Ze względu na wykształcenie swoje i poglądy, Giordani jest dziecięciem XVIII w.; wyrósł on na tym samym gruncie, co i encyklopedyści. Posiadając niepospolitą erudycyę, wszechstronnością swą i kierunkiem studyów, podobny był uczonym epoki aleksandryjskiéj — pisma zaś jego przypominają częścią Lucyana, a częścią Senekę. Talent Giordaniego najświetniej przejawia się w drobnych rozprawach rozmaitéj treści, większego bowiem dzieła nie stworzył, nosząc się tylko przez całe życie z planami. Dla romantycznego kierunku w literaturze, który się pojawił w początku drugiego dziesiątka bieżącego stulecia, a o którym niżéj obszerniéj pomówimy, nie miał zmysłu, zachowując się względem niego raczéj nieprzychylnie. Talent Giordaniego przejawił się głównie w formie jego utworów, odznaczających się wytwornym stylem oraz czystym, prostym językiem. Wzorując się na zabytkach piśmiennictwa greckiego, był on zapamiętałym wrogiem gallizowania języka włoskiego, które w dwu ostatnich stuleciach, tak się rozpanoszyło w jego ojczyźnie. Jakkolwiek przez całe życie hołdował idejom narodowym i liberalnym, dla nich pracował i cierpiał za nie, zdaje się, że nie żywił sympatyi dla ruchów 1847 i 1848 r. Zbyt się może już naówczas zestarzał i zobojętniał, albo też przeczuwał bezskuteczność dążeń, mających na celu zreformowanie papiestwa i postawienie go na czele Włoch.

O literackiej swéj działalności w jednym z listów do przyjaciela mówi temi słowy: „Prace moje są drobiazgami. Gdyby czyniono po-

ważniejsze studya, nie obsypywano by ich tak rozrzutnie pochwałami. Mam nadzieję, że kiedyś będziecie czytali lepsze rzeczy; będzie to jednak zawsze niczém dla tego, który tworzyć chce i umié, a czego mi odmówiła natura oraz okoliczności.[1])

Przyjaźń jego dla młodszego o dwadzieścia cztery lata Leopardiego jakkolwiek zbyt obfituje w wyrazy, jest niemniéj wzruszającą. Wszakże z jego sposobu wyrażania się musimy wiele odliczyć na karb pieszczotliwéj formy korespondowania, którą na południu Europy posługują się i mężczyźni. Przyjaźń łącząca Giordaniego z Leopardim była głównie spowodowana współczuciem, jakiém go przejmowały cierpienia poety, co, prawie jeszcze dzieckiem będąc, otworzył serce swoje przed mężem, u którego znalazł zrozumienie i pracy swojéj i bólów, czego znaleźć nie mógł w swém otoczeniu w Recanati. W maju 1828 roku (*Epistolario*, II str. 80) pisze Leopardi do Giordaniego: „Ostatniego roku poznałeś mię lepiéj niż przedtém (mieszkali razem we Florencyi); mogłeś widzieć, że jestem niczém, nieraz ci o tém mówiłem; to samo powtarzam wszystkim tym, którzy chcą się dowiedzieć czegokolwiek o mojém życiu w istocie. Lecz przez to nie zmniéjszy się twoja dla mnie życzliwość, oparta na przymiotach mojego serca, oraz na owéj dawnéj, czułéj miłości, którą zaprzysiągłem tobie w najwcześniejszym mego nieszczęśliwego żywota rozkwicie, któréj zawsze ci potém dochowywałem i dochowam aż do śmierci. I wiesz (albo przypomnij sobie), że, z wyjątkiem mojéj rodziny, jesteś jedynym człowiekiem, którego miłość wydawała mi się zawsze schronieniem oraz kolumną do podparcia zmęczonego mego żywota". Wszakże z drugiéj strony serdeczny ten stosunek, opiéra się na jednakowéj filologicznéj podwalinie wiedzy ich i zdolności, wreszcie ze strony Giordaniego na uznaniu w Leopardim wielkości i poetyckiego geniuszu oraz na błędnym kierunku romantycyzmu, który podług mniemania Giordaniego, powinien był znaleźć w młodym rekanateńczyku groźnego przeciwnika.

W podobnych warunkach co i z Giordanim zaprzyjaźnił się poeta z Collettą. Starszy o dwadzieścia trzy lata od Leopardiego, miał on za sobą czynny żywot, był już bowiem mężnym wodzem, inżynierem cywilnym, konstytucyjnym ministrem wojny w czasie ruchów neapolitań-

---

[1]) Najkompletniejsze wydanie jego utworów zostało opracowane przez A. Gussalli'ego (Medyolan, 1854) i mieści się w 13 tomach z dodatkiem. Pierwsze siedm tomów zawierają życiorys oraz obszerną korespondencyę, stanowiącą ważny przyczynek do dziejów ówczesnego ruchu literackiego i politycznego. Wybór pism jeszcze za życia Giordaniego ukazał zię we Florencyi w 1846 r. powiększony w trzeciém wydaniu (Florencya, Le Monnier, 1857) do dwu tomów z dodatkiem.

skich 1820 r., więźniem stanu w zamku St. Elmo i w Brünn, w czasach zaś o których obecnie mówimy pędził, jak wielu innych znakomitych Włochów, wygnańczy żywot we Florencyi. Jego poglądy polityczne i literackie dążenia opierają się na hasłach wielkiéj rewolucyi, na którą własnemi patrzał oczyma i do któréj brzemiennych w następstwa dla jego ojczyzny wypadków sam czynną przyłożył rękę. Wrogo usposobiony dla dążeń restauracyi oraz dla rozkwitającego w owe właśnie czasy romantyzmu, nie widział wszakże po swojéj stronie przeważnéj części młodego pokolenia i tylko w Leopardim, podobnież jak i Giordani, powitał wschodzącą gwiazdę nowych czasów. Sam wykształcony przez życie praktyczne, przez studya matematyczne oraz lekturę Tacyta, nie mógł się bynajmniéj zachwycać średniowiecznemi upodobaniami romantyków, ich starożytnym, napuszonym i przesadzonym stylem, oraz dokonywanemi przez nich wykopaliskami zdań całych i wyrazów. Sam chory i złamany, w przeciągu ostatnich lat życia zajęty był prawie że wyłącznie pisaniem „Historyi królestwa neapolitańskiego, od 1734 do 1825 r." Nie mając majątku, żył w cichém odosobnieniu, poświęcony tylko pracy, która wydawała mu się zadaniem jego życia i do któréj nikt nie dorósł w takim jak on stopniu, ponieważ od wejścia Francuzów, aż do swego wygnania albo we wszystkiém, o czém opowiada i to na wybitnych stanowiskach, brał udział, albo téż był naocznym i to bardzo bliskim świadkiem, zaszłych naówczas wydarzeń. Leopardi zetknął się osobiście z Collettą dopiéro, jak się zdaje, w Pizie w 1820 r. Nieznośne położenie, w jakiém się poeta znajdował w Recanati zimą 1828/29 r. spowodowało to, że się zwrócił do Colletty, rozwodząc się w gorzkich skargach nad niemożliwością pozyskania zasiłku od ojca oraz nad zerwaniem stosunku z księgarzem Stellą. Daléj pisze (*Epistolario* II str. 122): „Gdybym tylko znalazł jaką posadę, na któréj nie wiele potrzebowałbym pracować, mam tu na myśli publiczną zaszczytną posadę (bowiem takie nie wymagają zwykle wielkiéj pracy) przyjąłbym ją jaknajchętniéj; tu w państwie rzymskiém, gdzie wszystko tylko dla księży jest i dla mnichów, nie mogę atoli znaleść nic podobnego; a po za krajem cudzoziemiec jakiéż może miéć nadzieje otrzymania posady"? Daléj mówi o swoich planach literackich: „Same już tytuły dzieł, które chciałbym napisać, parę stron zajmują, a do wszystkich mam mnóstwo materyału, częścią w głowie, częścią już na papier rzuconego". Coletta ze swéj strony wypowiada nadzieję zobaczenia go znowu w krótkim czasie we Florencyi, mówi o swéj Historyi, z któréj sześć ksiąg już wykończył, dodając, że pozostałe cztery księgi w przeciągu dwu lat opracować zamierza. Spodziewa się ze strony Leopardiego wielu

rad oraz poprawek przy przeglądaniu tego dzieła i dodaje (*Epistolario*, II str. 414): „Mam nadzieję, że będziesz pisał, że uszczęśliwisz przyjaciół tym dowodem lepszego zdrowia, że uradujesz Italię i nauczysz. Nigdy piękny styl nie był tak, jak teraz, potrzebny; ponieważ nawet ci, co chcą pisać czystym językiem, sądzą, że znaleść go można w autorach XIII-go wieku, oraz że język ten jest lepszy, im więcéj zawiéra wyrazów i zwrotów z tego czasu. Poglądy te, w połączeniu z zamiłowaniem trudności oraz stosowania niespotykanych we współczesnym języku wyrażeń, sprowadzają zawikłania, codziennie uszy nasze i mózg biczujące. Ty, Giordani i kilku jeszcze innych umiécie połączyć z czystością jasność oraz szlachetność stylu. Giordani jest bankrutem, na innych spuścić się nie chcemy, któż pozostanie, jeżeli Leopardi nas opuści? Pisz, mój przyjacielu, nie zabijaj zarodka piękna, który przyroda oraz nauka złożyły w tobie." Jakie wyobrażenie miał Colletta o znaczeniu Leopardiego wypływa z drugiego listu („*Epistolario*", II, str. 418), w którym powiada: „Nie ogłosiłbym mojego dzieła, zanim był go nie przeczytał i nie poprawił. Sto razy bez trwogi, w niebezpieczeństwie, śmierci czoło stawiłem, a przedłożenie publiczności dziesięciu ksiąg historyi dreszczem mnie przejmuje. Teraz, gdy pewien smak, tak obcy mojemu stylowi, wyniośle i zwycięsko przez Italię przeciąga, pisma moje mogą się niepodobać. Zawsze żywiłem nadzieję, że duchy Giordaniego i Leopardiego, nie bacząc na głupstwa mody, wzniosą się nakształt dwu pomników i że my, autorowie mniejszéj miary, w ich cieniu spoczywać będziemy mogli; nieliczni i słabi pozostaną tylko wystawieni na strzały romantyzmu."

Leopardi zaś wylicza dzieła, które jeszcze napisać zamierza („*Epistolario*", II, str. 128); Colletta, podobnież jak i Botta, radzi mu ogłosić na nie przedpłatę, gdy wszakże na to Leopardi nie zgodził się, Colletta przy pomocy swych przyjaciół zebrał sumę, która umożliwiła nieszczęsnemu poecie opuszczenie Recanati i przesiedlenie się do Florencyi. Leopardi przyjmuje to z zachwytem i rozrzewnieniem, pisząc do Colletty („*Epistolario*", II, str. 144): „Po szesnastu miesiącach strasznéj nocy, po życiu, przed którém niech Bóg strzeże najgorszych wrogów moich, list twój stał mi się pierwszym światła promieniem, bardziéj błogosławionym, niż pierwszy błysk świtania w okolicach podbiegunowych.

Jak to już wyżéj widzieliśmy, nie spełniła się nadzieja Colletty: Leopardi nie zdobył się na nowe dzieło — mógł on zaledwie zająć się przygotowaniem nowego (1831 r.) wydania swych poezyi, przyczém przejrzenie i korektę zmuszony był powierzyć swym przyjaciołom. Colletta sam był chory, forma poświęcenia: „Moim florenckim przyjaciołom" nie spodobała mu się, ponieważ Leopardi zmieszał go w niém bez różnicy wraz z innymi przyjaciółmi. Nie mógł on często odwie-

dzać biédnego poety, gdyż sam właśnie ciężko zapadł na zdrowiu i zmarł już w d. 11 listopada 1831 r. Znakomite jego dzieło: „*Storia del reame di Napoli dal 1734 sino al 1825*”, wykończone przezeń za życia, ukazało się wszakże dopiéro po śmierci autora; złączony związkami przyjaźni z całém florenckim kołem Gino Capponi wzniósł mu wydaniem jego „Historyi” we Florencyi 1849 roku piękny pomnik biograficzny.

Po tém zboczeniu, spowodowaném, a jak nam się zdaje i usprawiedliwioném, chęcią zapoznania czytelników z „florenckimi przyjaciółmi” znowu powracamy do rozważania nowego zbioru poezyi, noszącego to zagadkowe poświęcenie.

Przedewszystkiém w nim rzuca nam się w oczy wyraźna różnica zachodząca pomiędzy utworami z tego wydania, a młodzieńczemi dawniéj ogłoszonemi poezyami. Surowa forma Petrarkijskiéj kanzony została najzupełniéj zarzuconą. Miejsce jéj zajęła swobodniejsza forma, złożona ze strof nierównéj, dowolnéj długości i posługująca się rymem tylko w tych miejscach, gdzie sam przez się swobodnie i naturalnie się pojawia. Zawsze wszakże znajduje się w niéj rym na końcu strofy, przytém dość często daje się spotykać rym w średniówce (t. zw. *rimalmezzo*, t. j. rymowanie ostatnich sylab wiersza nie z końcem, lecz ze średniówką wiersza następnego), powodujący pewien melodyjny spadek tonów, niezwykłą wyrazistość języka oraz delikatne skojarzenie myśli—subtelności, na które zwykle tłómacze Leopardiego najmniejszéj nie zwracają uwagi. Po za tą swobodną formą kanzony znajdujemy w zbiorze tym i *verso sciolto*, odpowiadający niemieckiemu pięciostopowemu jambowi, oraz angielskiemu *blankverse*, używanemu przez Shakespeare’a i Miltona. Lecz nietylko w formach wiersza, i w języku przejawia się dążenie do prostoty; nie znajdujemy tu już latynizmów, spotykanych w pierwszych płodach poetyckiéj twórczości Leopardiego, a zdradzających zbyt wyraźnie filologiczne jego studya; nie ma również tego przepychu wyrazów i owéj napuszonéj emfazy, zawsze nieodłącznéj od piśmiennictwa narodów południowych; nie widzimy tu również najmniejszego śladu epigramatycznego ostrzenia myśli (*concetti*), będącego zawsze dla Włocha przedmiotem podziwu. W wyborze wyrazu poeta zawsze umié być trafnym, parafrazy i epitety skąpo są stosowane, wszędzie występuje potężna prostota, nagość i prawda. To co Pliniusz mówi o rzeźbie greckiéj: *graeca simplicitas est nihil velare*, Leopardi wziął widocznie za dewizę dla swéj poezyi i to ją też czyni tak różną o całe niebo od pozostałéj liryki włoskiéj. Umié on zawsze dać swym myślom najjaśniejszy i najprawdziwszy wyraz, tak, że nam się wszystko szczerze odczutém, nie zaś wypracowaném wydaje.

Kiedy w Ruth'a „Historyi Włoch od r. 1815 do 1850" (Heidelberg, 1867, t. I, str. 33) czytamy, że Leopardi położył zasługi raczéj w sprawie języka, budowy wiersza i rymu, aniżeli w dziedzinie myśli, wydaje nam się, że krytyk zna poetę tylko ze słyszenia. Przeciwnie, rym u Leopardiego pojawia się nie szukany, a jego umiłowanie prostéj, nagiéj prawdy, nieodwołalnie odrzucać każe podobne posądzenia o dbałość zewnętrzną, lubo forma nie była dlań ni obojętną, ani też podrzędną rzeczą i lubo on sam, podobnież jak i my, wyznawał, że w poezyi, jak w każdém prawdziwém dziele sztuki, forma i treść w doskonałą całość zléwać się powinny. Po za literaturą starożytną kształcił się Leopardi i na poezyi północnych narodów, mianowicie zaś Anglików, o któréj tak często mówi z podziwem, gdy o ojczystéj poezyi wyraża się w sposob następujący: „Robieniem wierszy i temi podobnemi głupstwami (mówię tu wogóle) wyświadczamy tylko tyranom naszym przysługę, zniżając do poziomu igraszki i rozrywki piśmiennictwo, które mogłoby odrodzonéj naszéj ojczyźnie trwałą stać się podwaliną" („*Epistolario*", I, str. 458). Oceniają go też ziomkowie podług wartości. Znakomity krytyk De Sanctis (docent prywatny w Neapolu, wychodźca, za czasów Cavoura minister oświaty, obecnie zaś deputowany i redaktor florenckiego pisma „*Italia*") oto w jaki sposób wyraża się o języku Leopardiego („*Saggi critici.*" *Napoli*, 1866, str. 194): „Dziś, gdy tyle przestarzało się myśli i obrazów z powodu długiego ich używania, nie można o zwyczajnych rzeczach mówić w sposób prosty, bez obawy uśpienia czytelnika. Stąd to poszukiwanie wyrazów, to gromadzenie przenośni, ten szał tonów, ta epigramatyczna ostrość, ta osobliwość w obrazach, to wyrafinowanie w uczuciach: wszystko tylko tymczasowo zaradcze przeciw pospolitości. Leopardi zaś umiał w poezyi wskrzesić dawną prostotę, prawdę przyrody, odmładzając cały świat poetycki i przywracając mu pierwiastkową jego dziewiczość. Opowiada on rzeczy niezwykłe, obchodzące się bez zewnętrznych ozdób, same przez się piękne; nadaremnie szukałbyś u niego porównań i metafor, podobnież jak i zwracających na siebie uwagę niezwykłych wyrażeń; przed naszemi oczyma staje żywy obraz, gdy wywołujące go słowa znikają." W inném miejscu (str. 178) ten sam krytyk powiada: „Giacomo Leopardi przywrócił nam poezyę w wielkim stylu. Jego liryka daje nam dokładny obraz wszechświata, widzianego z téjże wyżyny, z któréj nań patrzał Dante; z tą wszakże różnicą, iż Dante, dogmatycznie i po doktrynersku posiadał podstawę, potrzebną do stworzenia epopei, kiedy Leopardi, po rozbiciu wszelakich podstaw, z tak wielkim sceptycyzmem, płynącym z rozumu i z tak wielką wiarą ukrytą w sercu, mógł i powinien był dać nam tylko lirykę, ten wyraz wewnętrznego rozdwojenia,

tę skargę na zgon poetyckiego świata, saméj nawet poezyi [1]). Doprowadza nas to do treści ogłoszonego we Florencyi zbiorku poezyi Leopardiego — byłoby więc właściwém zastanowić się nad nią, jak to uczyniliśmy powyżéj z pierwszymi utworami poety; zachowujemy to wszakże na późniéj, chcąc dać wizerunek Leopardiego na tle współczesnych mu prądów i zjawisk piśmiennictwa europejskiego. Przedtém niech uwagę naszą zatrzyma dalszy ciąg i koniec smutnego życia poety.

W d. 1 października 1831 r. udaje się on nagle do Rzymu dla przepędzenia tam zimy, nie zawiadamiając o tym zamiarze ni rodziny swéj, ni swych przyjaciół florenckich. Co go do tego znagliło, wyjaśnia nam pisany do brata Karola list poety, w którym powiada („*Epistolario*", II, str. 169): „Rzecz prosta, że nie domyślasz się powodu mojéj wycieczki do Rzymu, jeżeli nawet moi przyjaciele florenccy, posiadający wiele danych, na których zbywa tobie, gubią się w rozległém polu domysłów. Proszę cię, zwolnij mnie od opowiadania ci długiego romansu o wielu bólach i wielu łzach. Jeżeli się kiedy zobaczymy, może będę miał siłę opowiedziéć ci wszystko. Na teraz wiédz, że pobyt w Rzymie jest dla mnie gorzkiém wygnaniem, oraz że myślę jaknajprędzéj powrócić do Florencyi. Zaklinam ciebie, strzeż się, nie pozwalając domyślać się, że w mojém oddaleniu się od Florencyi tkwi tajemnica. Mów o zimnie, o moich planach zdobycia szczęścia i o temu podobném. Wybacz mi, że jestem taki lakoniczny, lecz brak mi odwagi mówić więcéj." Nieszczęśliwy poeta, niedołężny, chory i od natury zewnętrznie w najwyższym stopniu upośledzony, obdarowany wszakże pożądającém miłości sercem [w jednym ze swych listów („*Epistolario*", II, str. 95) powiada nawet: nie potrzebuję ni znaczenia, ni sławy, ni tym podobnych rzeczy, lecz potrzebuję miłości"] widział we współczuciu, okazywaném mu przez wykształconą i piękną Florentynkę od-

---

[1]) Że zresztą Leopardi i po za granicami swéj ojczyzny powołanych znalazł sędziów, a więc tu przynajmniéj słów parę poświęcić im należy. W literaturze niemieckiéj zajmowali się nim Witte oraz Reumont, dwaj wybitni znawcy piśmiennictwa włoskiego, podobnież Ebert i A. Wolff w dziełach swych jego dziejom poświęconych. Z krytyków francuskich wyróżnić należy pracę Sainte-Beuve'a: („*Revue des deux mondes*", wrzesień, 1844, str. 910); A. Bouché Leclerq: „*G. Leopardi, sa vie et ses oeuvres*", Paryż, 1874; E. Caro: „*Le pessimisme au XIX s.*", Paryż, IV wyd.; A. Lacaussade: „*La poesie de Leopardi en vers français avec une introduction*", Paryż, 1889. W naszéj literaturze zajmowali się Leopardim: E. Porębowicz („Doskonały przekład wyboru pism, poprzedzony wstępem biograficzno-krytycznym". Warszawa, Lewental, 1886); M. Zdziechowski („Byron i jego wiek". Kraków, Spółka wydawnicza, 1894, str. 383); Tomasz Zawadzyński („Dwaj poeci włoscy XIX wieku". Warsz., 1873) M. T. S. („Pesymizm i jego poeci"—„Niwa", 1881, t. I).

bicie własnych jego dla niéj uczuć, odwzajemnienie jego miłości i—ujrzał się boleśnie zuwiedzionym. „*Leopardi non era fatto da amore*" [1])—mówi jeden z jego współczesnych, świadomy tego gorzkiego zawodu. Prawie na pewno twierdzić można, że pomiędzy wierszami: „*Aspasia*" i „*A se stesso*", ogłoszonemi dopiéro w wydaniu z r. 1836, — a tém zdarzeniem, które do szczętu serce jego zdruzgotało, ścisły zachodzi związek. Poeta opowiada o Aspazyi, jak ją ujrzał po raz pierwszy i mówi potém:

. . . . . . „Wtedy méj duszy
Jawił się nowy raj i ziemia nowa
I nowe słońce. W piersi niebronionéj
Grot mi utkwiłaś wtedy, co utkwiony
W sercu do dziś dnia noszę śród katuszy."

Następnie mówi o swojém złudzeniu, mówi, że w niéj spodziéwał się znaléść wcielenie swego ideału [2]) i kończy słowami:

. . . . . . „Dziś zaklęty
Czas runął, a z nim połamana w szczęty
Zabawka. Tém się cieszę. Więc choć wstrętne
Stały się długą niewolą i pustką
Rozum i wolność, na ich uścisk chętne
Prężą ramiona. A jeżeli życie
Próżne miłości i rozkosznych złudzeń
Jest pośród zimy bez gwiazd nocą czarną,
Już mi pociechę i zemstę nie marną
Przynosi, że tu pośród traw i mięty,
Leżąc, po nieba, po morza błękicie,
Po ziemi wzrokiem krążę — uśmiechnięty."

W wierszu „Do siebie" znajdujemy namiętny wylew serca, spragnionego szczęścia, a stale zawodzonego. Poeta mówi o ostatniém swém złudzeniu, które uważał za mające trwać nieskończenie, które się wszakże rozwiało, zostawiając mu świat zimnym i pustym, ten świat, który nie jest godzien westchnienia. Późniéj zwraca się do siebie ze słowami: „Uspokój się i zrozpacz po raz ostatni. Jedna niezawodna twemu plemieniu — śmierć. Wzgardę ci sądzi brutalna moc, co z cienia tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi i nieskończona nicość wszechstworzenia."

Jest to okrzyk nieszczęśliwego serca, które zwątpiło o Bogu, o świecie i o samym sobie. Można miéć pojęcie, jak przepędził Leopardi tę zimę w Rzymie, z taką goryczą w duszy. Zdrowie jego było tak słabe, że rzadko mógł swój pokój opuszczać; w połowie marca

---

[1]) Leopardi nie był stworzony do miłości.
[2]) Porównać z wierszem „Do swéj pani".

1832 r. wyjechał poeta z wiecznego miasta, nie zwiedziwszy ni św. Piotra, ni Koloseum, ni Forum, ani też żadnego z licznych muzeów. Powrócił do Florencyi, gdzie pozostał do jesieni następnego roku. Listy z tego czasu pochodzące są coraz oszczędniéj i coraz krócéj pisane. Cierpienie oczu nie pozwalało mu prawie na żadne zatrudnienie, tak więc posiadane przezeń środki do pracy, mające umożliwić mu egzystencyę, wdali od miejsca rodzinnego, nie miały dlań żadnéj wartości, nie mógł z nich bowiem korzystać. Rozpoczyna się najgorszy okres jego życia, kiedy, wzbogacony rozmaitego rodzaju zawodami, upadły na zdrowiu i pozbawiony środków, któreby mu skromny byt zapewnić mogły, w listach swych do rodziny daje głos tylko skargom na brak powszedniego chleba. Jakkolwiek będzie to bolesném, nie wolno nam rzucić zasłony na tę najposępniejszą kartę nędznego żywota poety. Ojciec, o najskrajniejszych „czerwono-reakcyjnych” przekonaniach, anonimowy autor „sławnych” „*Dialoghetti sulle materie correnti nell' anno 1831*” oraz „*Prediche di D. Musodumo*”, z których pierwsze uchodziło za dzieło syna Giacoma, przeciw czemu ten publicznie bronić się musiał, nie chciał, czy téż nie mógł utrzymywać syna na obczyznie; ten zaś był zdecydowany, jak sam powiada, chyba już tylko jako trup do Recanati powrócić. Tak więc, jakkolwiekbądź jego rodzice pozostawali przy życiu, poeta, ojcu zupełnie duchowo obcy, był pozbawionym rodziny sierotą. Pomimo tego rozdwojenia był on wszakże zmuszony stale uciekać się do najuniżeńszych prośb. Tak więc pisze do ojca („*Epistolario*”, II, str. 197): „Nie wiem, czy stosunki rodzinne pozwolą ci, mój ojcze, wyznaczyć mi mały zasiłek, w ilości dwunastu skudów miesięcznie. Z dwunastu skudów i we Florencyi wyżyć po ludzku niepodobna, a jednak Florencya jest najtańszém z pośród miast włoskich. Lecz ja nie myślę o tém, by żyć po ludzku. I przymuszę się do takich ograniczeń, że mi, podług mojego obrachunku, wystarczy dwanaście skudów. Lepszą byłaby śmierć, lecz jéj trzeba z rąk Boga oczekiwać.” W inném znów miejscu powiada: „Nie jestem w stanie sam się utrzymać, że zaś żebrać nie mogę, znajdę się więc w nieuchronnéj konieczności zakończenia śmiercią głodową.” To znowu: „Jeżeli kto równie szczerze i gorąco pożąda śmierci, jak to ja oddawna czynię, nikt wszakże nie wyprzedza mnie pod tym względem. Przyzywam Boga na świadka prawdy tych słów moich. On wié, w ilu gorących modlitwach doń się zwracałem, dla wybłagania téj łaski i jak, przy najmniejszéj nadziei bliższego lub dalszego niebezpieczeństwa życia, radośnie biło serce moje. Gdyby śmierć zależała odemnie, na nowo świadczę się Bogiem, nie zwracałbym się do ciebie, ojcze mój, z podobną mową; bo życie na jakiémbądź miejscu stało mi się

wstrętne i pełne męki.” Coraz częściéj powraca téż myśl o samobójstwie, lecz wyznaje, że brak mu do tego odwagi. W jak mroczną noc melancholii zapadł ten szlachetny duch, nie w następstwie urojonych lub przesadzanych, lecz rzeczywistych cierpień, które nie z jego wypływały winy, najlepiéj dowodzi nam krótki dyalog, skréślony prozą, a wydany p. t. „Dyalog pomiędzy Tristanem i jego przyjacielem” w ogłoszonych we Florencyi w r. 1831 „*Operette morali*”. „Mówiąc w zaufaniu — powiada Tristan do przyjaciela — uważam ciebie oraz wszystkich innych za szczęśliwych, lecz ja, za twojém i stulecia pozwoleniem, w najwyższym stopniu jestem nieszczęśliwy; uważam się za takiego i wszystkie pisma obu światów nie przekonają mnie, że jest inaczéj.” Przyjaciel odpowiada: „Nie znam powodów tego nieszczęścia, o którém mówisz. Lecz czy kto osobiście szczęśliwym jest, czy téż nieszczęśliwym, nikt oprócz niego samego wyrokować nie może, a jego własny sąd w téj sprawie nie może być błędny.” Tristan odpowiada: „Masz słuszność! Po za tém wszakże powiadam tobie, że się nie poddaję mojemu nieszczęściu, że nie skłaniam głowy przed przeznaczeniem i że się nie godzę z niém, jak to czynią inni. Mam odwagę pożądania śmierci i pożądania jéj gorącéj, niż jakiéjkolwiek innéj rzeczy, i to tak namiętnie i szczerze, jak na świecie niewielu, podług mego najgłębszego przekonania, jéj pożąda. Nie mówiłbym tak do ciebie, gdybym nie był pewien, iż gdy nadejdzie godzina, czyn karać będzie kłamstwo nie zaś słowa moje; gdyż jakkolwiekbądź nie widzę jeszcze końca mego żywota, wszakże wewnętrzne przeczucie mi powiada, że godzina, o której mówię, nie jest daleką. Jestem zbyt dojrzały dla śmierci, zbyt niedorzeczném i nieprawdopodobném wydaje mi się, — jakkolwiekbądź duchowo już jestem martwy, a bajka życia pod każdym względem zdaje się we mnie być rozegraną, — bym miał jeszcze czterdzieści albo pięćdziesiąt lat wytrzymać, jak to mi przyroda zagraża. Już na samą myśl o tém zimny dreszcz mną wstrząsa. Wszakże, jak to ma miejsce ze wszystkiém złem, które, że tak powiem, przewyższa siłę wyobraźni, i to wydaje mi się snem, złudzeniem, którego urzeczywistnienie jest niemożliwe. Tak, kiedy mi kto mówi o dalekiéj przyszłości, o czémś, co kiedyś na mnie czeka, nie mogę się powstrzymać od śmiechu, tak mocno wierzę w to, że droga, po któréj kroczę, nie jest już daleka. I mogę powiedzieć, że jest to jedyna myśl, która mnie przy życiu utrzymuje. Książki i prace, co do których nieraz się dziwię, że je tak kochałem, wielkie zamiary, nadzieje sławy i nieśmiertelności — są to rzeczy, z których nawet śmiać się jest już poniewczasie. Nie wyśmiewam planów oraz nadziei bieżącego wieku; z całéj duszy życzę im najlepszego powodzenia oraz chwalę, podziwiam i czczę

głośno, szczerze dobrą wolę; wszelako nie zazdroszczę potomności, ani tym, którzy długo jeszcze żyć mają. W innych czasach zazdrościłem głupcom, kpom oraz tym, którzy są wielkiego o sobie mniemania i chętnie byłbym się z którym z nich zamienił. Dziś nie zazdroszczę ni głupcom, ni mędrcom, ni wielkim ni małym, ni słabym ni téż potężnym. Zazdroszczę umarłym i z nimi jedynie na los chciałbym się zamienić. Każdy jaśniejszy obraz, każda myśl o przyszłości, która mnie w méj samotności nawiédza i z którą czas mój przepędzam, jedynie śmierć zawiéra w sobie i od niéj jest nieoddzielną. Téj tęsknoty za nią nie mąci mi już — jak to przedtém bywało — ni wspomnienie młodocianych marzeń, ni myśl, żem żył napróżno. Gdy przyjdzie śmierć, umrę z takim spokojem i zadowoleniem, jak gdybym się na świecie niczego więcéj nie spodziéwał, niczego więcéj nie pożądał. Jest to jedyne dobrodziejstwo, które mnie z losem pogodzić może. Gdyby mi z jednéj strony ofiarowano szczęście i sławę Cezara lub Aleksandra, od wszelkich plam wolne, z drugiéj zaś — pewność, iż dziś jeszcze będę mógł umrzéć, i gdyby mi wolno było wybiérać, powiedziałbym: chcę dzisiaj umrzéć — i nie żądałbym czasu do namysłu."

Zbliżamy się do ostatniego okresu tego chmurnego żywota, kiedy siły poety wzmacniają się nieco, kiedy przynajmniéj czasowo cierpienia jego się zmniejszają, stając się łatwiejszemi do zniesienia, kiedy pielęgnowany przez wiernego przyjaciela, zdaje się zapominać niedolę lat wcześniejszych i kiedy jaśniejsza wieczorna zorza opromienia jego żywot, w ślad za którą bez długiéj walki wieczna noc śmierci następuje.

Do jesieni 1833 r. pozostał Leopardi we Florencyi, poczém wolno podróżując, z odpoczynkami, przez Rzym, gdzie miesiąc zabawił, udał się do Neapolu, kędy w d. 2 października zawitał. Była to ostatnia stacya niespokojnéj wędrówki jego żywota. Pozostał w mieście tém aż do śmierci, t. j. przez ostatnie cztery lata życia. Znalazł widocznie przystań spokojną: już nie tak rozgłośnie skarży się na swe cierpienia, jak poprzednio, stan jego oczu z powodu skutecznéj kuracyi znacznie się poprawił, zdaje się, że znikło również ciągłe pragnienie zmiany miejsca pobytu. Młody neapolitańczyk, Antonio Ranieri, o dziesięć lat młodszy od Leopardiego, przejęty dlań fanatycznem uwielbieniem, odszukał go w Pizie, zbliżył się do poety, zamieszkał wraz z nim we Florencyi i wreszcie namówił go do przesiedlenia się do Neapolu. I tu Leopardi mieszkał wraz z Ranierim w jednym domu, naprzemiany na *via Capodimonte*, w wyżéj położonéj dzielnicy Neapolu, lub w należącym do zamężnéj siostry Ranieri'ego domku z ogrodem, położonym nieopodal Wezuwiusza, w pobliżu Portici. Polepszony stan zdrowia

pozwalał mu na przechadzki i na rozkoszowanie się czarowną naturą w tym ogrodzie Europy. Często wędrował do Mergelliny, przez Posilipp, lub téż brzegiem morza do Pozzuoli i Cumej; z Capodimonte schodził do katakumb i od podnóża Wezuwiusza do Pompei i Herculanum. Urok téj pięknéj okolicy, zdrowe powietrze, serdeczny stosunek z kółkiem znajomych, częste odwiedziny wszystkich wybitniejszych cudzoziemców, zwłaszcza zaś przyjaźń Ranieri'ego i pieczołowitość młodszéj jego siostry, Paoliny — wszystko to zdawało się powstrzymywać postęp choroby, na którą Leopardi od wielu lat się uskarżał. Znowu więc począł się oddawać myśli, że długo mu jeszcze żyć sądzono i począł wierzyć, że jego dolegliwości, jeżeli nie znikły, to się uspokoiły przynajmniéj.

Do cudzoziemców, mieszkających w tym czasie w Neapolu i prawie codzień widujących Leopardiego, należeli, zmarły następnie jako profesor uniwersytetu w Halli, filolog H. W. Schulz, który w piśmie „*Italia*" (II rok. Berlin, 1840, str. 237) poświęcił mu biograficzne wspomnienie i parę jego poezyi prozą błędnie i niedołężnie przełożył,— oraz znany powszechnie poeta niemiecki, hr. August von Platen-Hallermünde.

Oto co mówi pierwszy z nich o wzajemnym stosunku obu poetów („*Italia*", r. II, str. 262), a co dla nas, jako opowiadanie naocznego świadka, nie może być obojętném, zwłaszcza, że i osobistość Platena, który był serdecznym naszym przyjacielem, interesować nas powinna: „Do najbardziéj zażyłych przyjaciół Leopardiego i Ranieri'ego [1]) zaliczał się w tym czasie hr. August Platen, którego pewnego dnia z nimi zapoznałem. Platen czytał właśnie z podziwem poezye Leopardiego, ten zaś przeciwnie po raz pierwszy posłyszał nazwisko niemieckiego poety. Pierwsze spotkanie było sztywne i grzeczne, ponieważ Platen przy zawieraniu znajomości bywał zawsze małomówny i skrępowany. Niebawem wszakże zawiązał się serdeczny, przyjazny stosunek pomiędzy tymi niepospolitymi ludźmi i nie było dnia, żeby Platen nie odwiedził, przynajmniéj na godzinę, swego chorego przyjaciela. Pod niejednym względem obaj poeci byli duchowo sobie pokrewni. Obaj byli fanatycznymi czcicielami starożytności i obaj wnosili do ojczystych swych piśmiennictw klasycznego ducha i formę klasyczną. U Platena dowodzi tego niepospolicie kunsztowny język i rozległa wiedza; był on wszechstronniéj obdarowany i posiadał rozleglejszy widnokrąg poetycki. Leopardi stał za to bardziéj na gruncie klasycznym i podziw dla starożytnego świata był jedną z właściwości jego ducha.

---

[1]) Ranieri jest w posiadaniu pewnéj ilości włoskich listów Platena.

Leopardi, którego całe życie jest jedną wielką skargą na upadek ojczyzny, musiał wysoko cenić obcego pieśniarza, co w ostatnich dziełach swych zdradzał szczególne upodobanie dla włoskiéj średniowieczyzny. Obaj poeci czuli się nieszczęśliwymi z politycznych i osobistych względów. Północno-wschodnie stosunki europejskie zamroczyły strasznemi obrazami ostatnie dni życia Platena. Przytém zdawało mu się, że jego naród nie poznał się na nim i to, niesłuszne zresztą, uczucie osobiście w najwyższym stopniu skromnego poety wzmacniane było przez myśl, że został on powołany do dzieł większéj miary, aniżeli te, które stworzył. Z głębokiém przeświadczeniem porzucił kiedyś myśl eposu walki Niemiec z Napoleonem o wyzwolenie a poetyckie jego uczucie znalazło potężny wyraz w satyrze, biczującéj współczesne stosunki, które po owéj walce nie pozwalały rozwijać się jego ojczyźnie. Z wyżyny Alp zstąpił w krainę piękną, by znaléść świat dla poematu bohaterskiego, który nosił w sobie. Wszelako duch na tém wielkiém cmentarzysku przeszłości nawiedzał jeden po drugim elegijne światy myśli, czarowne zaś obrazy teraźniejszości, unoszące się nad grobami, dostarczały mu przędzy do sielankowych kreacyi; poeta zaś spoczął w rozmarzeniu w otaczającym go poezyi świecie, ponieważ nie musiał go tworzyć, by żyć wraz z nim, a siłę i natchnienie, które bogactwo epizodów w epicką całość splatać powinny, może dać tylko ojczyzna i to kraj, rozpłomieniony przez poezyę nadziei naszych czasów. Tak więc pod niebem włoskiém stopniał bohatérski poemat Platena i rozwiał się w tęczowe promienie. Poeta poświęcił Italii, do któréj w połowie należał, wspaniałe swe ody, sonety i sielanki. Leopardi był w mniejszym stopniu kosmopolitą, niż Platen, żył tylko dla Włoch i we Włoszech, jego osobista niedola utożsamiała się w nim z uczuciem upadku jego narodu. Podobnież jak zwątpił o jego odrodzeniu, tak téż i nie szukał dla siebie żadnéj pociechy, żadnéj sławy, żadnéj trwałości dla swego imienia i dla swéj duszy po zgonie. Obaj poeci posiadali element satyryczny: w Platenie satyra wypływała raczéj z duchowéj wyższości, niż z ostrego dowcipu... w Leopardim zaś — z melancholii oraz z poczucia nicości całego człowieczeństwa.”

Platen podczas swego pobytu w Neapolu poświęcał się więcéj studyom historycznym. Sam zapewne nie czuł tego, że siła jego twórcza już się wyczerpuje, co wielu chciało utrzymywać, a co pozornie słusznem zdawać się mogło z jego przedmowy do ogłoszonych w r. 1833 „Dziejów królestwa Neapolitańskiego”, oraz z poprzedzającego dzieło to motta: *Altri studi men dolci* i t. d., które zostało wzięte z wiersza Leopardiego do br. Carla Pepoli'ego. Na ten okres życia Platena przy-

padają jeszcze pieśni polskie oraz hymny, a więc korona jego twórczości poetyckiéj.

Leopardi opracował w tym czasie nowe wydanie swych „*Operette morali*" (*Firenze*, Piatti, 1834), w którém znajduje się wyżéj wymieniony dyalog pomiędzy Tristanem i jego przyjacielem, napisał ostatnie canzony: „*Il tramonto della luna*" i „*La ginestra*", skreślił jeszcze parę drobniejszych prozaicznych utworów, „*Il Copernico*", „*Dialogo di Plotino e di Porfirio*", oraz większą ilość krótkich myśli, trafnych zdań, tyczących się świata i ludzi — wszystko to ukazało się dopiéro po śmierci poety w opracowaném przez Ranieri'ego wydaniu (*Firenze*, 1845, *Le Monnier*). Najwięcéj wszakże sił i czasu poświęcił wtedy Leopardi wykończeniu satyryczno-politycznego poematu bohatérskiego „*Paralipomeni della Batrachomiomachia*", który podobnież, dopiéro po jego zgonie, w r. 1842 został przez Ranieri'ego w Paryżu u Baudry'ego wydany [1]). Poemat ten, składający się z ośmiu pieśni, jest napisany najpiękniejszemi oktawami, jakie w nowożytnéj poezyi włoskiéj znaléść można. Treść jego stanowi satyra na nieszczęśliwą rewolucyę neapolitańską z r. 1820, zakończoną opanowaniem królestwa przez Austryaków — walka jest w niéj przedstawiona pod postacią żartobliwie przez Homera opowiedzianéj wojny żab z myszami. Leopardi chłosta w swym poemacie śmieszne sprzysiężenia Carbonarów i słomiany ogień ich liberalizmu. Pod koniec ostrze swéj satyry zwraca poeta przeciw wierzącym wszystkich czasów, i to w sposób, znany już nam z prozaicznych pism jego. Pomiędzy przeczeniami wszelakiéj wiary i wszelakich nadziei, tu i owdzie przebłyskują wspaniałe myśli, pełne zapału, tchnącego z młodzieńczych jego poezyi dla wolności i potęgi ojczyzny, oraz pełne nadziei lepszéj przyszłości dla ludzkiego rodu. Nigdy wszakże satyra ta nie będzie się mogła cieszyć zupełném uznaniem, że względu na jéj pesymistyczny, wszystkiemu przeczący radykalizm.

Mówiliśmy o podobieństwie Leopardiego z Platenem w ich pracach i poglądach, mieli oni wszakże jeszcze jedną wspólną właściwość, która pierwszego z nich nieraz trwogi nabawiła, a która na drugiego zabójczo oddziałać miała, przypłacił ją bowiem życiem — była to obawa przed cholerą. Choroba ta, do któréj teraz w Europie coraz bardziéj się przyzwyczajamy, wydawała się naówczas wielu osobom trwo-

---

[1]) Prócz tego ukazały się jeszcze po śmierci Leopardiego: „*Epistolario, raccolto e ordinato da P. Viani*", 2 voll. 3 impr., Firenze, 1864; „*Studi filologici, raccolti e ordinati per cura di P. Giordani e P. Pellegrini*", 2 ed., Firenze, 1852. Wreszcie „*Saggio sopra gli errori degli antichi, publicato per cura di P. Viani*", 6 impress., Firenze, 1864.

żliwszego ducha straszliwą marą, pewnym zwiastunem śmierci. Pojawiła się właśnie w r. 1835 w Toskanii i innych częściach Włoch, w latach 1836 i 1837 w przerażający sposób srożyła się w Neapolu. Leopardi przeniósł się z miasta do leżącego u stóp Wezuwiusza, otoczonego ogrodem domku, skąd dopiéro w lutym 1837 r. do Capodimonte powrócił. Platen, jak wiadomo, już w r. 1835 uszedł przed chorobą z Neapolu do Sycylii i niebawem, w grudniu tegoż roku, w Syrakuzach, jeszcze przed wybuchem epidemii życie zakończył, zabity chorobą, którą sam za cholerę uważał i któréj śmiertelne zejście sam błędném leczeniem spowodował [1]. Schulz pisze: „Leopardi został głęboko wstrząśnięty wiadomością o śmierci Platena i byłby chętnie oddał resztę dni swoich za przyjaciela.” Zdawna już pojawiały się u niego oznaki wodnéj puchliny, widocznie w następstwie organicznéj wady serca. Nie widział wroga, który go już pochwycił, a myślał wciąż o cholerze, przed którą chcąc ujść za wszelką cenę, pragnął powrócić do stóp Wezuwiusza, do swego domku z ogrodem. Podczas, gdy powóz, mający go tam zawieść, stał już przed bramą, popołudniu w dniu 14 czerwca 1837 r., po krótkiéj walce ze śmiercią, w ramionach wiernego przyjaciela ostatnie wydał tchnienie.

Ostatniém pismem, jakie wyszło z rąk jego, był list, skréślony do ojca na ośmnaście dni przed śmiercią. Pisze w nim: „Jeżeli ujdę przed cholerą, jak tylko zdrowie na to mi pozwoli, uczynię wszystko dla zobaczenia ciebie, w jakiéjbykolwiek to mogło być porze. Muszę się bowiem śpieszyć, teraz istotnie o tém przekonany, com zawsze przewidywał, że kres przez Boga mojemu życiu zakréślony nie jest już daleki. Moje cierpienia fizyczne, ciągłe i niewyleczalne, doszły takiéj gwałtowności, że daléj iść nie mogą; ufam, że pokonawszy nareszcie słaby opór, jaki im stawia moje konające ciało, doprowadzą mnie na wieczny odpoczynek, którego tak chciwie pożądam, nie z heroizmu, ale dla katuszy mąk, które cierpię. Dziękuję najczuléj tobie i matce za dar dziesięciu skudów, całuję ręce obojgu, ściskam braci i proszę wszystkich polecić mnie Bogu, aby, skoro was raz jeszcze obaczę, piękna i prędka śmierć położyła koniec mym męczarniom fizycznym, które innym sposobem wyleczyć się nie dadzą.”

Ostatniemi słowami Leopardiego były: „*Ci vedo più poco — apri quella finestra—fammi veder la luce!* [2]). W podobny sposób przemawiał Goethe, zmagając się ze śmiercią

---

[1]) Patrz: A. Ranieri, „*Notizia intorno alla vita ed agli scritti di Augusto Conte di Platen*“ w jego „*Opere*“. Milano, 1864, tom III, str. 107.

[2]) Tu widzę mniéj—otwórz to okno—daj mi ujrzeć światło.

Leopardi zmarł w trzydziestym dziewiątym roku; żył tylko o parę tygodni dłużéj od Platena, który go w zejściu do grobu poprzedził.

Policya sanitarna w Neapolu wydała postanowienie, na mocy którego ciała umarłych podczas panowania cholery, miały być bez żadnéj różnicy grzebane na cmentarzu cholerycznym, i to w przeciągu dwudziestu czterech godzin od chwili śmierci. Pozostawało więc jeszcze Ranieri'emu zadanie oddania ostatniéj przysługi ciału przyjaciela: wyłączenia go od nieuchronnego pochowania we wspólnym grobie. Zadanie nie było łatwe, wobec rozsrożenia się epidemii w mieście liczącém półmiliona mieszkańców. Udało mu się wszakże za pomocą przekupienia policyi obejść to prawo i ciało zostało pochowane w sklepach kościoła San Vitale, leżącego po za obrębem Neapolu, w miejscowości zwanéj Fuorigrotta, przy drodze, wiodącéj do Pozzuoli. Tam spoczywa śmiertelna powłoka poety w pobliżu grobów Wergiliusza i Sannazzara. W przedsionku kościoła, nieopodal wejścia, wzniósł Ranieri ubóstwianemu swemu przyjacielowi pomnik, z ułożonym przez P. Giordaniego napisem:

Al Conte Giacomo Leopardi Recanatese,
Filologo ammirato e fuori d'Italia,
Scrittore di filosofia e di poesie altissimo,
Da paragonare solamente coi Greci,
Che finì di XXXIX anni la vita,
Per continue malattie miserissima.
Fece Antonio Ranieri,
Per VII anni fino all' estrema ora congiunto
All' amico adorato. MDCCCXXXVII. [1])

Na cokóle pomnika znajduje się w płaskorzeźbie ptak Minerwy, sowa, siedząca na starożytnéj lampie, otoczona kołem w kształcie węża; na frontonie widnieje motyl, unoszący się pomiędzy wawrzynowemi i dębowemi gałęziami.

(*Dok. nast.)* *G. B.*

---

[1]) Hrabiemu Jakóbowi Leopardiemu, rekanatończykowi, filologowi, podziwianemu i po za granicami Włoch, najznakomitszemu (w zakresie) filozofii i poezyi pisarzowi, do porównania tylko z Grekami, który w trzydziestym dziewiątym roku zakończył życie, z powodu ciągłych chorób nieszczęśliwe. Postawił Antonio Ranieri, przez siedem lat aż do ostatniej godziny złączony z ukochanym przyjacielem. 1837.

PSYCHOLOGIA SEKT.

Scipio Sighele. „*La psychologie des sectes.*“ — „*Bibliothèque Sociologique Internationale*“, XIII. Paris, V. Giard & E. Brière, 1898, II, 228.

Psychologia zbiorowisk ludzkich: tłumu, narodu, rasy jest obecnie jedném z najbardziéj uprawianych pól naukowych. Nauki społeczne (nie wyłączając ekonomii, którą pewien uczony niemiecki określił jako część psychologii stosowanéj) spodziéwają się na téj drodze dojść do pewnych rezultatów naukowych, których napróżno szukały w zastosowaniu zasad biologii lub psychologii indywidualnéj; — psychologia spodziéwa się, że badaniem „duszy zbiorowéj“ wyjaśni pytania, których dotąd ani „samoobserwacya jednostki“ ani „psychofizyka“ rozwiązać nie były w stanie.

Oprócz socyologów i psychologów, badaniem psychologii zbiorowisk ludzkich zajmują się jeszcze kryminologowie. Badają oni „przestępstwo tłumów“, jego psychologiczne warunki, jego karygodność i grunt, na którym zbrodnia indywidualna wyrasta, sferę, w któréj się rodzą przestępcy. Zajmuje ich przedewszystkiém moralność grup społecznych, — porównanie jéj z tém, co można nazwać moralnością indywidualną, przyczyny psychologiczne różnicy między moralnością indywidualną a moralnością zbiorową, i oddziaływanie pojęć etycznych grup społecznych na pojęcia etyczne jednostek. Autor powołanéj w tytule książki, docent uniwersytetu w Pizie, należy właśnie do téj ostatniéj kategoryi badaczów.

Jego poprzednie prace: „Tłum zbrodniczy“, „Zbrodnia we dwoje“, „Kraj urodzonych zbrodniarzy“, „Teorya pozytywna wspólnictwa“ — dotyczą wyłącznie prawa kryminalnego; jest on przytém Włochem a na końcu książki zamieszcza, jako dodatek, rozprawę „Przeciwko parlamentaryzmowi“.

Dodatek ten do pewnego stopnia wyjaśnia nam ostateczny cel pracy. Autor w zasadzie nie jest przeciwny parlamentaryzmowi, jako takiemu; ale z goryczą myśli o obecnym parlamentaryzmie włoskim, mającym dziś słusznie smutną bardzo opinię. Przypuszcza on jednak, że i ten parlament zreformowany „mógłby żyć czas jakiś bez hańby, a nawet może z chwałą... bo parlamentaryzm jest trucizną, która stosownie do użytéj dozy zabija lub leczy“. Środek, jakim Sighele chciałby poprawić parlament włoski, jest nawet dość prosty: zmniejszenie liczby deputowanych, a tém samém podniesienie ich horyzontu moralnego i etycznego. zwiększenie realnéj ich pracy i odpowiedzialności. Podstawą psychologiczną, na któréj Sighele opiéra swoje przekonanie o skuteczności proponowanego środka jest wiara w to, że poziom umysłowy i moralny każdego tłumu, każdego zbiorowiska ludzi zmniejsza się proporcyonalnie do zwiększania się tłumu. Jest to, jeśli nie całkowite, to częściowe ograniczenie wiary w zasadę kolegialności, postawienie rozumu i moralności jednostki ponad rozum i moralność zbiorową.

Sighele wierzy twierdzeniu Nordaua, że w zgromadzeniu złożonem z 20 ludzi, nawet téj inteligencyi co Goethe, Kant, Helmholtz, Shakespeare lub Newton — w kwestyach życia praktycznego — wypowiedzianoby wiele mów niesłychanie rozumnych, ale decyzya tego zgromadzenia nie wyszłaby z rzędu przeciętnych. Dusza ludzka—mówi on—nie jest cyfrą, i z połączenia w jednem działaniu wielu inteligencyi nie otrzymujemy ich sumy, ale, jak w zjawiskach chemicznych, jakiś nowy zupełnie związek. Zaufanie do słuszności tego, co postanowi „większość“, według Sighele'go, ma podstawę racyonalną o tyle tylko, o ile chodzi o „większość w czasie“, t. j. w długim szeregu lat, a nie w danym momencie historycznym. Przekonania dzisiejszych większości były niedawno przekonaniami mniejszości, a mimo to i wtedy były słuszne. Wszelka opinia, najracyonalniejsza i najsprawiedliwsza jest początkowo tylko zdaniem mniejszości i dlatego większość w danym momencie czasu nie zawsze ma słuszość. Aby większość o ile można jak najczęściéj miała słuszność, trzeba, aby ta większość przedstawiała istotny wybór inteligencyi narodu, aby nie ulegała porywom rozhukanych namiętności, nie poddawała się sugestyom mówców i dziennikarzy.

Im zgromadzenie jest liczniejsze, tém łatwiéj ulega wszelkiéj sugestyi i autosugestyi, porywom namiętności wywołanych talentami krasomówczemi parlamentarnych retorów i kłamstwami dzienników. Tylko ograniczenie liczby posłów zamknie miernościom umysłowym drogę do parlamentu, podniesie ich poziom intelektualny i etyczny, zmniejszy korupcyę a tém samém uleczy obecny parlament.

I.

Praca Sighele'go o „Psychologii sekt“ jest właściwie tylko fundamentem dla powyższéj opinii w kwestyi parlamentaryzmu; autor bada wogóle „moralność grup społecznych”. Dla niego „sektą“ jest każda partya polityczna, religijna lub społeczna, przez prawo nie uznana, nie mająca legalnego gruntu.

Jako kryminolog z powołania, wprowadza on czytelnika w sferę swych badań od strony prawa kryminalnego uwagą, że w biegu cywilizacyi zbrodnia i przestępstwo nie tyle zmniejszają się co do treści, ile raczéj zmieniają formę. Z dzikiéj, gwałtownéj, brutalnéj — zbrodnia staje się chytrą i podstępną; okrucieństwo ustępuje miejsca podstępowi, walka prowadzi się raczéj mózgiem niż muskułami. Sycylijscy bryganci sprowadzili zbrodnię do form umowy i opodatkowania i są w bliskiém powinowactwie z deputowanymi i dziennikarzami, sprzedającymi swoje wpływy i swe milczenie bankom i bankierom. Dowodzi to, że i zbrodnia ulega co do swéj formy prawu ewolucyi, a zmodyfikowana, rozszerza się śród wszystkich klas społecznych nie budząc już tego wstrętu, jakiby wzbudzała w dawnych formach, prowadzących za sobą widoki krwi, trupów i zniszczenia. Zamiast krwi — złoto, zamiast męczarni — sprzedajność, zamiast gwałtu — podstęp. Nawet w zbrodni człowiek staje się bardziéj ludzkim. Cywilizacya ma swoje właściwe jéj typy przestępstw, które tém niemniéj są przestępstwami. Kryminologowie zwrócili już dawno na to uwagę, ale zdaniem Sighele'go nie zwrócili uwagi na to, że ta sama ewolucya, te same dwa typy przestępstwa wykryć się dają w przestępstwach grup społecznych zbiorowych. I tu formy przestępstw zmieniają się: inne są przestępstwa narodów dzikich, inne narodów ucywilizowanych, inne są formy przestępstwa klas społecznych wyższych, a inne niższych. Klasy wyższe uległy już ewolucyi cywilizacyjnéj, niższe są reprezentantami dawniéj przebytych stadyów dzikości i barbarzyństwa.

Wady klas panujących są skutkami wad istniejącéj organizacyi społecznéj, są wadami społeczeństwa umierającego;—wady klas rządzonych są patologicznemi zwiastunami nowych kierunków rodzących się dopiéro. Klasy rządzące są ostrożne, umiarkowane, zestarzałe; klasy rządzone gwałtowne, zuchwałe, nierozważne, bezczelne i silne. Przestępstwa pierwszych są przestępstwami większości, przestępstwa drugich przestępstwami mniejszości. Mniejszość, która władzę ma dopiéro zdobyć, musi miéć więcéj energii, aby cel osiągnąć. Większość trzymająca władzę w ręku jest już zwycięstwem osłabiona. Klasy rządzone w walce z przeciwnikiem o wiele potężniejszym znajdują środki zrównoważenia sił w gwałcie i odwadze.

Nie można w zasadzie nie przyznać słuszności Sighele'mu w tém, co mówi o ewolucyi przestępstwa, — nie można jednak w wielu miejscach zgodzić się na jego twierdzenia. Jakim sposobem klasy niższe, które podług niego w społeczeństwie (stosując się do biologicznego prawa Haeckla) mają reprezentować stadya cywilizacyjne już przebyte, barbarzyńskie, są jednocześnie przedstawicielami nowych kierunków, — to pozostanie tajemnicą autora. Nie można téż bez zastrzeżeń przyjąć jego zdania, że ewolucya formy przestępstwa nie zmienia w niczém typu przestępstwa, że pomiędzy rozbojem na publicznéj drodze a grabieżami na giełdzie nie ma żadnéj różnicy: na giełdzie zjawiają się tylko ci, którzy grać chcą, w interesach podejrzanego charakteru biorą udział ci, którzy chcą interesa robić. W przestępstwie trudno jest oznaczyć, co stanowi treść jego, a co formę; a pomiędzy oszustwem i rabunkiem jest coś więcéj niż różnica w saméj formie.

Najsłabszą częścią pracy Sighele'go jest niewątpliwie I-szy rozdział, noszący tytuł „Ewolucya grup społecznych". Dla Sighele'go ewolucya ta zaczyna się na tłumie, kończy na państwie, a może i na rasie. Idąc za bardzo powierzchowną i nienaukową klasyfikacyą Le Bon'a, rozróżnia Sighele tłumy jednorodne i różnorodne, i dzieli: pierwsze — tłumy jednorodne na bezimienne (czasowe) i imienne (raczéj stałe, do których zalicza zebrania, parlamenty), — a drugie—różnorodne, dzieli na sekty (stronnictwa), kasty i klasy. Nie będziemy ani bliżéj wchodzić w objaśnienia tego bardzo niejasnego podziału, ani zajmować się jego krytyką, tém więcéj, że bardzo gruntowny rozbiór téj klasyfikacyi już opracowano w naszéj

literaturze peryodycznéj [1]. Zwrócić uwagę tylko musimy na parę szczegółów koniecznych dla dokładnego zrozumienia pracy Sighele'go.

Sądzi on, że w tendencyi czasu leży obniżenie wpływu jednostki i dążenie tłumu do despotyzmu; losy świata zależą coraz więcéj nie od jednostek, któreby mówiły: „państwo to ja“, ale od tłumu, tego tłumu, który swą wdzięczność wyraża krzyżowaniem. Ten wzrastający wpływ tłumu na rządy zmusza coraz bardziéj rządzących do badania psychologii tłumu. Pomiędzy tłumem i państwem — różnica główna leży w ich celu: — tłum ma cel jeden, nieokréślony, chwilowy; państwo ma cel stały, okréślony, wieczny. Dlatego téż tłum jest sam niezorganizowanym i nieokréślonym, państwo—okréśloném i zorganizowaném stale. Ogniwa pośrednie pomiędzy tłumem a państwem: sekty, klasy, kasty — stosownie do trwałości ich celu, mają więcéj lub mniéj okréśloną i zorganizowaną formę.

Sektą dla Sighele'go jest zbiór jednostek różnych urodzeniem, wychowaniem i zajęciem, związanych dobrowolnie węzłem wspólnych przekonań, wiary, ideałów. Na gruncie téj wspólności wytwarza się wspólność uczuć, dążeń i siła. Sekta jest tłumem wytworzonym na podstawie dobrowolnego doboru, stałym; jestto tłum w stanie chronicznym, tak jak tłum jest sektą w stanie ostrym, a jeśli tłum porównać można do kupy piasku — obrazem sekty jest bryła marmuru. Wspólna idca i wspólny cel stanowią węzeł łączący w jedno członków sekty.

Kasta dla Sighele'go jest związkiem ludzi, opartym na wspólném zajęciu—źródle utrzymania; klasa—związkiem indywiduów mających wspólne interesy. Sighele zna tylko 2 klasy: posiadającą i robotniczą, rządzącą i rządzoną, a ile razy mówi daléj o walce klas, te tylko dwie klasy ma na myśli. Państwo znów identyfikuje z narodowością, któréj podstawą jest wspólność języka. Rasa zaś jest tłumem nieokréślonym, który może obejmować kilka państw.

Państwo jest końcowym wyrazem ewolucyi tłumu. Prawa psychologiczne, rządzące tłumem i państwem, są różne, ale różnica ta wyjaśnia się psychologią ogniw pośrednich, które téż należy zbadać. Do téj pory zajmowano się tylko psychologią jednostki i społeczeństwa. Według Sighele'go, każde stadyum uspołecznienia ma swą odrębną psychologię, która zbadana być powinna, przyczém

---

[1]) Dr. Z. Balicki. „Głos“, nra 12, 13 i 15 r. b. i „Przegląd Filozoficzny“ zesz. III, 1898, str. 114.

stanowczo zaprzecza zdaniu Spencera jakoby psychologia zbiorowa była tylko odbiciem psychologii jednostki.

Zdaniem jego każda forma uspołecznienia ma swoje odrębne prawa psychologiczne, różne nietylko od praw psychologii indywidualnéj, ale także i między sobą. Między psychologią jednostki a psychologią społeczeństwa istnieje nie jeden łącznik — *trait-d'union*—ale kilka, a wszystkie wymagają specyalnego zbadania.

II.

Kwestya wolnéj woli człowieka, podług Sighele'go, jest oddawna ostatecznie załatwioną. Rozum ludzki—jest to król konstytucyjny, bez źdźbła wolnéj woli: panuje, ale nie rządzi. Człowiek działa, ale postępkami jego kierują: jego przodkowie, społeczeństwo, w którém żyje, otoczenie; wpływy całych tłumów decydują o postanowieniu, które zapada pod czaszką ludzką. Jeśli od czynu ludzkiego odjąć wszystkie wpływy zewnętrzne, zarówno ze zbrodniarza, jak i z genialnego wynalazcy nic nie pozostanie. Z pewnego punktu widzenia wszystkie zbrodnie są zbrodniami zbiorowemi; z innego punktu wszystkie, jako wykonane przez indywiduum, są tylko indywidualnemi. Między osobnikiem a grupą społeczną, do któréj on należy, zachodzą nieustające zjawiska intelektualnego przesiąkania (endosmozy i exosmozy), a wpływy te stale i koniecznie wywołują zmiany powolne, nieobliczone i nieobliczalne.

Ocenienie moralnéj wartości jednostki, zbadanie jéj etyki, będzie zawsze niedokładne, jeśli go nie połączymy ze zbadaniem wartości moralnéj, etyki, psychologii, grupy społecznéj, do któréj ona należy.

Sekta jest to zarodek, drożdże każdego tłumu, każdego zbiorowiska ludzi. Niebezpieczeństwo istnienia sekt leży w łatwości, z jaką one rozszerzają się, gromadzą tłumy, poruszają niemi i wywołują namiętności niszczycielskie i bezmyślne. Na scenie porusza się tylko tłum, za kulisami działa sekta.

W krajach konstytucyjnych są stronnictwa, w krajach niekonstytucyjnych — sekty, ale i w krajach konstytucyjnych stronnictwa, których prawo nie uznaje, muszą istnieć w formie sekt; bo stronnictwo każde jest sektą dopóty, dopóki idea, o którą ono walczy, nie ma prawa być publicznie wyznawaną. Sekta i partya są formami następczemi; uprawnienie idei stanowiącéj węzeł sekty stanowi o formie; jeśli idea nie zostaje nigdy uprawnioną, sekta pozostaje

sektą nazawsze. Sekta zwykle jednak zostaje stronnictwem, stronnictwo z czasem staje się większością, a gdy idea sama straci na wartości, sekta wraca do stanu mniejszości, a w końcu umiéra. Stronnictwo, powracając do stadyum sekty, zastępuje gwałtowność i odwagę chytrością i oszustwem, i tém utrzymuje się przy władzy; broni swéj władzy z taką samą energią, jaką rozwijało dla jéj zdobycia. Czasami sekta nawet zostawszy stronnictwem, jeśli w formie stronnictwa istnieje krótko, zatrzymuje metody działania sekty (Jakobini, 1789—1793).

Instynkt wrodzony, pewne prawo natury, podług Sighelego, stwarza w każdém zbiorowisku ludzkiém władzę. Jest to prawo życia zwierzęcego, które doprowadza do organizacyi całości i podporządkowania jednych części organizmu drugim. Organizm zwierzęcy nie może się obejść bez mózgu, zbiorowiska ludzkie bez kierownika. Początkowo zbiorowisko cierpi, znosi władzę choć jéj nie ustanawia, nie wybiéra. Z czasem ta władza staje się świadomą, żądaną i ustanawianą. Grupy stałe i uprawnione mają kierowników ustanawianych świadomie i prawnie.

W tłumie kierownik jest często niewidzialnym, a jego urok jest w stosunku odwrotnym do legalności i świadomości jego ustanowienia. Wpływają na to elementa psychologiczne, zarówno indywidualne jak i zbiorowe. Gorąca wiara i oddanie się idei tworzą kierownika, który znów sam jest tylko narzędziem idei, kierowanym przez swą wiarę i hypnotyzowanym przez swą ideę. Mózg jego zawiéra tylko jedną myśl i właściwie nie należy do niego. Pogarda i prześladowanie podniecają go i skłaniają do poświęcenia wszystkiego na ołtarzu idei, bez względu na instynkt samozachowawczy. Są to organizacye wyjątkowe, często psychopatyczne i w tém leży ich wyjątkowa siła. Ze wszystkich sił, które kiedykolwiek były w rozporządzeniu ludzkości, mówi Sighele,—wiara jest siłą najpotężniejszą. Aby jéj innym udzielić, trzeba ją miéć samemu i dlatego kierownicy sekt zjawiają się samorzutnie (*par génération spontanée*). Nigdy kierownicy legalni nie dochodzą do tego wysokiego stopnia wpływu i potęgi; tłum idzie za nimi prowadzony strachem, przyzwyczajeniem, obowiązkiem lub rozumem, bo tłum ten nie jest zahypnotyzowany. Członkowie sekty łatwo ulegają hypnotyzmowi idei, bo zwykle są w ciągłém ze sobą zbliżeniu, w stanie ciągłego podniecenia, dalecy od rozwagi i do grona sekty wchodzą tylko ci, którzy poczuwają się dobrowolnie do wspólnéj wiary lub idei.

Energia — jak mówił Mazzini — magnetyzuje tłumy, a im tłumy są bardziéj zrozpaczone i rozegzaltowane, tém więcéj są jednorodne, trwałe i potężne. Ideałem sekty jest jednostajne tętno uczuć i myśli, jakby jedna dusza i jedno ciało, do których dochodzi się za pośrednictwem wysokiego stopnia opanowania z jednéj, a uległości z drugiéj strony.

W grupach niestałych, nielegalnych, w tłumie władza jest bardziéj energiczna, a posłuszeństwo bardziéj ślepe. Tłum — jak mówi Tarde — ma tylko te pomysły, które mu sugestyonowano; dlatego téż tłum jest łatwą ofiarą każdego, kto chce zostać jego kierownikiem, bo niema w nim niezgody — tylko ryk jednobrzmiący. Niezgoda tłum unicestwia.

W sekcie świadomość jest większą, mimo to wyrazy: dyskusya i bunt, muszą być nieznane. Sekciarze mają jedną duszę i jedno ciało i tém przypominają nam społeczeństwa starożytne. Duch starożytnych społeczeństw odżywa i trwa w sekcie: pochłaniają one całego człowieka, czynią go swém narzędziem, ślepém a wiernéın. Jest to organizacya społeczna najpierwotniejsza i najwsteczniejsza. W pierwotném społeczeństwie zakaz myślenia na własną rękę jest podstawą konieczną, dobrodziejstwem, źródłem cywilizacyi. Ta sama zasada trwa do dziś dnia w organizacyi wojskowéj i we wszystkich organizacyach zaczątkowych, nawet w rodzących się szkołach filozoficznych i estetycznych. Dopiéro po peryodzie uległości absolutnéj przychodzi peryod dyskusyi i niepodległości indywidualnéj. Sekta jest pierwotném stadyum każdego uspołecznienia i musi zachować metodę działania właściwą wszystkim pierwiastkowym zbiorowiskom ludzkim.

Jak sekta jest rozwijającym się tłumem, tłumem w stanie dynamicznym, — tak tłum jest sektą w stanie statycznym, jeśli tylko chce działać w pewnym celu, jeśli potrzebuje stoczyć walkę zbiorową. Tłum działa natychmiastowo, sekta zwolna lecz stale i skutki téj walki wnikają głębiéj. Tłum działa na razie, w uniesieniu, bez świadomości i rozwagi. Sekta działa powolnie, zwykle chytrze, w razie potrzeby gwałtownie, ale zawsze idzie za kierownikiem, któremu przyświeca cel określony i jasny. Tłum może popełnić zbyteczne okrucieństwo; sekta, jeśli jest kierowana przez ludzi rozumnych, rzadko dopuszcza się zbrodni i błędów.

Wszystkie te różnice podług Sighelego dowodzą, że sekta jest łącznikiem między tłumem i organizacyami społecznemi wyższemi, jak klasy, kasty i korporacye. Zawsze dążąca do przewrotu i zmiany sekta, w ofiarach, które cywilizacya w swym pochodzie pozo-

stawiła po drodze pobudza ducha rewolucyi, upadłych i zdeptanych podnosi, łączy w zawiązki dysolucyi społecznéj, a jednocześnie wytwarza z nich ziarno społecznego odnowienia i dalszego postępu.

III.

Moralność, podług Sighele'go, zależy od stopnia szerokości długości geograficznéj, klimatu, gruntu, od epoki historycznéj i organizacyi społecznéj. Nie wyczerpuje to jednak wszystkich różnic etycznych. W jedném i tém samém indywiduum ludzkiém etyka jest różną stosownie do tego, czy myśli ono i działa, jako osobnik, czy téż jako członek pewnéj grupy społecznéj. Indywiduum różne ma przekonania moralne, jako człowiek prywatny, obywatel, deputowany, członek pewnéj kasty lub klasy, członek narodu lub zgromadzenia. Goethe mawiał o sobie, że jest jako poeta polyteistą, jako naturalista panteistą. Sighele przytacza cały szereg faktów i orzeczeń, dowodzących tego „zdwojenia się moralności" w indywiduum ludzkiém (str. 104), a między innemi przypomina, jak pewien obecnie panujący na jachcie swym publicznie wygłosił pochwałę pojedynków, a zaraz potém odprawił nabożeństwo niedzielne. „*Te Deum*" odprawiane we wszystkich krajach chrześciańskich cywilizowanych po otrzymaniu wiadomości o zwycięstwie jest także jednym z objawów tego „zdwojenia" moralności w człowieku.

Cała dzisiejsza ludzkość cywilizowana wyznaje urzędowo zasady moralności chrześciańskiéj, — ale ogranicza jej działanie tylko do spraw indywidualnych, co się zaś tycze obcoplemienców, ludzi innéj narodowości, to rządzi się względem nich do dziś dnia religią pogańską nienawiści. Do dziś dnia panują w tych stosunkach zasady dwunastu tablic rzymskich „*Contra hostes aeterna auctoritas*".

„W stosunkach międzynarodowych, mówi Sighele, „panuje moralność dzikości — ta moralność, która pochwala mord i kradzież, jeśli ofiarą jest członek obcego plemienia, a która karze te same czyny, jako zbrodnie, jeśli ofiarą jest członek tego samego plemienia" (str. 107).

Tu pojęcie patryotyzmu wyznacza granice uczuciom moralnym, do czego nie ma prawa i zmienia charakter moralny jednéj i téj saméj czynności, stosownie do tego czy popełnioną została z téj, czy

z tamtéj strony granicy. Herbert Spencer zaznacza różnice w kodeksie moralnym rzeczywistym i nominalnym, — i widzi, że w gruncie rzeczy świat najwyższą wagę i dziś przywiązuje do cnót wojennych. W klasach cywilnych i wojskowych panuje milczące uznanie dla politycznego rozboju i nikt nie protestuje przeciwko rzeziom, które się przykrywają nazwami „nieszczęść" lub „kar" politycznych.

Nie można zaprzeczyć, mówi daléj Sighele, że akceptujemy bez zastrzeżeń rozbój polityczny; śmierć wydaje się nam najzaszczytniejszą, jeśli nastąpiła na polu walki, choćby nawet ta walka, była epizodem zbrodniczego zaboru; nikt nie protestuje ani przeciwko rzeziom politycznym, jak rzezie w Armenii, ani przeciw hekatombom robotników, które tak często zdarzają się w kopalniach, a które chrzczą mianem „katastrof", gdyż przyczyny ich są przypadkowe.

Sighele sądzi, że sam „patryotyzm" nie wystarcza do wytłómaczenia tego „zdwojenia moralności", którą obserwujemy w jednostce; przyczyna jest głębsza i powszechniejsza. Moralność indywidualna jest ściśle określona, surowa i absolutna (?) Ale moralności społeczne, — t. j. kodeksy moralne grup społecznych są elastyczne i plastyczne. Wynika to stąd, że po za nimi stoi prawo samoobrony, instynkt zachowawczy, który panuje nad temi kodeksami moralności.

Każde jestestwo organiczne, aby żyć, musi wykonywać czynności dwojakiego rodzaju: wewnętrzne, oparte na współdziałaniu i zewnętrzne skierowane ku obronie. Stąd rodzą się dwa rodzaje moralności — obadwa równie konieczne. Gdyby plemię nie uważało mordu. łupiestwa i wojny za uprawnione w stosunkach z obcemi plemionami, wkrótce wytępiliby je obcy; przeciwnie, gdyby tolerowało takie czyny śród członków własnych, dopuściłoby się na sobie powolnego samobójstwa" (str. 112). Społeczeństwa cywilizowane odziedziczyły ten przepis moralny, przerabiają go i poprawiają daléj. Cywilizacya zwiększyła ilość grup społecznych, skomplikowała sytuacyę; stworzyła solidarność rodziny, stronnictwa, prowincyi i narodu, i wszyscy czujemy, że te różne moralności są potrzebne. Gdyby stronnictwo nie broniło swych członków, rozpadłoby się natychmiast; gdyby ludzkość cała poczuła się solidarną, patryotyzm zniknąłby i z nim razem zniknęłaby moralność specyalnie narodowa. Cokolwiek jednak sądzimy o wartości tych narodowych moralności, jakiekolwiek mamy zdanie o tém, czy one będą trwały, czy znikną, tymczasem należy stwierdzić, że one istnieją, że są k o n i e c z n e, i że każdy człowiek potrzebuje wielu moralności różnych, odpowiednio do różnych środowisk, w których mówi i działa. Ogół błądzi, wierząc w istnienie mo-

ralności jednéj, wiecznéj i jednakowéj, — sądzi że człowiek bywa albo całkowicie łajdakiem albo całkowicie uczciwym — moralnym.

Każda organizacya, każda grupa społeczna ma swoją moralność zmienną, stosownie do warunków jéj istnienia i stąd powstaje niemoralność moralnych. Niemoralność polityczna jest niemoralnością tylko o tyle, o ile ją porównywamy z moralnością prywatną: „wzięta sama w sobie jest tylko „przepisem postępowania koniecznego dla rozwoju grupy politycznéj, a tém samém, jak wszystko, co jest koniecznem, nie może być z pewnego punktu widzenia niemoralną" (str. 122). To nie jest bynajmniéj, twierdzi Sighele, paradoksem. Kto aprobuje morderstwo na wojnie, ten akceptuje dwie różne moralności: ogólnie ludzką i narodową, i akceptować musi resztę, a mianowicie, że każda organizacya społeczna może miéć swoje przepisy moralności, obowiązujące członków téj organizacyi dopóty, dopóki są jéj członkami. Był czas, mówi Sighele, że i nasz, włoski patryotyzm, był stronnictwem — sektą, i wtedy pochwalaliśmy zbrodnie, jakie w imię interesów téj sekty popełniano na niewinnych poddanych i oficerach austryackich. Granica między narodowością, stronnictwem politycznem i sektą jest tak subtelna, że jéj ściśle określić niepodobna i ktokolwiek pochwala zbrodnie patryotyczne, w imię interesów narodowości i państwa popełnione, ten musi akceptować zbrodnie sekciarskie i stronnicze, i zgodzić się na różną niemoralność różnych grup społecznych. Instynkt samozachowawczy istnieje tak samo w państwie, jak w narodowości, w stronnictwie i sekcie. Nie trafia nam to rozumowanie do przekonania tylko dla tego, że wszyscy jesteśmy członkami pewnéj narodowości, wszyscy jesteśmy patryotami, a nie wszyscy jesteśmy członkami pewnéj sekty lub pewnego stronnictwa. Bezwątpienia, zarówno sekta, stronnictwo jak i indywiduum może przekraczać granice samoobrony. Tłum bardziéj impulsywny przekracza je jeszcze więcéj niż indywiduum, a nakoniec śród tłumu znajdują się często „kryminaliści z urodzenia", których postępowanie spada na odpowiedzialność całéj sekty. Nie zmienia to jednak zasady samego kryteryum.

W każdéj zbrodni sekty motywem, pobudką zasadniczą jest dążenie do zachowania istnienia lub rozwoju sekty (st. 128) często źle zrozumiane i źle wykonane — a tém samém często nieodpowiednie i przeciwne istotnym celom sekty. Jednak instynkt samozachowawczy nie tłomaczy wszystkiego (str. 129) —nie tłómaczy nam, dlaczego człowiek prywatnie uczciwy, tak łatwo

staje się przestępcą politycznym. Na gruncie idej, przekonań i wiary sekty, rodzi się nowy ideał sprawiedliwości, odrębny od ideału człowieka prywatnego, namiętność, która burzy ideały moralności prywatnej i popycha mężów stanu i spiskowców do kłamstw, kradzieży i morderstwa.

Czyn popełniony bez pobudek egoistycznych własnego interesu — w interesie sprawy ogólnéj sekty, partyi, narodu i państwa oceniamy inaczéj, niż czyn popełniony dla własnéj korzyści; jest to to samo prawo psychologiczne, które spostrzegamy codziennie, widząc kobiety, któreby niewątpliwie wolały raczéj umrzeć z głodu, niż prosić o jałmużnę dla siebie, żebrzące na cele filantropijne; to samo prawo psychologiczne, skutkiem którego usprawiedliwiamy mordercę, który dopuścił się zbrodni pod wpływem słusznego uniesienia, a potępiamy bezwzględnię mordercę dla rabunku. Morderca w sprawie ogółu nietylko jest usprawiedliwiany, ale często zyskuje sławę bohatera lub męczennika. Zbrodnie w celach altruistycznych popełnione bywają nieraz z zupełną wiarą w moralność dokonanego czynu i dla nich opinia publiczna ma nietylko usprawiedliwienie, ale nawet pochwałę. Bardzo często ten altruizm jest zwykłą halucynacyą, pokrywającą nizki egoizm; sekta usposabia do takich halucynacyi i zboczeń umysłowych, objawy autosugestyi wytępiają do gruntu pojęcia moralności prywatnéj. Wobec interesów partyi, narodu i państwa życie jednostki, dziesiątek, setek i tysiąców zdaje się nie mieć wartości, i na téj drodze granic nie ma.

Sumienie łatwo uśpić — stąd szereg zbrodni popełnionych w imię interesów państwa; na tym gruncie wyrosły i prześladowania chrześcian w Rzymie i teroryzm we Francyi. Przekonanie, że cel uświęca środki, jest jedném ze zwykłych przekonań ludzi politycznych—jednym z punktów ich bezustannéj uwagi — i czasami przechodzi w „*idée fixe*". Każdy mąż stanu ma umysł skierowany przedewszystkiém do jednego celu: dojść do władzy, a gdy raz do niéj dojdzie, myśli tylko o tém, jak się u władzy utrzymać; sądzi on, że téj władzy używa dla dobra ogółu i chętnie popełnia „niedelikatności“ dla trwałego uszczęśliwiania ogółu tą władzą.

Nie bez wpływu na łatwość, z jaką moralność prywatna ustępuje w sumieniu jednostki miejsca moralności sekciarskiéj, jest pewien kult dla siły, odwagi i energii, jaki spotykamy często w niższych warstwach społeczenych. W każdéj sekcie tkwi duch buntu i brutalności i z łatwością pobudza do obniżenia działalności wpływów moralnych; są to atawistyczne wpływy przeszłéj dzikości.

W tłumie wrzask podnieca odważnych do użycia siły — do zbrodni — których są automatycznymi sprawcami. To, co w tłumie następuje nieświadomie, w oka mgnieniu, to samo staje się w sekcie ze świadomością i zwolna. Sumienie sekciarzy zanika — moralność się obniża — a za popełnioną zbrodnię bardziéj odpowiedzialnym jest tłum i sekta, niż bezpośredni sprawca. Umiéć zabić i umieć umrzeć jest ideałem sekciarza.

Wielki niezaprzeczenie wpływ na zbrodnie i przestępstwa polityczne ma nakoniec mniejsza, lub większa pewność ich bezkarności. W przestępstwach politycznych prawdopodobieństwo bezkarności wzrasta czasem aż do pewności. Cnota dla cnoty była i jest zawsze rzadkością; — dla większości ludzi życie jest kompromisem między złem większém i mniejszem, między któremi trzeba umiéć wybrać to, co grozi najmniejszém cierpieniem osobistém. Jeśli kary i hańby można uniknąć—zbrodnia dla bardzo wielu staje się mniéj wstrętną; obawa kary i hańby powstrzymuje wielu od „niedelikatności". Jest to niezawodnie jedna z przyczyn, dla których ludzie częściéj decydują się na przestępstwa polityczne, niż na przestępstwa prywatne. Przedajność prasy ratuje tu mężów stanu dla których nadużycie jest tylko drogą boczną, a krótszą. Dla ministra u władzy bezkarność jest zapewniona dopóty, dopóki trwa jego władza,—a serwilizm otoczenia nie jest słabszym od przedajności prasy. Każda dyktatura prowadzi do samowoli, niesprawiedliwości i zbrodni,—jest to rodzaj psychologicznego alkoholizmu przechodzącego łatwo w obłęd. Tyberyusz zdaniem Tacyta był: „*vi dominationis convulsus et mutatus*".

IV.

Instykt samozachowawczy każdéj sekty, kryteryum etyczne specyalne dla zbrodni w celach altruistycznych, kult siły i odwagi, a wkońcu prawdopodobieństwo lub pewność bezkarności, sądzi Sighele, prowadzą do tego, że moralność polityczna jest daleko mniéj rozwinięta niż moralność indywidualna. Czyny uważane za godne nagany, niemoralne znikają najprzód ze sfery czynów prywatnych, a dopiero potém ze sfery publicznéj, z obyczajów politycznych. Kłamstwo, krzywoprzysięstwo, trucizna, zabójstwo, w moralności prywatnej, oddawna uznano za zbrodnie; spotykamy się jednak z niemi często w obyczajach politycznych wieków średnich. Indywiduum jest zawsze moralniejsze od ludzi politycznych, a im więcéj rozszerza się sfera działania człowieka, tém bardziéj etyka jego jest wyrozumiałą.

Grupa ludzi, twierdzi Sighele, zbiorowość jest zawsze jako całość mniéj moralna, niż pojedynczy człowiek. Produkt intelektualny i moralny zbiorowiska jest zawsze gorszy niż suma jego umysłowych i etycznych wartości; zachodzi tu zawsze zmiana i zmniejszenie wartości.

Możnaby sądzić, że uspołecznienie pogarsza człowieka, że imbardziej rozszerza się zakres jego działalności, témbardziéj obniża się inteligencya i moralność zbiorowa.

Oddawna téż zauważono, mówi Sighele, że moralność polityczna jest zawsze niższa od moralności indywidualnéj. Już Plato radzi filozofowi trzymać się zdala od polityki i do dziś dnia spotykamy się często z opinią, że moralność wogóle podnosi się z wyjątkiem moralności politycznéj. Maxime du Camp powtórzył zdanie pewnego ambasadora, że polityka jest szantażem, targiem, a często rozbojem, (*„affaire de chantage, marchandage, souvent de brigandage"*). Dość przeczytać opinię Macaulay'a o Robercie Walpole'u, aby się przekonać, jak wiele wyrozumiałości ma świat dla utalentowanych przestępców politycznych. Polityka zawsze demoralizuje ludzi.

Jeśli takie są zasady stronnictw, stojących u władzy, mówi Sighele, łatwo zrozumiéć, jakiemi zasadami kierują się stronnictwa, nie mające prawnego istnienia, tj. sekty. Sekta, uciśniona i prześladowana nie może się posługiwać temi samemi środkami działania, jakich używają stronnictwa legalnie istniejące — gwałt, siła, odwaga muszą być głównemi środkami działania sekty. Dla wszystkich mniejszości działanie środkami legalnemi jest drogą zbyt długą.

Dlatego téż Sighele, sądzi, że człowiek polityczny i członek sekty nie mogą być prawdziwie moralnymi, istotnie uczciwymi ludźmi. W polityce być uczciwym jest to samo, co być niezręcznym, i dlatego Buckle sądził, że każdy mąż stanu jest kryminalistą, że nie można w historyi odnaleźć ani jednego wielkiego męża stanu, któryby był zawsze uczciwym. Mąż stanu w działaniu polityczném nie może się kierować zasadami moralności indywidualnéj; dla sekciarza być moralnym jest prawie niepodobieństwem. Mąż stanu musi kłamać, przekupywać dzienniki i sumienia. Sekciarz bez gwałtu i siły niczego nie dokona. Kto chce całe życie pozostać uczciwym, nie może być ani sekciarzem, ani członkiem partyi, ani mężem stanu. Dyplomata mówiący zawsze prawdę — jest niemożliwością. Tylko naiwni i hipokryci zaprzeczyć mogą tym faktom.

Probowano usprawiedliwić ten stan, dzieląc moralność na wielką i małą (Mirabeau). Moralność „wielka" usprawiedliwia zbrodnię popełnioną w celach altruistycznych. Być może, że w niektórych

wypadkach taka moralność ma racyę bytu, bo w polityce zwykle — „cel uświęca środki" ma grunt pod sobą. Są wypadki, np. dla dobra kraju, w których zbrodnią byłoby nie popełnić zbrodni. Ale jeśli zbrodnia nie jest bezwarunkowo konieczną—pozostaje zbrodnią. Powodzenie i waga interesów jest tu ostatecznėm kryteryum. Mali zbrodniarze są zawsze zbrodniarzami — wielcy zdobywają zaszczyty i władzę.

Powodzenie robi czyny polityczne bezprawne—prawnemi, bo zwycięstwo pociąga za sobą zgodę większości. Logika ta niczém zwalczyć się nie daje, jeśli tylko dla kogo większość decyduje o prawności lub nieprawności czynu.

Co do zdania, że polityka powinna być moralną, że polityka niemoralna prowadzi społeczeństwo do zguby, Sighele sądzi, że zasada ta jest niebiezpieczną, że społeczeństwo któreby probowało być moralném, zgotowałoby samo sobie ruinę. Zepewne ideałem męża stanu jest być uczciwym w polityce, ale dyplomacya bez kłamstwa, rząd bez samowoli, sekta bez czynów gwałtownych—to są rzeczy nie dające się pojąć.

W ostatecznym wniosku Sighele twierdzi, że moralność polityczna jest zawsze i z konieczności niższa od moralności indywidualnéj. Człowiek uczciwy z przekonania nie osiągnie w polityce żadnego celu, a genialni mężowie stanu nie byli nigdy uczciwymi. Buckle ma słuszność twierdząc, że naród lepiéj wychodzi na rządach genialnych zbrodniarzy niż na rządach uczciwych głupców. Oszust łupi sam, ale tylko sam; głupi pozwala łupić tłumowi innych. Wszystko to jest smutném, ale koniecznêm,—a w gruncie rzeczy mniéj smutném, aniżeli się wydaje.

Jest bowiem w naturze rzeczy, twierdzi nasz autor, tajemnicze i dziwne prawo zrównoważenia (kompensacyi), które sprawia, że ze złego często rodzi się dobre. W naturze, jak dowiódł Darwin, trwają stale tylko te organa, które są użyteczne dla organizmu. Zbrodnia rozwija się i zmienia formę, trwała i trwa ciągle, musi więc mieć pewną użyteczność, musi społeczeństwu oddawać pewne usługi. Zbrodnia polityczna, sekciarska i patryotyczna jest zawsze pewnym rodzajem drożdży, wywołujących postęp. Już wojna, która jest zbrodnią „*en masse*" i niewolnictwo przyniosły cywilizacyi niezaprzeczone korzyści. Mężowie stanu — zbrodniarze—oddali nieraz wielkie zasługi cywilizacyi, zwyciężając hordy barbarzyńców. Zbrodnia ma więc pewne zadanie społeczne. Tylko opinia publiczna nie może się zdobyć na odwagę nazywania rzeczy po imieniu. Politycznym zbrodniarzom nie można mówić w oczy, że są zbrodnia-

rzami: chwali się ich, znosi—ale jeśli kto powie, że są oni koniecznością, tego świat wyklina.

Sighele nie ma zamiaru ani bronić ani idealizować zbrodni politycznéj — stwierdza tylko fakta, których zaprzeczać niepodobna (str. 178). Stany nienormalne i stany chorobliwe nie są téż bez pożytku. Wielcy „niezrównoważeni" byli nieraz promotorami postępu i uczciwość nie jest jedyném źródłem wszystkiego, co piękne. Zbrodnia może czasami rodzić dobre. Dla socyologa zbrodnia jest faktem, z którego nie samo wyłącznie złe tylko wypływa.

Nie należy jednak oddawać się złudzeniu, mówi Sighele, że zjednoczenie obu moralności: prywatnéj i politycznéj jest możliwe, że kiedyś ono osiągniętém zostanie. Byłoby to złudzeniem, a temu złudzeniu ulega pewna szkoła ekonomiczno-socyalna; sądzi ona, że osiągnięcie przez nią władzy usunie ze świata wszelkie zbrodnie, zarówno indywidualne, jak polityczne. Takim złudzeniom oddawali się zawsze wszyscy apostołowie rewolucyi. Żaden przewrót społeczny nie zmieni stosunków i warunków antropologicznych. Człowiek pozostanie zawsze człowiekiem i nigdy nie osiągnie doskonałości. Zbrodnia zniknąć nie może, a moralność polityczna nie osiągnie nigdy wyżyn moralności indywidualnéj. Medycyna i chirurgia nie usuną chorób i nigdy wielkie zbiorowisko ludzi nie będzie mogło w swém postępowaniu kierować się wyłącznie zasadami moralności indywidualnéj. Moralność grup ludzkich będzie zawsze inną. Obie moralności podnoszą się stale i podnosić będą, ale połączyć się nie mogą; jak dwie linie równoległe nie spotkają się nigdy. Spotkanie się ich w nieskończenie odległéj przyszłości jest przypuszczeniem metafizyczném, bezpłodném, odwodzącém od badania rzeczywistości.

Dzisiejsza ludzkość nie zdradza zamiaru rządzenia się zasadami bardziéj idealnemi; wojny nie zdają się zbliżać ku końcowi; równość intelektualna i moralna jednostek jest chimerą, a równość ekonomiczna, jeśli jest logicznie możliwą, w każdym razie w bardzo odległéj przyszłości. Walka klas społecznych trwać więc będzie zawsze Każda z tych klas postępować będzie według zasad swojéj moralności: klasy wyższe używać będą w téj walce środków bardziéj cywilizowanych, klasy niższe środków więcéj barbarzyńskich i dlatego téż traktowane będą, jak przestępcy. Zbrodnie nieraz będą nazywane heroizmem, a heroizm zbrodnią i te heroiczne zbrodnie będą konieczne dla postępu. Zbrodnie sekt będą zawsze zasługiwały na wyrozumiałość, gdyż źródłem ich jest dążenie do czegoś lepszego, altruizm, który skłaniając człowieka do poświęceń dla potomności, tém samé wyróżnia go od bydląt.

V.

Praca Sighele'go dla nauki niewiele nowego przynosi; co najwyżéj stwierdzenie konieczności badań psychologii zbiorowisk ludzkich pośrednich między „tłumem“ a „państwem”, tych, jak mówi Sighele „*traits - d'unions*” stanowiących ogniwa przejściowe. Zasługuje ona więcéj na uwagę, jako zbiór zdań utartych, kursujących w opinii publicznéj, opartych, jakoby na obserwacyi faktów historych, z pretensyą do naukowéj powagi.

Zasadnicza teza Sighele'go: że poziom intelektualny i etyczny każdego zbiorowiska ludzkiego jest niższy od poziomu etycznego przeciętnych jednostek to zbiorowisko składających, — jest paradoksem — *à la* Nordau — bez żadnéj, ani naukowéj, ani historycznéj podstawy. Nawet analogia ze związkiem chemicznym jest bardzo źle użytą: z połączenia chemicznego dwóch ciał powstaje coś nowego do żadnego z obu ciał składowych niepodobnego, lecz o własnościach tego ciała, o jego wartości, nic z góry wiedzéić nie możemy. Zatém i ten tak wątpliwy argument nie pozwala nam nic wnioskować o charakterze zbiorowisk ludzkich.

Że patryota włoski patrząc na przedstawicieli narodu włoskiego—obserwując działalność parlamentu na Monte Citorio — może zwątpić o wartości parlamentaryzmu, temu się dziwić nie można. Jeśli jednak bierze za prawdę paradoks o poziomie intelektualnym i etycznym zbiorowisk ludzkich — dowodzi tém tylko jak łatwo umysł jednostki, choćby docenta uniwersytetu wpada w jednostronność, — i dowodzi tém samém jak uzasadnionym jest sceptycyzm ludzki co do wartości opinii indywidualnych, jak łatwo jednostką kierują uczucia i namiętności, jak potrzebna jest bezstronność w sądach i jak konieczne jest sprawdzenie każdego zdania indywidualnego, choćby przez porównanie go ze zdaniami innych indywiduów.

Sighele—a razem z nim wszyscy, którzy stracili wiarę w inteligencyę i etykę parlamentów, nie widzą, że występując przeciw parlamentaryzmowi — w imię argumentu Sighele'go — obalają jednocześnie zasady wszelkiéj kolegialności — zwalczają zaufanie do zdania wielu i bronią powagi zdania jednostki.

Gdyby paradoks Sighelego był prawdą rzeczywistą, należałoby nietylko znieść parlamenty—co w niektórych krajach możeby nawet nie było szkodliwém, ale należałoby znieść także wszelkie

władze i instytucye kolegialne, usunąć kolegialne sądy, trybunały i senaty, wszelkie rady stanu, rady państwa, ziemstwa i zebrania gminne, nawet rady zarządzające towarzystw akcyjnych i komitety instytucyi dobroczynnych, słowem wszelkie sądzenie i rządzenie oddać w ręce pojedyńczych osób.

Nie ulega wątpliwości, że wszelkie narady w zbyt wielkiéj liczbie osób niewiele przynoszą pożytku: zależy tu wiele od różnorodności jednostek, ich przyzwyczajeń i nawyku do tłumnych narad; od ilości wybitnych umysłów, zdolnych stanowić jądra przeważających opinii. Tłumne narady mają swą technikę i sztukę, któréj brak często najfatalniejsze wydaje rezultaty; brak organizacyi i karności w tłumie radzącym, jak i w każdym tłumie, prowadzi na manowce. Sighele nie zwraca uwagi na tę stronę kwestyi, wszelkie braki i niedostatki kolegialności bierze za wady organiczne i wypowiada zasadę bardzo pochlebną dla indywiduum ludzkiego, ale nie mającą ani naukowéj podstawy, ani praktycznéj doniosłości.

Bardzo wątpliwą też jest opinia Sighelego o możliwości „zdwojenia się moralności" w indywiduum ludzkiém. Trudno w to uwierzyć, aby człowiek, przekonany, iż posiada prawo popełniania przestępstw politycznych i sekciarskich, pozostał całkowicie uczciwym w życiu prywatném. Jeśli między tłumem a jednostką zachodzą stałe zjawiska przesiąkania, to zjawiska te są jeszcze częstsze i stalsze między dwoma sumieniami jednego indywiduum (jeśli je mieć ono może) i obniżanie się poziomu etycznego w sumieniu polityczyném musi wpływać na obniżanie się poziomu etycznego w sumieniu prywatném. Pokolenia wychowane bez pojęć o sprawiedliwości politycznéj, muszą powoli zatracać pojęcia sprawiedliwości prywatnéj. Niewolnictwo demoralizuje i niewolników i ich panów; plantatorzy kolonialni, zatraciwszy pojęcie sprawiedliwości względem niewolników, — straciwszy sumienie jako klasa, powoli zdemoralizowali się jako jednostki. Rzymianie przyuczywszy się łupić prowincye—łupili potém Rzymian: legiony wydały pretoryanów. Fakt ten tak często i stale powtarza się w historyi, że „zdwojenie sumień" i „zdwojenie moralności" nie wydaje się możliwém w życiu rzeczywistém.

Niemniéj fałszywą jest końcowa teza Sighele'go, że zbiorowiska ludzkie nie mogą kierować się zasadami etyki obowiązującemi w postępowaniu jednostki, że każdy członek sekty, członek partyi, mąż polityczny, z konieczności musi być niemoralnym. Tezę tę opiéra Sighele na instynkcie samozachowawczym każdego zbiorowiska ludzkiego, jako na argumencie głównym i na trzech argumentach dodatkowych: wyrozumiałości dla zbrodni popełnianych

w celach altruistycznych, uznaniu dla siły i odwagi i prawdopodobieństwie (ewentualnie pewności) uniknięcia kary. Co się tyczy argumentów dodatkowych, Sighele ma słuszność po swéj stronie: niewątpliwie grają one w psychologii zbrodni, przestępstw i niedelikatności politycznych bardzo wielką rolę. Inaczéj jednak jest z argumentem głównym: instynktem samozachowawczym sekty, partyi, państwa i narodu, który jako argument tutaj jest zupełnie bez wartości.

Instynkt samozachowawczy ani jednostki, ani społeczeństwa nigdy nie może być źródłem zbrodni lub przestępstwa. Zbrodnia jest targnięciem się na cudze istnienie, na cudze prawa, albo przekroczeniem granic samoobrony; nie może powstać tam, gdzie takiego targnięcia się nie ma. Dopóki żadne indywiduum i żadna grupa społeczna nie wkracza w granice praw cudzych, dopóty nie zachodzi potrzeba obrony—i dlatego domniemanym, koniecznym motywem wystąpienia w życiu instynktu samozachowawczego jest tylko napaść z zewnątrz. „Motywem zasadniczym—mówi Sighele—przestępstwa sekty jest zawsze samozachowanie lub rozwój sekty.“ Sekta sądzi, że ma prawo istnienia i „rozwoju“, przyczém Sighele nie zastrzega, czy rozwój ten ma się odbywać bez naruszenia praw innych grup spółczesnych, czy téż bez względu na te prawa.

A jednak w rozwiązaniu tego pytania leży jądro kwestyi. Badając psychologię sekt, Sighele powinien był pójść jeszcze daléj, jeszcze głębiéj i zapytać się, dlaczego sekta, partya, państwo i naród są zawsze skłonne nie szanować praw istnienia innych sekt i partyi, i naruszając ich prawa, twierdzić, że działają tylko w interesie swego istnienia lub swego koniecznego rozwoju.

Wynika to z natury rzeczy: z wiary, że idea, która stanowi węzeł łączący sektę ma wartość prawdy bezwzględnéj, któréj zrealizowanie w życiu przyniesie korzyść nietylko członkom sekty, ale i ogółowi. Ta sama wiara kieruje stronnictwami politycznemi zarówno postępowemi, jak konserwatywnemi, demokratycznemi, jak i arystokratycznemi. Każda sekta religijna, sądzi, że tylko na jéj łonie człowiek może dostąpić zbawienia, każde stronnictwo polityczne monopolizuje dla siebie zdolność rządzenia dobrze krajem, każdy naród uważa się za niosącego naprzód pochodnię cywilizacyi, i każda z tych grup społecznych: sekta, stronnictwo i naród, przekonana jest (albo udaje, że jest przekonaną), że rozwój jego, zapewniając panowanie jéj zasadom, uszczęśliwi świat cały a na gruncie tego przekonania czynności swe naruszające prawa innych sekt, stronnictw

i narodowości, uważa nie za naruszenie ich praw, ale za czynności wywołane koniecznością samoobrony lub naturalnym i koniecznym rozwojem idei, których jest przedstawicielem.

Gdzie w tych wypadkach kończy się dobra, a zaczyna zła wiara—o tém bardzo trudno sądzić. To pewna, że w historyi ludzkości nie brak rzezi milionów dla zapewnienia rozwoju pewnych idei, szczególnie jeśli te rzezie zapewniały korzyści wyznawcom.

Sighele niejednokrotnie wspomina o halucynacyach altruizmu, o autosugestyi sekty. Nie podkréśla jednak, że ta autosugestya i halucynacya wynika z natury rzeczy, że każda idea sekciarska opiéra się na wierze w absolutną prawdę wyznawanéj idei, że każde stronnictwo z natury rzeczy musi uważać tylko siebie za zdolne dobrze rządzić krajem; że każdy silnie rozbudzony patryotyzm prowadzi do przekonania o ogólnie ludzkiéj wartości narodowych idei. Im silniéj rozbudzone są uczucia sekty, stronnictwa i narodowości, tém większa jest skłonność do zatarcia granicy między samoobroną a napaścią, prawem do życia jednych a chęcią rozwoju drugich, — aż w epokach silnego poruszenia sekt, stronnictw i narodowości poczucie sprawiedliwości między grupami społecznemi znika zupełnie i sprawdzają wtedy słowa św. Augustyna „*quid sunt sine justitia civitates—nisi magnae societates latronum?*"

Gdy się namiętności uspokoją, gdy idee sekty, stronnictwa i narodowy szowinizm upadną, — wtedy dopiéro prawda wraca do praw swoich, a historya okréśla wartość etyczną wypadków. Zbrodnia zostaje nazwana zbrodnią—w sądzie ostatecznym historyi ustaje „zdwojenie moralności", a powraca zasada „*suum cuique.*"

VI.

Jakkolwiek Sighele zaznacza, że w pracy swéj ma zamiar stwierdzać tylko fakty, nie zaś wnosić obronę za zbrodnią polityczną i sekciarską, to jednak dowodzenie, że zbrodnie w polityce są koniecznością i że zbiorowiska ludzkie muszą mieć moralność inną niż indywidua ludzkie — w ostatecznym wywodzie jest obroną politycznych i sekciarskich zbrodni, przestępstw i „niedelikatności".

Mimowoli przychodzi na myśl porównanie jego argumentów z argumentami polityka, uważanego przez szereg wieków za sumę politycznéj niemoralności, porównanie z treścią „Księcia" Mikołaja Machiavelli.

„Książę" jest też płodem patryotycznego oburzenia, rezultatem reakcyi przeciw rzeczywistości. „Historya Włoch w XV-ym i XVI wieku — mówi C. Ferrari w przedmowie do francuskiego wydania „Księcia" [1]) — jest historyą żałoby i hańby." W téj epoce Machiavelli pisze rady dla księcia, których etyczna podstawa streszcza się najlepiéj w tym znanym ustępie z XVIII go rozdziału:

„Każdy rozumié, jak godném jest pochwały w księciu jeśli dotrzymuje wiary, działa otwarcie i bez podstępu; lecz doświadczenie naszych czasów przekonywa, że wielkich rzeczy dokonali tylko ci panujący, którzy nie wiele cenili swe słowo, którzy potrafili zręcznie oszukać innych, i którzy w końcu umieli zwyciężyć tych, co zawierzyli ich uczciwości..."—„Gdyby ludzie byli uczciwi, zasada ta byłaby złą, ale ponieważ są złymi i dalekimi od dotrzymywania słowa nie powinieneś i Ty swojego dotrzymywać, a nie zabraknie Ci nigdy sposobów usprawiedliwienia się z jego niedotrzymania."

Dla Machiavellego polityczna nieuczciwość ma swoje usprawiedliwienie w politycznéj nieuczciwości innych, a w stosunku z uczciwymi jest złą, potępienia godną. Dla Sighele'go obojętną jest rzeczą, czy druga strona w stosunku jest uczciwą lub nieuczciwą, obojętném jest, czy sekta, stronnictwo lub naród broni się czy napada, czy walczy w obronie swego istnienia, czy dla zapewnienia dalszego swego rozwoju; obojętną jest rzeczą, czy w tém dążeniu do rozwoju narusza czy nie narusza praw innych. Sighele konstatuje fakty: kto chce żyć, kto chce się rozwijać, ten z konieczności wyzbywa się ideałów moralności i sprawiedliwości indywidualnych, i musi popełniać czynności, które ze stanowiska etyki „indywidualnéj" nazywają się „niedelikatnościami", przestępstwami i zbrodniami.

Zapomniał tu przedewszystkiém, że „konieczność" w świecie zjawisk społecznych nie ma nigdy tego znaczenia, co w świecie zjawisk fizycznych; że gdyby przyszło do stwierdzania, czy w danym wypadku przestępstwo było koniecznėm? tylko w wyjątkowych razach takie stwierdzenie mogłoby nastąpić, a tém samém wogóle wypadków według opinii nawet Sighele'go — zbrodnia pozostałaby zbrodnią. W każdym danym wypadku opinia o „konieczności" jest opinią indywidualną sekty, — tak samo jak i opinia o tém, czy w danym wypadku zachodzi wypadek samoobrony, czy naruszenie praw innych. Cały sąd etyczny o wartości moralnéj czynności wydaje indywiduum lub grupa społeczna zainteresowana i dlatego też sąd

---

[1]) „*Bibliotheque Nationale*", 1867, str. XII.

ten jest bez najmniejszéj wartości. W opinii sekty, stronnictwa, narodu—słuszność będzie zawsze po jego stronie, bo ono samo przesądza, jak daleko sięgaja prawa jego rozwoju i co jest do tego rozwoju koniecznêm, a wtedy naturalnie wszystko, co mu korzyć przynosi, jest koniecznêm i moralnêm.

W zasadach „Księcia" dla usprawiedliwienia postępowania przeciwnego etyce wymaganêm jest przekonanie, że i strona przeciwna jest niemoralną; niebezpieczeństwo leży w têm, że o moralności danéj grupy społecznéj sądzi inne indywiduum lub grupa bez apelacyi; — wedle zdania Sighelego—niemoralnym wolno być zawsze, bez względu na dobrą wiarę strony drugiéj, byleby zachodziła „konieczność".

To téż zdanie Sighele'go — a właściwie dzisiejsze przekonania politycznéj moralności — są etycznie niższemi od opinii wyrażonych w „Księciu". Sighele sądzi, że obie moralności indywidualna i polityczna mimo różnicy ich poziomu, wznoszą się ciągle i dążą do jakiegoś nieziszczalnego ideału. Jeśli jednak te fakta, które stwierdził są rzeczywiste, jeśli jego tezy są prawdziwe, to moralność polityczna dzisiejsza w porównaniu z moralnością XVI w. cofnęła się, i jeśli może, jak twierdzi Sighele, uległa ewolucyi co do formy, porzuciła truciznę, sztylet i krzywoprzysięstwo — to co do treści uległa chyba ewolucyi wstecznéj.

Czy świat dziś jest bardziéj moralny niż był, czy mniéj moralny — tak w swéj etyce indywidualnéj, jak i w etyce grup społecznych tego pytania rozwiązywać tu nie mamy zamiaru. Wiemy tylko, że po epokach postępu następują epoki cofania się i że świat od czasu do czasu przechodzi epoki cywilizacyjnego, intelektualnego i etycznego upadku. Dla nas książka Sighele'go jest jedną z poszlak, że epoka obecna jest epoką upadku pojęć etycznych w moralności politycznéj, któréj przyczyn szukać należy w rozbudzeniu namiętności klasowych, narodowych i rasowych.

Roznamiętnienie walki, jak sam Sighele słusznie zaznacza, prowadzi z konieczności do altruistycznych halucynacyi, politycznych autosugestyi „kulturträgerskiego" obłędu zacierającego pojęcia sprawiedliwości, usuwającego z sumień ludzkich zasadę *„suum cuique"*. Że śród takiego pomieszania pojęć rodzą się teorye „konieczności zbrodni", że potém wobec jéj potworności trzeba się powoływać „na tajemnicze prawo zrównoważenia", które sprawia, że i ze złego dobre wyrasta, i że stany nienormalne i chorobliwe są dla człowieka pożyteczne, to już naturalnie z samych założeń wynika. W ten sposób rozumując, możemy twierdzić, że skoro nigdy zbrodnia z oblicza ziemi nie zginie, że skoro têm samêm jest ona „konie-

cznością społeczną", to jako taka „z pewnego punktu widzenia nie może być niemoralną, bo jest konieczną".

Historya zanotowała na kartach swoich rozwój jednéj sekty, któréj dzieje, w pierwszych wiekach jéj istnienia, są pełnemi zbrodni na niéj popełnionych, a nie notują ani jednego faktu zbrodni, dokonanéj przez jéj członków ani dla jéj rozwoju, ani dla jéj samoobrony. W ciągu paru wieków sekta ta, złożona pierwiastkowo z garści ludzi, opanowała cały ówczesny świat cywilizowany i z nauki głoszonéj przez nieznanego proroka z nad Jordanu stała się potęgą wszechświatową. Historya téj sekty dowodzi, że gdzie węzłem łączącym sektę jest prawda — i tylko prawda — bez domieszki egoistycznych interesów i altruistycznych halucynacyi, tam sekta zawsze ma pewność osiągnięcia zwycięstwa — nawet wtedy, gdy nietylko sama nie popełnia „koniecznych zbrodni", ale wtedy, gdy nie używa prawa samoobrony wobec dopełnianych na niéj „koniecznych zbrodni".

Historyę téj sekty znamy wszyscy tak dobrze, że zwykle o niéj zapominamy.

Ludynia, 2 sierpnia 1898 r. *St. Piotrowski.*

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Kazimierz Król i Jan Nitowski. „Podręcznik do nauki literatury polskiéj.“ Połowa I (str. 1 do 210). Warszawa, nakładem Michała Arcta, 1898 r.

Dawno już żadna praca nie była oczekiwana z taką niecierpliwością przez wszystkich interesujących się naszém piśmiennictwem, jak niniejsze, zapowiadane od kilku miesięcy dziełko dwóch doświadczonych pedagogów. W saméj rzeczy, oddawna już wszystkim wykładającym, jak również i studyującym literaturę ojczystą, dawał się odczuć brak jakiegokolwiek podręcznika, który możnaby obrać za przewodnika dla siebie czy dla innych w badaniu przeszłości naszego piśmiennictwa, nie obawiając się być sprowadzonym na manowce. Dawniejsze dzieła w tym przedmiocie, wobec ciągłego wzrostu nauki, nowych odkryć i t. d., nie mogą już obecnie wystarczać. Najlepszy dotychczas podręcznik Adama Kuliczkowskiego w ostatniém nawet swojém wydaniu jest zupełnie wyczerpany, a zresztą i w nim nie są uwzględnione najnowsze odkrycia.

Prawdziwie więc obywatelski czyn spełnili pp. Król i Nitowski, dając nam swój podręcznik, wybornie zastosowany do użytku szkolnego. Z natury rzeczy dziełko tego rodzaju nie może rościć pretensyi do oryginalności; musi ono być zawsze w mniejszym lub większym stopniu kompilacyą; chodzi tylko o to, by ta kompilacya była rozumna i umiejętna. Podręcznik niniejszy wymaganiom tym odpowiada w zupełności. Autorowie na każdym kroku liczyć się musieli z rozmiarami „podręcznika”; usunęli więc z niego wszystko, co powiększałoby jego obję-

tość, nie wpływając bynajmniéj na podniesienie jego użyteczności. „Kładąc więc głównie nacisk na charakterystykę dzieł autorów wybitniejszych“, jak powiadają w przedmowie, „i wogóle ich działalności pisarskiéj”, pominęli wszystko, co mogłoby tylko niepotrzebnie przeciążać pamięć ucznia, jako to: „nic nieznaczące szczegóły biograficzne”, „wnioski i sądy, naciągnięte na zbyt obszerne ramy”, wreszcie wszelką polemikę, jak rzecz w zasadzie swojéj niepedagogiczną.

Podzieliwszy historyę naszego piśmiennictwa na 6 okresów, przyczém okres Piastowski i dobę humanizmu złączono w jedną epokę, na co się w żadnym razie zgodzić nie można, autorowie układają materyał swój w następującym porządku: najpierw podają treściwą, ale wcale udatną charakterystykę każdego okresu, potém zaś rozpatrują oddzielnych przedstawicieli tych okresów, poetów (wprzód polskich, następnie łacińskich) i prozaików, dzieląc jeszcze tych ostatnich na kronikarzy, pisarzy politycznych, mówców i t. d. W sylwetce każdego z pisarzy znajdujemy: 1) daty urodzenia i śmierci; 2) krótki życiorys, złożony z najważniejszych szczegółów, z pominięciem strony anegdotycznéj; 3) wyliczenie dzieł, możliwie wyczerpujące, i ich charakterystykę, gdzieniegdzie krótkie streszczenia i wreszcie wyborne charakterystyki samych pisarzy i ich znaczenia w literaturze ojczystéj. Już z tych kilku rysów widać, że pp. Król i Nitowski doskonale pojęli zadanie swe pedagogów-popularyzatorów, témbardziéj że tak w życiorysach, jak i bibliografii nie omieszkali skorzystać z najnowszych nabytków nauki.

I to jeszcze przyczynia się do pożyteczności dziełka, że autorowie starali się oddzielić rzeczy ważniejsze od mniéj ważnych, wysuwając na pierwszy plan autorów i dzieła pierwszorzędnéj wagi; rzeczy zaś drugo- i trzeciorzędne, wyróżnione drobniejszym drukiem, mogą być dzięki temu z łatwością opuszczone przez wykładającego. Do zalet podręcznika zaliczyć jeszcze należy skrzętne notowanie polskich przekładów utworów, pisanych po łacinie, a należących do naszéj literatury, jak kronik, wierszy i t. d, i wreszcie odnośniki, w których wymienione są główniejsze studya i monografie, tyczące się oddzielnych autorów.

Jak widzimy więc, praca pp. Króla i Nitowskiego zapełnia poważną lukę w naszéj literaturze pedagogicznéj i może zastąpić cały szereg monografii, nie dla każdego przystępnych; jedném słowem, przyznajemy chętnie, że mamy tu do czynienia z wybornym podręcznikiem szkolnym, opartym na najnowszych studyach monograficznych, témbardziéj, że cechują go takie zalety stylu, jak treściwość, a zarazem

ścisłość, i po za tém żywość wykładu w charakterystykach epok, pisarzy i ich utworów.

Ponieważ jednak praca pp. Króla i Nitowskiego jest najlepszym i jedynym podręcznikiem do historyi naszego piśmiennictwa, który śmiało można polecić tak pedagogom, jak i samoukom, i który prawdopodobnie w szerokiém będzie użyciu, niepodobna pominąć pewnych jego wad i usterek, nieuniknionych w każdém tego rodzaju wydawnictwie; są one jednak nieliczne i bynajmniéj nie zmniejszają wartości podręcznika.

Najważniejszym brakiem dziełka jest jego układ wadliwy. Nie mówię tu o podziale pisarzy pewnéj epoki na poetów i prozaików, bo nie chcę roztrząsać kwestyi, jaka metoda jest bardziéj pedagogiczna, czy rozpatrywanie utworów jakiegoś okresu według działów, czy też w chronologicznym porządku; mam tu na myśli podział poetów XVI w. na polskich i łacińskich. Przedewszystkiém podział taki nie da się nigdy ściśle przeprowadzić, gdyż wszyscy prawie poeci XVI w. (prócz najpóźniejszych) pisali potrosze w obu językach; a potém, metoda ta, szczególniéj w takim porządku (polscy, potém łacińscy poeci), sprawia takie zamieszanie chronologiczne, że np. Janickiego († 1543 r.) znajdujemy po Zimorowiczach, z których jeden urodził się w r. 1597, a drugi — w r. 1604, potém Sarbiewskiego (ur. w r. 1595), a wreszcie pomniejszych poetów łacińskich: Pawła z Krosna († po r. 1518), Jana z Wiślicy († po r. 1516), Jędrzeja Krzyckiego i Jana Dantyszka. Lepiéjby już było ten porządek odwrócić i wprzód rozpatrywać poetów łacińskich, lecz w takim razie znów Sarbiewski znalazłby się przed Rejem i Kochanowskim.

I w poszczególnych działach możnaby cokolwiek zmienić porządek. Np. miejsce Sępa Szarzyńskiego i pod względem literackim i chronologicznie jest tuż po Kochanowskim, a nie między Zimorowiczami i Zbylitowskimi; Twardowskiego należało postawić przed Opalińskim i t. d.

Co się zaś tyczy pojedyńczych usterek, to przedewszystkiém zauważyć musimy, że dział zabytków średniowiecznych polskich jest zamało uwzględniony: nie znajdujemy tu ani najstarożytniejszego świeckiego wiersza polskiego: „Pieśń o zachowaniu się przy stole”, jak również pierwszego dyalogu w naszéj literaturze: „Rozmowa śmierci z magistrem”; za to pomieszczono tu „Pieśń o pruskiéj porażce”, któréj późniejsze pochodzenie zdaje się nie ulegać żadnéj wątpliwości. Za autora „Kroniki wielkopolskiéj” p. Nitowski wraz z Małeckim uznaje Godysława Baszka, kustosza poznańskiego; wobec tego jednak, że dowody Małeckiego nie są dość przekonywające, lepiéjby rozpatrywać tę „Kro-

nikę" anonimowo. Nie można mówić o Długoszu, że „usiłuje on zachować możliwą bezstronność" wobec jego wrogiego stanowiska względem polityki Kazimierza Jagiellończyka, którego robi warchołem, najbliższych zaś jego doradców i pomocników—zgrają karyerowiczów.

W charakterystyce Kochanowskiego, zresztą wybornéj, należało zaznaczyć, iż „Zgoda" powstała z natchnienia biskupa Padniewskiego, tak jak „Satyr" inspirowany był przez Myszkowskiego; nie można również zgodzić się na to, że Kochanowski „dogmatów wiary nie tykał nigdy i pozostał katolikiem"; przeczą temu niektóre treny (szczególniéj X i XI), najbardziéj przejęte sceptycyzmem, przeczy oda łacińska na cześć żonatego biskupa, Andrzeja Dudycza, i niektóre fraszki, wystawiające na śmiech duchowieństwo i nawet papieża. — Kochanowski za bardzo był humanistą-klasykiem, za bardzo Rzymianinem, żeby dogmatów wiary wogóle dotykać. — Datę urodzenia Miaskowskiego według wszelkiego prawdopodobieństwa należy posunąć o 2 lata, wypadnie więc ona w r. 1551, nie zaś w r. 1549. Szarzyńskiego nazywa p. Nitowski za Faleńskim pierwszym romantykiem polskim, to samo miano spotyka Andrzeja Morsztyna, poniekąd Twardowskiego i innych poetów XVII w.; należy być ostrożnym w szafowaniu tego rodzaju epitetami, by nie wprowadzać zamętu w pojęciach nieprzygotowanego czytelnika, który, nie znając dokładnie literatury narodów romańskich, gotów wziąć za jedno romantyzm Szarzyńskiego czy Morsztyna, Twardowskiego czy Potockiego i wreszcie Mickiewicza czy Słowackiego.

Przekład „Jerozolimy wyzwolonéj" Tassa przez Piotra Kochanowskiego należało więcéj uwzględnić wobec olbrzymiego wpływu, jaki wywarł on na rozwój naszéj epiki do Mickiewicza włącznie, jak tego dowiódł Chlebowski; 10 wierszy o tym przekładzie, tak popularnym w XVII w., to stanowczo za mało. Zbyt pobieżnie również traktowane są kazania sejmowe Skargi, chociaż do pewnego stopnia wypełnia ten brak doskonała ogólna charakterystyka znakomitego kaznodziei; prócz tego w literaturze o Skardze opuszczono takie zasadnicze dzieło, jak Maur. Dzieduszyckiego „Piotr Skarga i jego wiek".

Pomiędzy utworami Twardowskiego nie znajdujemy „Satyra na twarz Rzpltéj", przypisywanego dawniéj Andrzejowi Rysińskiemu; co się tyczy jego „Nadobnéj Paskwaliny", to nietylko „wyrzeka się ona próżności", ale nawet zakłada klasztor i zostaje jego ksienią. — Charakterystyka Andrzeja Morsztyna wypadła trochę za pochlebnie; po gruntownem studyum porównawczém Porębowicza nie można już unosić się nad uczuciową stroną jego poezyi, przedstawiającą miłość we wszystkich odcieniach, a témbardziéj nad stylem, w którym jakoby „miara

artystyczna" miała być „umiejętnie zachowaną" i obrazowość rzadko dochodzi do przesady.

Wszystkie te drobne usterki nie obniżają poziomu pożyteczności pedagogicznéj omawianego podręcznika, témbardziéj jeżeli porownamy je z potwornemi błędami dawniejszych historyi naszéj literatury. Jeżeli zaś nie pominąłem tych usterek, to tylko dlatego, że uważając prace pp. Króla i Nitowskiego za najlepszy i jedyny podręcznik, pragnąłbym, aby w drugiém wydaniu te drobne nawet niedokładności mogły być usunięte. Ilustrowany wydanemi obecnie przez P. Chmielowskiego wypisami do literatury polskiéj, podręcznik niniejszy, umiejętnie przez pedagogów użyty, oddać może niepospolite usługi.

H. Galle.

Aniela Szyc. „Gramatyka języka polskiego dla dzieci zaczynających uczyć się systematycznie z przykładami, ćwiczeniami i wskazówkami dla nauczycieli". Nakład i własność Michała Arcta. — Warszawa, 1898.

Z prawdziwą przyjemnością konstatujemy na polu naszéj pedagogii coraz bardziéj wzmagający się ruch wydawniczy podręczników, opartych na wymaganiach racyonalnéj metodyki, liczącéj się z pojęciami i psychologią dziecka. Teraz nauczyciel nie ma takiego kłopotu z wyszukaniem odpowiedniego podręcznika, jak przed 10 łaty, mając do wyboru doskonałe dziełka, zawierające wskazówki systematycznego dyktanda, ćwiczeń stylistycznych i t. d.

Do szeregu książek szkolnych tego rodzaju przybywa obecnie wymienione w nagłówku dziełko. Nie jest właściwie systematyczny kurs gramatyki, ale raczéj zbiór ćwiczeń, przeznaczonych dla dzieci od lat 8 do 12 a doprowadzających stopniowo do pojęć gramatycznych, wraz ze wskazówkami dla nauczyciela, jak należy z tych ćwiczeń korzystać.

Autorka powiada w przedmowie, iż kierowała się zasadami metodycznemi, uznanemi w teoryi przez większość pedagogów; a główniejsze z nich są następujące: 1) wszelkie objaśnienia gramatyczne powinny się wspierać na materyale językowym, poznanym przez mówienie i czytanie, i wynikać naturalnie z jego rozbioru, 2) zdobyte tym sposobem zasady powinny znajdować zastosowanie w różnorodnych ćwiczeniach ustnych i piśmiennych, 3) wykład gramatyki powinien rozwijać w uczniach zdolność logicznego myślenia. W myśl tych zasad autorka w następujący sposób prowadzi swoje wykłady. Chodzi np. o to, by uczeń nauczył się rozróżniać rodzaje rzeczowników. Na początku więc wykładu znajdujemy kilka powiastek, w których użyte

są same tylko rzeczowniki męzkie, żeńskie lub niejakie; z tych powiastek uczeń wybiéra rzeczowniki, a nauczyciel drogą porównania ich pomiędzy sobą doprowadza go do pojęcia o rodzaju. Następuje powtórzenie, t. j. krótka, treściwa definicya prawidła językowego, wypływającego z poprzedniego wykładu; wreszcie autorka podaje ćwiczenia gramatyczne, z których nauczyciel wybiérać może trudniejsze lub łatwiejsze, stosownie do poziomu rozwoju umysłowego dziecka. Czasem zamiast powiastki na czele wykładu znajdujemy wierszyk; wykład gramatyczny przeplatają uwagi ortograficzne czasem ułożenie ćwiczeń lub odpowiednich dyktand na prawidła gramatyczne pozostawia autorka nauczycielowi. Widzimy więc wszędzie umiejętne stosowanie indukcyi pedagogicznéj, oddawna uznanéj za jedyną metodę nauczania; pod tym więc względem podręcznik nie pozostawia nic do życzenia i może być bardzo użytecznym, szczególniéj w ręku umiejętnego i inteligentnego pedagoga. Bo téż książka niniejsza przeznaczona jest tylko dla nauczyciela, uczeń powinien ją mieć w ręku tylko o tyle, o ile przepisuje z niéj powiastki i wierszyki, służące za punkt wyjścia do wykładu, oraz przykłady.

Szkoda tylko, że ta metodyczność, tak ściśle przestrzegana w szczegółach, nie tak skrupulatnie zachowaną jest w ogólnym układzie książki. Wykłady i prawidła rozmieszczone są w niéj według odwiecznego porządku części mowy (rzeczownik, przymiotnik, zaimek i t. d., kończąc na wykrzykniku); co się tyczy oddzielnych części mowy, np. rzeczowników, to najprzód rozpatrają się podziały ich, potém rodzaj, liczba, przypadki. Wskutek tego, pojęcia gramatyczne podają się dziecku nie według stopnia ich trudności, ale podług szematu, z góry nakréślonego. Należało więc lepiéj ten odwieczny porządek naruszyć i objaśniać dzieciom materyał gramatyczny w sposób bardziéj odpowiadający prawidłowéj indukcyi, t. j. poczynać od najprostszych pojęć, chociażby z różnych dziedzin gramatyki czerpanych, i iść do coraz trudniejszych, coraz bardziéj skomplikowanych. Każde dziecko, mniéj czy więcéj rozwinięte, zrozumie różnicę między męzkim i żeńskim rodzajem, lub między liczbą pojedyńczą a mnogą, ale nie każdemu da się wytłómaczyć różnica pomiędzy rzeczownikami zmysłowemi a umysłowemi, lub piérwotnemi a pochodnemi; tymczasem u p. Szyc wykład o tych ostatnich poprzedza wszystkich inne. Wszak autorka sama zerwała poniekąd z tradycyonalnym porządkiem, wprowadzając do etymologii pewne zasadnicze pojęcia ze składni i ortografii; należało i w saméj etymologii zmienić ten porządek w imię wymagań racyonalnego szkolnictwa. Obecnie, zadanie to pozostawione jest

nauczycielowi, który, trzymając się wybornych wskazówek metodycznych, zawartych w oddzielnych wykładach p. Szyc, może zmienić tylko ich porządek, opuszczając lub pozostawiając na późniéj to, co wydaje mu się nieopowiedniém do poziomu umysłowego ucznia. *H. G.*

Wł. Weychertówna. „Stylistyka oraz teorya prozy i poezyi do użytku szkolnego“. Nakład Michała Arcta. Warszawa, 1898.

Niniejszy podręcznik rozpada się na dwie główne części. Pierwsza z nich obejmuje właściwą „stylistykę", t. j. naukę o stylu. Po krótkim wstępie autorka poucza, jakie są warunki dobrego stylu, a mianowicie: jasność, czystość, polegająca na unikaniu barbaryzmów, z których główniejsze wymieniła autorka w kilku kolumnach (galicyzmy, rusycyzmy, germanizmy), wreszcie poprawność stylu. Przechodząc do zalet stylu pięknego, autorka konstatuje, że jest ich trzy: harmonia, ozdobność i pełność. Ozdobność polega na właściwém użyciu figur retorycznych, czyli postaci mownych, jak chce autorka w imię puryzmu językowego; pełność zaś — na prawidłowéj budowie okresów — postaciom więc mownym i okresom poświęca autorka dwa następujące rozdziały, opracowane w sposób zupełnie zadawalniający. Kończy tę pierwszą część rozdział o dyspozycyi wypracowań, gdzie autorka podaje prawidła, według których budować należy ćwiczenia stylistyczne, jak: opis, opowiadanie, charakterystyka, rozprawa i list; wykład ten ilustrują umiejętnie dobrane przykłady.

Co się tyczy wogóle przykładów, to wychodząc z założenia zaznaczonego we wstępie, że uprzednia lektura „odpowiednich utworów najlepszych pisarzów“ powinna służyć „za punkt wyjścia dla nauczyciela do wyprowadzania prawideł stylistycznych“, autorka starała się o jak najlepszy dobór urywków i utworów naszych poetów i prozaików. Trzeba przyznać, że w większości wypadków wywiązała się z tego zadania zupełnie dobrze: przykłady wybornie ilustrują wykład teoretyczny.

Druga część zawiera teoryę prozy i poezyi. Zaznaczywszy, na czém głównie polega różnica prozy a poezyi, autorka podaje podstawowe zasady sztuki rymotwórczéj w naszym języku i kończy ten oddział wyjaśnieniem główniejszych sposobów wiązania strofek, jako to: tercyna, strofa saficka, sekstyna, oktawa, tryolet i sonet. Jakkolwiek rozdział ten nie wyczerpuje całéj mnogości form wersyfikacyjnych w naszym języku, wymaganiom jednak podręcznika odpowiada w zupełności. Co do przykładów, kilka drobnych zastrzeżeń. Wiersza „Wylatuj, a okiem słońca..." nie można oznaczać przez: amfibrach+

daktyl + chorej, gdyż akcent logiczny żadną miarą nie może padać na spójnik *a* (str. 86), jak również nie można akcentować przyimka *o* w wierszu: „A zastaw się *o* swój lud poganinowi" (str. 87). Wiersz „Polecęż ja, polecę" nie jest prawidłowym anapestem, pomimo zastrzeżenia autorki, iż w wyrazie polecęż dla śpiewności przenosimy akcent na ostatnią głoskę (str. 92). W ogóle anapest, właściwie mówiąc, nie istnieje w naszéj mowie, jak również i spondej, gdyż te przykłady spondejów, jakie podaje p. Weychert na str. 92: Idź stąd, stań tam, nie są wcale spondejami, lecz chorejami lub jambami, zależnie od tego, czy akcent logiczny pada na pierwszy, czy drugi z tych dwóch jednozgłoskowych wyrazów.

Po tym wstępie następuje teorya prozy, którą autorka dzieli na prozę opisową, historyczna, (biografia, pamiętniki, historya), naukową i wreszcie wymowę. Pozostałą część podręcznika zajmuje teorya poezyi. Podzieliwszy utwory poetyckie na cztery główne działy: poezyę epiczną, liryczną, dydaktyczną i dramatyczną, autorka rozbiéra kolejno typowe formy każdego z tych działów, mając zawsze na oku naszą literaturę i stąd téż głównie czerpiąc przykłady. Możnaby téj części zarzucić, że trochę zamało uwzględniona w niéj jest historya poszczególnych rodzajów utworów poetyckich; możnaby poczynić te lub owe sprostowania lub dopełnienia, np. w rożdziale o poemacie możnaby dodać kilka słów o poemacie lirycznym, jak odnośne utwory Byrona lub Słowackiego, lub o poemacie opisowym, jak „Ogrody" Delille'a lub „Zofjówka" Trembeckiego, która w swoim czasie cieszyła się tak mało zasłużoną popularnością; możnaby, jako przykład psalmów w opracowaniu poetyckiém, podać „Skargi Jeremiego" lub „Melodye biblijne" Ujejskiego i t. d. Wogóle jednak część ta, jak i cały podręcznik, czyni zadość wszelkim wymaganiom pedagogicznym. Wobec tego, że nasza literatura szkolna tak uboga jest w tego rodzaju podręczniki, oparte na zasadach racyonalnéj pedagogii, praca p. Weychert w użyciu szkolném może okazać się wielce pożyteczną.

Jedną rzecz tylko w téj drugiéj części należy sprostować, a mianowicie pomieszczoną na str. 115 wiadomość, jakoby pieśni aojdów, wchodzące w skład „Iliady" i „Odyssei" zebrane zostały „za czasów Pizystrata w Aleksandryi w wieku VI przed Chrystusem"; nastąpiło to rzeczywiście w VI w. i za czasów Pizystrata, ale nie w Aleksandryi, lecz w Atenach. Do drobnych usterek zaliczyć należy jeszcze pewne małe niedokładności w cytatach, np. z „Farysa" lub z „Dziadów". Nie można również zgodzić się na to, iż autorka, nie uznając zasad ortograficznych, przyjętych przez Akademię Umiejętności,

trzyma się odmiennéj pisowni, np. zmiękcza *g* w wyrazach obcego pochodzenia, jak: g i e r m a n i z m, g i e o g r a f i a, lub w końcówkach wyrazów cudzoziemskich pisze stale *ja*, jak: a l e g o r j a, i r o n j a. Nie chodzi tu o to, która pisownia jest bardziéj zgodną z prawidłami i duchem języka, lecz we wszystkich p o d r ę c z n i k a c h należałoby trzymać się już jednéj pisowni, by nie wprowadzać zamętu w pojęciach ucznia, który w jednym podręczniku znajdzie taką pisownię, w drugim—inną, w trzecim zaś—jeszcze inną. *H. G.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Pierre Boyé.* **Les derniers moments du roi Stanislas** (Nancy, Sidot frères. Cracovie, G. Gebethner et Comp., 1898, str. 48). — Sześcioletnie rządy Stanisława Leszczyńskiego nie zapisały się świetnemi zgłoskami w pamięci narodu. Król, ustępując, uchodząc raczéj przed Augustem II, opuścił kraj, którego już nigdy nie miał ujrzéć więcéj. Osiadłszy we Francyi, w Lunéville, żyje wspomnieniami przeszłości, literaturze zostawia spuściznę w pracy: „Głos wolny wolność ubezpieczający", — wreszcie wegetuje, doczekawszy późnéj starości. — Ostatnie chwile jego życia skréślił p. Piotr Boyé w szkicu: *„Les derniers moments du roi Stanislas"*, którym poprzedza mające się wkrótce ukazać obszerne dzieło o Stanisławie Leszczyńskim. W broszurce omawianéj opisuje autor, powołując się na źródła rękopiśmienne przeważnie, smutny wypadek poparzenia, jakiemu uległ król Stanisław podczas pożaru w swéj sypialni. Z raportów o tym wypadku p. M. de Lucé do ministra spraw zagranicznych w Paryżu dowiadujemy się szczegółów o stanie, w jakim się król znajdował aż do ostatniéj chwili życia. — Poprzestając na krótkiéj wzmiance, postaramy się zamieścić na tém miejscu obszerniejszy rozbiór zapowiedzianéj pracy p. Boyé, który, jak to widać ze studyum p. t. *„La cour de Lunéville en 1748 et 1749 ou Voltaire chez le roi Stanislas"* (Nancy, 1891), oddał się z zamiłowaniem badaniom nad historyą życia i panowania Stanisława Leszczyńskiego.

L. R.

= Z dniem 1 października 1898 r. wychodzić zacznie pierwsze u nas czasopismo, grze szachowéj poświęcone, p. t. **Tygodnik szachowy,** przy współpracownictwie pierwszorzędnych sił miejscowych oraz mistrzów zagranicznych, pod redakcyą p. *W. Dzierzbickiego.* Program „Tygodnika" zawiéra: artykuły, partye szachowe z rozbiorem, zadania

w dyagramach, ilustracye, portrety, rysunki, skrzynkę do listów, odpowiedzi redakcyi, ogłoszenia, oraz dodatki bezpłatne do pisma, w których, na początek, rozpoczęte zostanie w niedługim czasie tłómaczenie podręcznika szachowego Dufresn'a, a następnie tłómaczenie takiegoż wielkiego podręcznika Bilguer'a.—Prenumerata wynosi: rocznie rubli 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1, wraz z przesyłką. Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i agentury ogłoszeniowe w państwie rosyjskiém i zagranicą. Najlepiéj jednakże należność przesyłać wprost do redakcyi, pod adresem: Tygodnik Szachowy, Warszawa, Nowy-Świat 26.

= Ze spadku po zmarłéj d. 12 września 1876 r. ś. p. Józefie Sierakowskiéj, przeznaczoną została przez jéj spadkobierców, aktem urzędowym w dniu 19 lutego (2 marca) 1888 r. zeznanym, na własność Kasy pomocy naukowéj imienia Józefa Mianowskiego suma 6,600 rubli, jako fundusz żelazny, od którego procenty obracane być mają na zapomogi, stosownie do celów Kasy, dla synów podupadłych lub zubożałych właścicieli ziemskich, wyznania rzymsko katolickiego, z gubernii Płockiéj, a w ich braku dla innych osób wedle uznania zarządu kasy.— W myśl powyższego przeznaczenia funduszu, zatwierdzonego przez rząd, komitet zarządzający Kasą wzywa osoby, pracujące na polu naukowém, a chcące ubiegać się o zapomogę, aby w ciągu trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia złożyły w biurze komitetu (Niecała, Nr. 7), lub do rąk jednego z członków komitetu stosowne podanie, z wyszczególnieniem podjętych prac naukowych i miejsca stałego zamieszkania. Kandydaci, roszczący prawo do pierwszeństwa w otrzymaniu zapomogi, winni dołączyć do podania akt urodzenia i wiarogodne zaświadczenie, że pochodzą od podupadłych lub zubożałych właścicieli majątków ziemskich w gubernii Płockiéj. W końcu nadmienia się, że stosownie do § 2 ustawy Kasy, zapomogi mogą otrzymywać tylko poddani rosyjscy, o ile nie przebywają zagranicą bez pozwolenia rządu, i że wedle zastrzeżenia przez władzę postanowionego, zapomoga przyznana kandydatowi, kształcącemu się w jakimbądź zakładzie naukowym okręgu naukowego warszawskiego, będzie wypłacona dopiéro po zatwierdzeniu wyboru przez kuratora tegoż okręgu.

W Warszawie, d. 16 września 1898 roku.

Nowe książki nadesłane do Redakcyi „Ateneum“.

1. **Zasady działalności banków i zarys historyczny głównych epok ich rozwija.** Przez *Stanisława Karpińskiego* (z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego). Warsz., skład gł. w redakcyi „Głosu“ 1898, 8-vo, str. 116 (cena 60 kop.).
2. **Pandekta czyli nauka rzymskiego prawa prywatnego.** Napisał *Fryderyk Zoll*, prof. Tom II. „Prawo rzeczowe“. Krak., nakł. autora, 1898, 8-vo, str. 284.
3. **Adam Mickiewicz.** Upominek jubileuszowy. Skreślił *Michał Synoradzki.* Warsz., nakł. księg. Dubowskiego, 1898, 8-vo, str. 32 z rysunkami (cena kop. 5).
4. **Album biograficzne** zasłużonych Polaków i Polek XIX wieku. Tom I, zeszyt IV. Warsz., nakł. „Kuryera Niedzielnego“ (str. 117—148), z portretami.
5. **Książę Srebrny** (powieść z czasów Iwana Groźnego). Przez hr. *A. K. Tołstoja*, z przedmową *J. A. Święcickiego.* Tom II („Bibl. dzieł wybor.“, nr. 46). Warsz., 1899, 8-vo, str. 176.
6. *Stanisław Schnür Pepłowski.* **Polacy i Węgrzy.** Opowieść dziejowa z lat 1848—1849. Wyd. drugie. Lwów, nakł. księg. Gubrynowicza i Schmidta, 1898, 8-vo, str. 291.
7. *Bogusław Butrymowicz.* **Za słońcem.** Poezye. Kraków, nakł. A. Koziańskiego, skład gł. u Gebethnera i Sp., 1898, str. 182.
8. *S. Orgelbranda* **Encyklopedya Powszechna**, z ilustracyami i mapami. Tom III-ci, zesz. XLIII—XLVIII.
9. **Wojna polsko-ruska** 1831 r. Opracował *A. K. Puzyrewski*, generał-lejtnant sztabu głównego. Zesz. XIII i XIV. Warsz., nakł. Maurycego Orgelbranda, 1898 (str. 289—320, z mapą).
10. *Plato v. Reussnera* **Samouczek** polsko-ruski i rusko-polski. Zeszyty XVIII — XIX (str. 33—48).
11. **O środkach ochronnych** od chorób wenerycznych, przystępnie dla ogółu napisał dr. *Ludwik Kadler.* Wyd. 2-gie. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego, 1898, 8-vo, str. 135.
12. **Sprawozdanie** Towarzystwa przytułków noclegowych, tanich kuchni i herbaciarni, oraz domów zarobkowych w Warszawie za rok 1897. Warsz., 1898, 8-vo, str. 141.
13. **Obraz literatury** polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach ułożył *Piotr Chmielowski.* Zesz. 17-ty. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, (str. 161—240).
14. **Poezye** *Jana Niesłuchowskiego.* Warsz., skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 155 (z portretem).
15. **Zur geschichte Polens** im Mittelalter. Von Dr. *Max Gumplowicz.* Innsbruck, Verlag der Wagnerschen univ. Buchhandlung, 1898, 8-vo, str. 261.
16. *Wł. Orkan.* **Nowele.** Z przedmową *Kazimierza Tetmajera.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 193.
17. *Stefan Żeromski.* **Utwory powieściowe.** Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 326.
18. *Marya Milkuszyc.* **Kwiaty i ciernie życia.** Nowele. Warsz., nakł. A. G. Dubowskiego, 1899, 8-vo, str. 221.
19. *Z. Przybylski.* **Z rozwoju teatru polskiego.** Antonina Hoffmann. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1898, 8-vo, str. 316, z portretem.
20. **Geschichte des Bergregals** in Schlesien bis zur Besitzergreifung des Landes durch Preussen. Von Dr. *E. Zivier.* Kattowitz, Verl. von Gebrüder Böhm, 1898, 8-vo, str. IV i 370.
21. **Nauka rysunków.** Wskazówki praktyczne wykonywania rysunków technicznych. Ułożył *Edward Wawrykiewicz.* („Biblioteka przemysłowa“, nr. 8). Warsz., nakł. Hipolita Wawelberga, 1898, 8-vo, str. 100 + IV + tabl. 9 (cena w oprawie kop. 75).
22. **Podręcznik do nauki literatury polskiej.** Ułożyli *Kazimierz Król* i *Jan Nitowski.* Połowa I. Warsz., nakł. Michała Arcta, 8-vo, str. 210.
23. **Światło elektryczne.** Urządzenie i działanie. Przewodnik dla monterów, maszynistów i właścicieli. Przez *Zygmunta Straszewicza* („Biblioteka przemysłowa“, nr. 9). Warsz., nakł. Hipolita Wawelberga, 1898, 8-vo, str. 295 i VIII, z rysunk. (cena w oprawie rb. 1 kop. 20).
24. Ks. *Plat.* **Kazania o Sakramentach.** Przełożył ks. *Władysław Fudalewski.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1899, 8-vo, str. 393 i II.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.